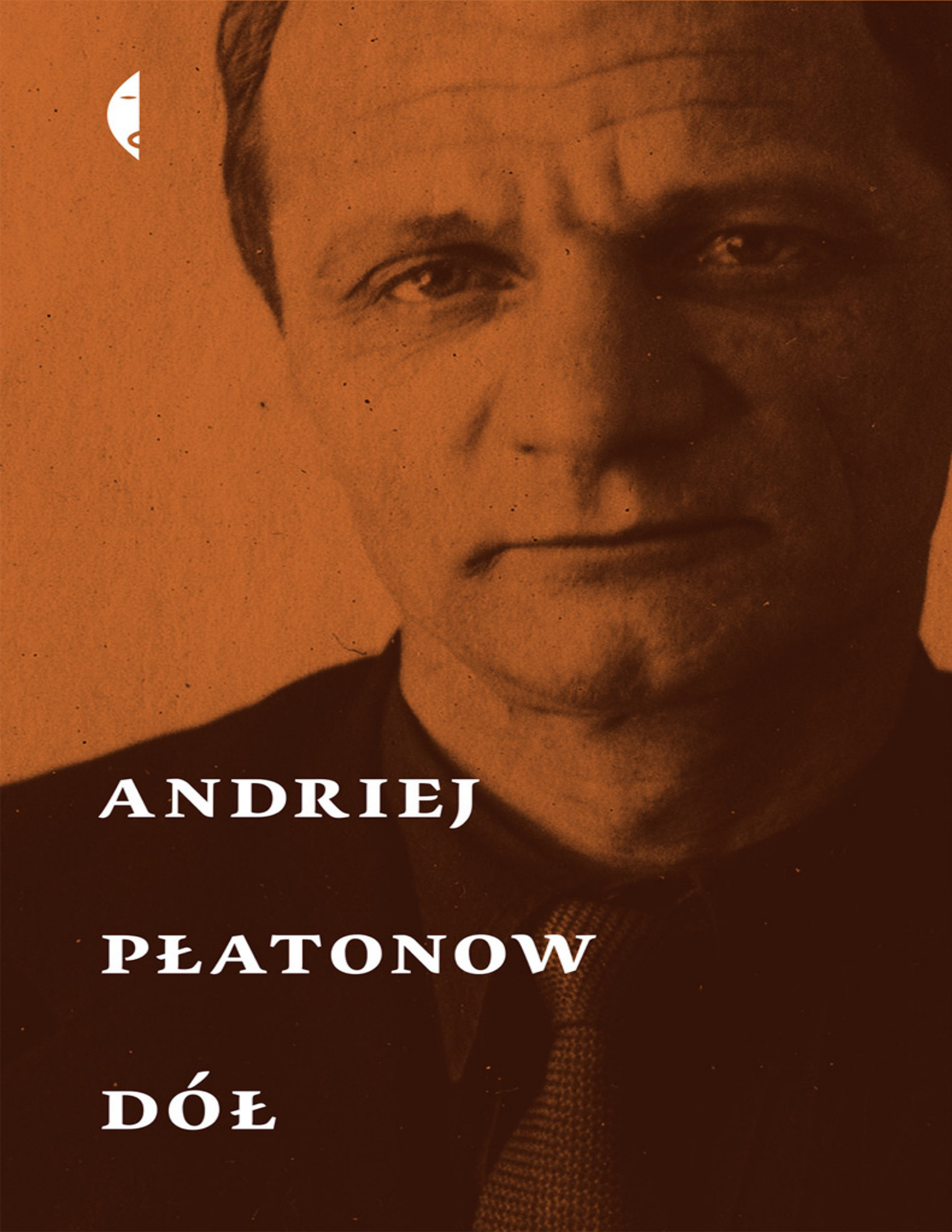

ANDRIEJ

PŁATONOW

DÓŁ

Andriej Płatonow

Dół

Przełożył Adam Pomorski

Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału rosyjskiego *Kotłowan. Tiekst, matieriały tworczeskoj istorii*, Rossijskaja Akadiemija nauk. Institut russkoj litieratury (Puszkinskij Dom), Sankt-Pietierburg, „Nauka” 2000

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Anton Martynenko

Andrei Platonov’s Russian text copyright © by Anton Martynenko, 2017
Polish publishing rights are acquired via FTM Agency, Ltd., Russia, 2016
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2017
Copyright © for the Polish translation and *Słowo od tłumacza* by Adam Pomorski, 2017
Copyright © for *W* Dole by Andrzej Stasiuk, 2017

Korekta zespół
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

The publication was effected under the auspices of the Mikhail Prokhorov Foundation TRANSCRIPT Programme to Support Translations of Russian Literature

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-508-1

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Andrzej Stasiuk W *Dole*

Andriej Płatonow Dół

Słowo od tłumacza

Przypisy

Kolofon

Andrzej Stasiuk

W *Dole*

Zacząć należy od tego, że wierzył w nieśmiertelność. Nie w nieśmiertelność duszy, ale we wskrzeszenie ciał, w zmartwychwstanie. Był technikiem i wierzył w mechanikę, fizykę, rozkład sił, termodynamikę oraz melioracje. Urodzony w przedwiecznych ciemnościach rosyjskiej prowincji musiał wierzyć w elektryczność. Musiał wierzyć w siły na pozór niewidzialne, ale przecież stare jak sam świat, bo tylko one mogły pokonać materialny bezwład Osady Pocztyliońskiej, gdzie przyszedł na świat. Tylko one mogły się uporać z gnuśnym bezkresem tego kraju, który, zdawałoby się, na wieczność zaległ w bezruchu pomiędzy oceanami globu. A wreszcie z kosmosem, który mimo swojej pozornej ruchliwości zajmował się jedynie apokaliptycznym unicestwianiem życia – tworzył je tylko po to, by natychmiast oddać zagładzie.

Zaiste trzeba było przyjść na świat we wnętrzu Rosji, by śnić takie sny. Przecież to nie był świat, tylko nieskończoność geologii, którą od czasu do czasu wstrząsała tektonika. Cztery tysiące kilometrów z południa na północ i dziewięć tysięcy ze wschodu na zachód. Zimny, bezkresny grób, do którego od wieków zstępowały pokolenia i nie zostawał po nich nawet ślad. W bagna, w zmarzlinę, w śniegi i piaski, w głąb, warstwa po warstwie, a powierzchnia wygładzała się nad nimi, jakby ich nigdy nie było.

Teraz też tak jest, gdy się jedzie albo leci w tamte strony. Nie ma nic. Wyspy ludzkości wyglądają jak tonące okręty, jak tratwy rozbitków, które za moment pochłonie obojętny, przedwieczny żywioł. Ach, cóż zresztą „tamte strony”… Gdziekolwiek się wyprawić, widać, że monstrualne przypływy i odpływy znoszą, ścierają nasze ślady, nasze domostwa i nasze życie, by koniec końców odnieść ostateczne zwycięstwo, i zostanie tylko zimna powieka kosmosu zamknięta nad bezmiarem ziem i wód.

Gdy zaczyna się rewolucja 1917 roku, Andriej Płatonow wchodzi właśnie w dorosłość. Ma osiemnaście lat i pracuje w warsztatach kolejowych jako robotnik i pomocnik maszynisty. Możemy sobie go wyobrazić, jak dotyka maszyn i kontempluje ich piękno, gdy przemieniają jedną energię w drugą. Gdy ogień, wodę i parę wodną zmieniają w siłę, która jest w stanie pokonać przestrzeń. Siłę, która może sprostać nicości. Osiemnastolatek dotyka tych wszystkich dźwigni, cylindrów, wałów korbowych i mimośrodów ociekających oliwą i ciepłych w dotyku niczym ciała zwierząt, a zarazem nieśmiertelnych, bo przecież stworzonych ludzkim geniuszem, który raz uruchomiony nie zatrzyma się już nigdy.

Rewolucja nie była dla niego faktem o wymiarze politycznym i społecznym. Widział ją raczej na podobieństwo procesu kosmicznego, który odmieni fizyczne prawa rządzące wszechświatem, życiem i rzeczywistością. Przecież energia, którą wyzwoliła, energia w istocie tektoniczna, nie mogła być wykorzystana jedynie do wyrównywania społecznych krzywd, redystrybucji dóbr i wyzwolenia wyklętego ludu ziemi. Jeśliby tak miało być, to pozostalibyśmy w zaklętym i przeklętym kręgu egzystencji. Przychodzilibyśmy na świat tylko po to, by umrzeć. Układani warstwa na warstwie, pokolenie za pokoleniem wypełnialibyśmy wnętrze Ziemi od pierwszych dni po ostatnie, aż zbrakłoby miejsca.

Trzeba było być podrostkiem z Osady Pocztylionskiej, gdzie jedyną i odwieczną rozrywką były walki na pięści z sąsiednią wsią. Trzeba było być jednym z jedenaściorga rodzeństwa, synem ślusarza, którego rodzina – bywało – przymierała głodem. Trzeba było wreszcie zakończyć edukację na pierwszej czy drugiej klasie technikum kolejowego, by dostąpić wizji, że oto winniśmy wskrzesić z martwych wszystkich naszych przodków, ponieważ jesteśmy im to winni. Taki mamy moralny obowiązek wobec tych, którzy dali nam życie. Wobec ojców i matek, wobec dziadów i pradziadów, aż po ostatnie najgłębsze warstwy pochowanych w piachach i wiecznych zmarzlinach.

I trzeba było czytać wizjonerów: Nikołaja Fiodorowa i Aleksandra Bogdanowa, którzy już u progu XX wieku dostrzegali, że zindywidualizowana, stechnicyzowana ludzkość tańczy chocholi taniec na

własnym grobie. Fiodorowska idea supramoralizmu zakładała spłatę długu wobec przodków. Wszystkie siły świata, moralne, naukowe, społeczne, technologiczne, cały potencjał gatunku miały posłużyć temu jednemu celowi: żeby nieskończenie długi łańcuch naszych zmarłych scalił się na powrót, a śmierć utraciła swoją władzę.

To nie byli jacyś niepoprawni i niezrównoważeni marzyciele. Z Bogdanowem polemizował sam Lenin, a GPU zamknęło go na pięć lat. Fiodorow był kimś w rodzaju ascetycznego mędrca i pielgrzymowały do niego największe umysły epoki. Jego myślą inspirował się Ciołkowski w swoich rozważaniach o kosmonautyce. Ziemia w przyszłości miała się okazać za mała, więc nieprzeliczone rzesze wskrzeszonych powinny znaleźć schronienie na innych planetach.

No dobrze. Może nie wierzył. Jednak spodziewał się rzeczy wielkich. W każdym razie czegoś w rodzaju redefinicji antropologicznej i kosmicznej zarazem. Spodziewał się zbawienia ludzi i materii. Przezwyciężenia losu, który życie zamieniał w powolny zgon. Tak jak w Osadzie Pocztyliońskiej, w rosyjskiej głubince, w tych wszystkich stronach świata, gdzie przebywał wyklęty lud ziemi.

Kilkanaście lat później stało się już jasne, że żadnego Drugiego Przyjścia nie będzie. Proletariacki, robotniczo-chłopski Chrystus został wprawdzie ukrzyżowany, ale nie zmartwychwstał i nie zmartwychwstanie nigdy. Jego skrwawione szczątki zdziczały lud obnosi w kanibalistycznych obrzędach, grzebie i wykopuje na powrót, wypełniając powietrze trupim odorem. Spełniało się proroctwo Jemieliana Pugaczowa, który półtora wieku wcześniej głosił o sobie, że jest ledwo pisklęciem kruka, a prawdziwy kruk dopiero nadleci. Sama kolektywizacja i późniejszy wielki głód pochłonęły sześć milionów ofiar.

Płatonow napisał *Dół* w ciągu pięciu miesięcy od grudnia 1929 do kwietnia 1930 roku. Pod niskim niebem na bezkresnej równinie kopacze ryją dół pod fundamenty wszechproletariackiego domu, pod fundamenty komunizmu. Łopatami, łomami, kilofami, ręcznie. Tak jak budowało się Biełomorkanał, jak wydobywało się złoto na Kołymie. Wykop wciąż się

pogłębia, poszerza, bo przecież kobiety nigdy nie przestaną rodzić, a masy proletariatu wzrastać. Jedzą kaszę i śpią na wznak, jeden obok drugiego pod żółtawym światłem. Zmieniają się pory roku, bo najpierw pocą się we śnie, a potem nocą do baraku zakrada się chłód. Lecz na zewnątrz panuje nieustanny zmierzch, jak we śnie, z którego chcielibyśmy się jak najprędzej przebudzić. We wsi obok na wielką tratwę ładuje się kułaków, by spławić ich szarą rzeką w dal i w nicość. Zostają po nich ukryte w plewach zwłoki owiec, z których nawet zimą wylatują roje much. I wciąż ten szary ni to zmierzch, ni świt i sen, z którego nie przebudzi się nikt.

I wkrótce pojmujemy, że *dół, kotłowan*, to grób. Grób, w którym ma się pomieścić cały świat. Zarówno ci, co wierzyli w nieśmiertelność, jak i ci, co stanęli na drodze tej wiary. Wszyscy. Że drążąc warstwy obojętnej i śmiercionośnej materii, schodzimy coraz dalej w głąb, by stać się w końcu kolejnym pokładem ciał i dołączyć do naszych przodków, których pragnęliśmy wskrzesić. Tylko taka łączność z nimi jest nam dana. Tylko poprzez śmierć i spotkanie w piachu i wiecznej zmarzlinie.

Nie napisano w XX wieku piękniejszej, straszniejszej i mądrzejszej książki o totalitaryzmie i utopii. Nie napisano niczego, co by dorównywało siłą wyrazu ani grozą *Dołowi* Andrieja Płatonowa. Apokalipsa dzieje się tu na wszystkich poziomach. Na poziomie obrazu, filozofii i języka. Słowa pękają, rozrywają się, ponieważ wypowiadane są w absolutnej próżni. Tak jak ryby z oceanicznych głębin, gdy wydobyć je na powierzchnię. Zaczęte zdania u swojego końca nabierają antysensów i popełniają samobójstwo. Obrazy i zdarzenia już u swych początków skazane są na zagładę. *Dół* dzieje się w antyświecie, w antyrzeczywistości, która była przecież jak najbardziej rzeczywista.

Polskie wydanie w przekładzie Andrzeja Drawicza z 1990 roku liczy sto pięćdziesiąt stron małego formatu. Na kartonowej okładce jest reprodukcja fragmentu *Wozu z sianem* Hieronima Boscha. Przekład ma inny tytuł – *Wykop*. Nigdy chyba nie przeczytałem go w całości. Zawsze czytałem fragment i musiałem odłożyć. Po prostu są takie książki, w których nie ciekawi nas „ciąg dalszy”, bo już kilka stron, kilka zdań buduje świat tak mocny, że dalsza lektura wydaje się zbędna albo wręcz niemożliwa.

Zwyczajnie brak na nią sił. Oczywiście potem powracamy, by zażyć kolejną dawkę narkotyku albo i trucizny.

Od lat jeżdżę do Rosji. Daleko na wschód, na Syberię, do Mongolii, Chin, do Azji Centralnej. Za każdym razem zabieram ze sobą Płatonowa. Czytałem go w samolotach, w pociągach, czytałem przy ogniskach rozpalonych gdzieś na stepie albo na pustyni. A czasem wystarczało mi po prostu, że mam tę niewielką książeczkę o zniszczonej czerwonej okładce ze sobą. Wydawało mi się (być może się łudziłem), że pomoże mi choć w części pojąć, co się tutaj wydarzyło. Co się wydarzyło sto lat temu na rosyjskim i azjatyckim bezkresie, w epicentrum kataklizmu.

„W południe Czyklin zaczął kopać dla Nasti specjalny grób. Kopał przez piętnaście godzin cięgiem, żeby grób był głęboki i nie zdołały do niego przeniknąć ani robak, ani korzeń rośliny, ani ciepło, ani zimno, i żeby spokoju dziecka nigdy nie zmącił hałas życia z powierzchni ziemi. Trumienne posłanie Czyklin wyżłobił w litym głazie i przygotował też szczególną granitową płytę jako pokrywę, żeby dziewczynki nie przytłoczył olbrzymi ciężar grobowych prochów.

Czyklin odpoczął, wziął Nastię na ręce i troskliwie zaniósł, żeby złożyć w kamieniu i zakopać. Pora była nocna, cały kołchoz spał w baraku i tylko czeladnik kowalski obudził się, czując ruch, Czyklin pozwolił mu więc dotknąć Nasti na pożegnanie”.

Andriej Płatonow

Dół

Na dzień trzydziestolecia życia osobistego Woszczew otrzymał wypowiedzenie w niewielkim zakładzie mechanicznym, w którym zdobywał dla siebie środki do życia. W wypowiedzeniu napisali mu, że usuwa się go z produkcji skutkiem wzrostu w nim osłabienia i zamyślenia w ramach ogólnego rytmu pracy.

Woszczew zgarnął na stancji manatki do worka i wyszedł na dwór, żeby na świeżym powietrzu lepiej rozpatrzyć się we własnej przyszłości. Powietrze było jednak puste, nieruchome drzewa pieczołowicie unosiły upał w liściach, a na bezludnej drodze nudno zalegał kurz – stan rzeczy w przyrodzie był cichy i spokojny. Woszczew nie wiedział, gdzie go niesie, aż pod koniec miasta oparł się łokciami o niskie ogrodzenie pewnego dworku, w którym przyuczano bezrodzinne dzieci do pracy i pożytku. Na tym miasto się urywało – dalej była tylko piwiarnia dla sezonowych i niskopłatnych kategorii. Jak urząd nie miała żadnego obejścia, za nią sterczał gliniany wzgórek, a na nim rosło stare drzewo, samotne przy słonecznej pogodzie. Woszczew dotarł do piwiarni i wszedł do środka na dźwięk szczerze ludzkich głosów. Byli tu ludzie niestali, popadający w zapomnienie o swoim nieszczęściu. Woszczew wśród nich poczuł się tępiej i lżej. Był obecny w piwiarni do wieczora, póki wiatr nie zaszumiał na zmianę pogody; wtedy Woszczew podszedł do otwartego okna, żeby dostrzec początek nocy, i ujrzał na gliniastym wzgórku drzewo – zataczało się ze strapienia, a jego liście skręcały się z kryjomego wstydu. Gdzieś, pewnie w ogrodzie pracowników uspołecznionego handlu, walczyła z dusznościami orkiestra dęta; przez przywąwoźne pustkowie wiatr ciągnął na łono przyrody monotonną, nieziszczalną muzykę. Woszczew słuchał muzyki z rozkoszą nadziei, z rzadka bowiem w przydziale trafiała mu się radość, nigdy niczym nie mógł jednak dorównać muzyce, spędzając

wieczory w bezruchu. Po wietrze na powrót nastała cisza, aż przesłonił ją jeszcze cichszy mrok. Woszczew usiadł przy oknie, żeby wpatrywać się w czułą ciemność nocy, słuchać różnych smutnych dźwięków i dręczyć serce w otoczeniu twardych jak kamień kości.

– Te, spożywczy! – rozległ się głos w ucichłym już lokalu. – Daj nam dwa kufelki, chluśniem, bo uśniem!

Woszczew już wcześniej stwierdził, że do piwiarni ludzie zawsze przychodzą parami, jak oblubieniec z oblubienicą, a czasem – całym zgodnym weselnym orszakiem.

Pracownik spożywczy tym razem nie podał jednak piwa, dwaj przybyli dekarze otarli więc fartuchami spragnione usta.

– Na ciebie, biurokrato, człowiek pracy palcem tylko powinien kiwnąć, a ty się tu nadymasz!

Spożywczy oszczędzał jednak siły na życie własne i nie zamierzał ich zużywać w pracy. Nie wdawał się w dyskusje.

– Zakład, proszę obywateli, zamknięty. Poszukajcie sobie zajęcia w domu.

Dekarze wzięli ze spodka po słonym obwarzanku i wyszli z piwiarni. Woszczew został w środku sam.

– Obywatel zamówił tylko jeden kufel, a siedzi bezterminowo! Płaci się za picie, nie za lokal!

Woszczew podniósł worek i wyszedł w noc. Niebo pytająco świeciło nad nim męczącą siłą gwiazd, ale w mieście światła już pogaszono; kto mógł, ten spał, objedzony kolacją. Woszczew po kruszynach ziemi zszedł do jaru i położył się tam na brzuchu, żeby zasnąć i rozstać się z sobą. Do snu trzeba jednak spokoju ducha, umysłowego zaufania do życia, wybaczenia doznanej przykrości, a Woszczew leżał w suchym napięciu przytomności i nie wiedział, czy jest potrzebny na świecie, czy też wszystko bez niego i tak się pomyślnie obędzie. Nie wiedzieć skąd dmuchnął wiatr, żeby ludziom nie zabrakło powietrza, a podmiejski pies dał znać o swojej służbie słabym głosem zwątpienia.

– Marne jest życie psa; żyje tylko ze względu na urodzenie, jak ja.

Ciało Woszczewa pobladło ze zmęczenia, poczuł chłód na powiekach i przykrył nimi ciepłe oczy.

Piwiarz odświeżał już swój lokal, pod wpływem słońca burzyły się wkoło podmuchy i zioła, kiedy Woszczew z żalem otworzył oczy pełne wilgotnej siły. Znów czekało go życie i odżywianie, poszedł więc do rady zakładowej, żeby bronić swojej zbędnej pracy.

– Kierownictwo mówi, że stałeś i myślałeś podczas produkcji – powiedzieli mu w radzie. – O czym ty myślałeś, towarzyszu Woszczew?

– O planie życia.

– Zakład działa według gotowego planu zjednoczenia. A plan życia osobistego mógłbyś przerabiać w klubie albo w świetlicy.

– Myślałem o planie ogólnego życia. O własne życie się nie martwię, to dla mnie nie zagadka.

– I cóż mógłbyś poradzić?

– Wymyśliłbym coś w rodzaju szczęścia, a duchowy sens poprawiłby wydajność.

– Szczęście, towarzyszu Woszczew, bierze się z materializmu, a nie z sensu. Nie damy rady ciebie obronić, bo jesteś człowiek nieuświadomiony, a nie chcemy być w ogonie mas.

Woszczew miał zamiar poprosić o jakąś bodaj najlichszą pracę, byle starczyło na wyżywienie – myśleć będzie w czasie wolnym; żeby prosić, trzeba jednak mieć dla ludzi szacunek, a nie stwierdzał, by ci budzili w nim uczucie.

– Nie chcecie być w ogonie – bo to kończyna – toście wsiedli na kark!

– Tobie, Woszczew, państwo dało dodatkowo godzinę na twoje rozmyślania – pracowałeś osiem, teraz siedem – siedziałbyś i nie gadał! Kto miałby działać, gdybyśmy się tak wszyscy naraz zamyślili?

– Bez myśli ludzie działają bezsensownie! – powiedział Woszczew z zadumą.

Wyszedł z rady bez pomocy. Piesza droga wiodła środkiem lata, po bokach stawiano domy i wyposażenie techniczne – w tych domach będą milcząco istnieć wcześniej bezdomne masy. Ciało Woszczewa było obojętne na wygody, mógł żyć bez uszczerbku na siłach pod gołym niebem, a nieszczęściem trapił się akurat w porze dostatku, w zaciszu na dotychczasowej stancji. Raz jeszcze musiał minąć podmiejską piwiarnię, raz jeszcze popatrzył na miejsce swojego noclegu – zostało tam coś, co miało związek z jego życiem, a on sam znalazł się w przestrzeni, w której miał przed sobą horyzont i doznanie wiatru na pochylonej twarzy.

Niebawem odczuł jednak zwątpienie we własne życie i słabość ciała bez prawdy – nie mógł długo iść drogą, usiadł więc na brzegu rowu, nie znając ściśle struktury całego świata i nie wiedząc, dokąd ma się skierować. Znużony ubogim rozmyślaniem Woszczew pochylił się i położył na zakurzonej przejezdnej trawie; było gorąco, wiał dzienny wiatr, a gdzieś we wsi darły się koguty – wszystko pochłonięte było pokornym istnieniem, tylko Woszczew wyodrębnił się i milczał. Obok głowy Woszczewa leżał umarły, opadły liść, wiatr przyniósł go z odległego drzewa, teraz zaś temu liściowi pisana była pokora w ziemi. Woszczew podniósł uschły liść i schował go w tajnym dziale worka, w którym zbierał różne przedmioty nieszczęścia i zapoznania. „Nie miałeś sensu życia – z oschłością współczucia stwierdził Woszczew – leż tutaj, dowiem się, za co żyłeś i zginąłeś. Skoro nie jesteś nikomu potrzebny i obijasz się po całym świecie, będę cię przechowywał i o tobie pamiętał”.

– Każdy żyje i znosi wszystko na świecie niczego nieświadom – powiedział Woszczew w pobliżu drogi i wstał, żeby iść, otoczony powszechnym wytrwałym istnieniem. – Jakby ktoś jeden albo kilku nielicznych uzyskało z nas i zawłaszczyło stanowcze uczucie!

Szedł drogą do utraty sił; siły tracił zaś Woszczew szybko, kiedy tylko jego duszy się przypomniało, że przestała być świadoma prawdy.

Ale w oddali widać już było miasto, dymiły jego spółdzielcze piekarnie, a słońce pod wieczór oświetlało kurz nad domami, wzbity ruchem ludności.

Miasto zaczynało się kuźnią, a w niej, kiedy Woszczew przechodził obok, reperowano auto po jeździe w bezdrożach. Gruby kaleka stał koło konowiązu i przemawiał do kowala:

– Miś, odsyp tytoniu, bo znów w nocy kłódkę zerwę!

Kowal nie odpowiadał spod auta. Wtedy inwalida trącił go szczudłem w tyłek.

– Miś, zostaw lepiej tę robotę i odsyp, bo strat narobię!

Woszczew przystanął obok kaleki, ulicą z głębi miasta ciągnął bowiem w szyku oddział pionierów ze zmęczoną orkiestrą na czele.

– Dostałeś przecież wczoraj całego rubla – powiedział kowal. – Daj mi spokój choć przez tydzień! Bo jak nie wytrzymam, to spalę twoje kulasy!

– Spal – zgodził się inwalida. – Jak mnie chłopaki na wózku dowiozą, to dach ci z kuźni zerwę!

Kowal zagapił się na dzieci i udobruchany odsypał kalece tytoniu do kapciucha.

– Udław się, szarańczo!

Woszczew spostrzegł, że kaleka nie ma nóg – jednej całkiem, a drugą zastępuje drewniany naddatek; kaleka opierał się na szczudłach i na pomocniczej podpórce drewnianego kikuta obciętej prawej nogi. Zębów inwalida nie miał wcale, zużył je doszczętnie na jedzenie, dorobił się natomiast olbrzymiej twarzy i otyłego szczątka kadłuba; jego brązowe, skąpo otwarte oczy chłonęły świat dla nich postronny z chciwością niedostatku, z rozpaczą nagromadzonej namiętności, a dziąsła tarły o siebie w jego ustach, wypowiadając bezgłośne myśli kuternogi.

Orkiestra pionierów z oddali zagrała muzykę młodzieńczego pochodu. Świadome dostojeństwa własnej przyszłości, w regularnym marszu mijały kuźnię bose dziewczynki; ich wątłe, dojrzewające ciała ubrane były w bluzki marynarskie, na zamyślonych, uważnych głowach swobodnie układały się czerwone berety, a nogi okrywał dziecinny puch. Każda dziewczynka, posuwając się w rytmie wspólnego szyku, uśmiechała się w poczuciu swojego znaczenia, ze świadomością powagi kurczącego się w niej życia, koniecznej dla ciągłości ordynku i dynamiki pochodu. Każda z tych pionierek zrodziła się w epoce, w której na polach leżały martwe

konie wojny socjalnej, nie wszyscy pionierzy mieli zaś skórę w chwili przyjścia na świat, bo ich matki karmiły się jedynie zasobami własnego ciała; dlatego na twarzy każdej pionierki utrwaliła się trudność słabowitości wczesnego życia, ubóstwo ciała i urody wyrazu. Szczęście dziecięcej przyjaźni, ziszczenie przyszłego świata w młodzieńczej zabawie i godność własnej surowej swobody wypisały na dziecięcych twarzach dostojną radość, która zastępowała im urodę i domowe wyżywienie.

Woszczew stał onieśmielony w obliczu procesji tych nieznanych mu, wzruszonych dzieci; wstyd mu było, że pionierzy wiedzą pewno i czują więcej od niego, bo dzieci to czas, który dojrzewa w świeżym ciele, a jego, Woszczewa, biegnąca naprzód, czynna młodość usuwa w ciszę zapomnienia jako daremną próbę życia, które chce osiągnąć swój cel. Woszczew poczuł wstyd i energię – zapragnął natychmiast odkryć powszechny, długotrwały sens życia, by żyć na czele dzieci, życiem prędszym od ich opalonych nóg pełnych niezłomnej czułości.

Jedna z pionierek wybiegła z szeregu w przylegający do kuźni zagon żyta i zerwała tam potrzebną jej roślinę. W chwili działania mała kobieta pochyliła się, obnażając pieprzyk na okrąglejącym ciele, i z lekkością nieuchwytnej siły znikła w przelocie, pozostawiając żal w dwóch widzach – Woszczewie i kalece. Woszczew, szukając ulgi w porównaniu, spojrzał na ułomnego; tamtemu twarz wezbrała krwią bez ujścia; wystękał dźwięk i poszperał ręką w głębi kieszeni. Woszczew dostrzegał nastrój zwalistego inwalidy, cieszył się jednak, że socjalistyczne dzieci nigdy nie padną łupem kaleki imperializmu. Ale tamten nie odstępował spojrzeniem końca pionierskiej procesji, aż Woszczew zląkł się o całość i czystość małych ludzi.

– Patrzałbyś oczami w inną stronę – powiedział inwalidzie. – Lepiej byś zapalił!

– W tył zwrot, ważniaku! – odparł beznogi.

Woszczew z pokorą tkwił w postawie.

– Do kogo ja mówię? – przypomniał kaleka. – Chcesz oberwać?!

– Nie – odpowiedział Woszczew. – Przestraszyłem się, że powiesz słowo na tamtą dziewczynkę albo coś zaczniesz.

Inwalida ze zwykłą sobie udręką pochylił wielką głowę ku ziemi.

– Co mam powiedzieć dziecku, łobuzie? Patrzę na dzieci na pamiątkę, bo niedługo umrę.

– Uszkodzili cię pewno w kapitalistycznej bitwie – powiedział cicho Woszczew. – Chociaż inwalidzi też bywają starcami, widziałem.

Ułomny obrócił na Woszczewa oczy, w których była teraz bestialskość umysłowej przewagi; kaleka z początku nawet pomilczał ze złości na przybłędę, a później wymówił z powolną zawziętością:

– Starcy tacy bywają, ale kalek takich jak ty – to nie ma.

– Nie byłem na prawdziwej wojnie – powiedział Woszczew. – Też bym z niej wtedy nie wrócił w całości.

– Widzę, że nie byłeś: skąd niby taki głupi? Chłop, co wojny nie widział, to jak baba, co nie rodziła – żyje idiotą: całego cię widać przez skorupę!

– Ech! – smutno powiedział kowal. – Patrzę na dzieci i sam aż bym krzyknął: niech żyje Pierwszy Maj!

Orkiestra pionierów odpoczęła i zagrała w oddali marsz ruchu. Woszczew nadal się męczył, poszedł więc zamieszkać w tym mieście.

Do samego wieczora w milczeniu chodził po mieście jakby w oczekiwaniu, kiedy to świat stanie się ogólnie znany. Było mu jednak jak dawniej niejasno na świecie, a w ciemności własnego ciała wyczuwał ciche miejsce, w którym nie było niczego, ale nic niczemu nie przeszkadzało się zacząć. Jako ktoś żyjący zaocznie Woszczew odbywał swoje przechadzki między ludźmi, czując wzbierającą siłę zasmuconego umysłu, coraz samotniejszy w ciasnocie swojej zgryzoty.

Dopiero teraz ujrzał środek miasta i jego struktury w budowie. Na rusztowaniach włączono już wieczorną elektryczność, ale polne światło ciszy i więdnący zapach snu nadbiegały tu z ogólnej przestrzeni i stały nietknięte w powietrzu. Wyodrębnieni z przyrody w jasnym punkcie elektryczności z upragnieniem pracowali ludzie, wznosząc ceglane grodzie, wędrując z brzemieniem ładunku w drzewiastym zwidzie rusztowań. Woszczew długo przypatrywał się budowie nieznanej mu wieży; widział, że robotnicy poruszają się miarowo, bez gwałtownej siły, lecz czegoś już przybywa budowie do jej ukończenia.

– Dom człowiek zbuduje, a sam się zrujnuje. Kto wtedy będzie żył? – z zadumą powątpiewał Woszczew, idąc w swoją stronę.

Ze środka miasta odszedł na jego kraniec. Kiedy tam szedł, nastała bezludna noc; tylko woda i wiatr zaludniały w oddali ten mrok i przyrodę i tylko ptaki potrafiły opiewać smutek tej wielkiej materii, bo latały z góry i było im łatwiej.

Woszczew zawędrował w pustkowie i znalazł ciepły dół, by przenocować; zniżywszy się do tego wgłębienia ziemi, podłożył pod głowę worek, w którym gromadził na pamiątkę i dla zemsty różne bezimienności, zasmucił się i z tym zasnął. Jakiś człowiek wszedł jednak z kosą w rękach

na pustkowie i zaczął ścinać rosnące tam od wieków trawiaste chaszcze. O północy kosiarz doszedł do Woszczewa i polecił mu wstać i zejść z placu.

– A ty czego? – niechętnie przemówił Woszczew. – Jaki plac? To zbędne miejsce.

– A teraz będzie plac, teraz ma tu być kamienna sprawa. Zajdź rano, żeby spojrzeć na to miejsce, bo niedługo zniknie na zawsze pod strukturą.

– Ale gdzie mam się podziać?

– Śmiało możesz dospać w baraku. Idź tam i śpij do rana, a rano się wyjaśnisz.

Woszczew poszedł podług słów kosiarza i wkrótce dostrzegł drewnianą szopę w dawnym warzywniku. W szopie spało na wznak siedemnastu czy dwudziestu chłopa, a przygaszona lampa oświetlała nieświadome ludzkie twarze. Wszyscy śpiący byli chudzi jak umarli, u każdego ciasne miejsce między skórą i kośćmi zajmowały żyły, a z ich grubości widać było, ile krwi muszą przepuszczać podczas wytężenia pracy. Perkal koszul z całą dokładnością dawał poznać powolną, odświeżającą robotę serca – biło w pobliżu, w ciemnościach spustoszonego ciała każdego z uśpionych. Woszczew wpatrzył się w twarz najbliżej śpiącego – czy aby nie ma na niej wyrazu beztroskiego szczęścia człowieka zaspokojonego? Ale śpiący leżał martwo, jego oczy skryły się głęboko i żałośnie, a oziębłe nogi wyciągnęły się bezradnie w starych roboczych spodniach. Prócz oddechów w baraku nie było ani dźwięku, nikt o niczym nie śnił i nie rozmawiał ze wspomnieniami – każdy istniał bez żadnej nadwyżki życia, a podczas snu żywe pozostawało tylko serce, oszczędzające człowieka. Woszczew poczuł zimno zmęczenia i w poszukiwaniu ciepła zaległ między dwoma ciałami uśpionych robociarzy. Zasnął, nieznany tym ludziom z zamkniętymi oczami, zadowolony, że noc spędzi koło nich – i spał tak, nie czując prawdy, do białego dnia.

Rano uderzył mu do głowy jakiś instynkt, obudził się i słuchał cudzych słów, nie otwierając oczu.

– Słaby jest!

– Nieuświadomiony.

– To nic: kapitalizm robił z naszej rasy głupków, więc ten to też przeżytek ciemnoty.

– Byle pasował z pochodzenia: wtedy się nada.

– Widać z ciała, że z biednej klasy.

Woszczew niepewnie otworzył oczy na światło nowego dnia. Wczorajsi śpiący stali żywi nad nim i obserwowali jego słabowite położenie.

– Wy to pewno wszystko już wiecie? – z nieśmiałością słabej nadziei zapytał ich Woszczew.

– A jak inaczej? My przecież dajemy istnienie wszystkim organizacjom! – odpowiedział niski mężczyzna z głębi wyschłych ust, wokół których ze znużenia wątle rosła broda.

Tymczasem otwarło się wejście drzwiowe i Woszczew ujrzał kosiarza z nocy z zespołowym czajnikiem: woda zagotowała się już na kuchni przed barakiem; minął czas przebudzenia, nastała pora, żeby się pożywić przed całodzienną pracą.

Na drewnianej ścianie wisiał wsiowy zegar i szedł cierpliwie siłą bezwładności martwego ciężaru; na tarczy mechanizmu wymalowano pąsowy kwiat, żeby cieszył oczy każdego, kto widzi czas. Robociarze siedli sznurem wzdłuż długości stołu, kosiarz, który w baraku wykonywał prace kobiece, pokrajał chleb i wręczył każdemu kromkę, a na dodatek także kawałek wczorajszej wołowiny na zimno. Robociarze zaczęli jeść

z powagą, wchłaniając pokarm jako coś należnego, ale nie napawając się nim.

– Zjedz z nami! – zaprosili Woszczewa.

Woszczew wstał, a choć nie miał jeszcze całkowitej wiary w ogólną konieczność świata, zaczął jeść z zawstydzeniem i zgryzotą.

Po jedzeniu robociarze wyszli na dwór z łopatami w rękach, a Woszczew ruszył ich tropem.

Na wykoszonym pustkowiu zalatywało wonią umarłej trawy i stęchlizną obnażonej ziemi, przez co wyraźniej odczuwało się ogólny smutek życia i zgryzotę daremności. Woszczew dostał łopatę i z zajadłością rozpaczy własnego życia zacisnął ją w rękach, jakby chciał wydobyć prawdę ze środka ziemskiego prochu; w swoim nieszczęściu godził się nie mieć sensu istnienia, pragnął jednak przynajmniej widzieć go w materii innego, bliźniego człowieka – a po to, żeby znaleźć się w pobliżu owego człowieka, mógł poświęcić pracy całe swoje słabe ciało, znużone myślą i bezsensem.

Pośród pustkowia stał inżynier, człowiek niestary, ale siwy od rachunku przyrody. Cały świat wydawał mu się ciałem martwym – sądził o nim na podstawie tych elementów, które już przeobraził w budowle: świat na każdym kroku poddawał się jego uważnemu i kojarzącemu umysłowi, ograniczonemu jedynie świadomością bezwładu przyrody; budulec zawsze poddawał się ścisłości i cierpliwości, a zatem był martwy i pustynny. Człowiek natomiast wśród tej całej ponurej materii był żywy i pełen godności, dlatego teraz inżynier uśmiechał się uprzejmie, witając ekipę robociarzy. Woszczew widział, że inżynier ma różowe policzki, ale nie z otyłości, lecz z nadmiernego bicia serca, i spodobało mu się, że serce tego człowieka tak się burzy i bije.

Inżynier powiedział Czyklinowi, że rozplanował już prace ziemne i wytyczył wykop. Wskazał wbite w ziemię kołki: można zaczynać. Czyklin słuchał inżyniera i dodatkowo sprawdzał jego plan na własnym umyśle i doświadczeniu – podczas prac ziemnych to on kierował brygadą, roboty gruntowe to był jego prawdziwy fach; kiedy zaś przyjdzie czas na zakładanie kamiennego fundamentu, rządzić będzie Safronow.

– Za mało rąk – powiedział Czyklin do inżyniera – to mordęga, a nie robota – czas całą korzyść pożre.

– Z giełdy pracy obiecali przysłać pięćdziesięciu chłopa, a prosiłem o stu – odparł inżynier. – Ale za wszystkie prace na podłożu odpowiadać będziecie tylko wy i ja: jesteście wiodącą brygadą.

– Wiodącą nie wiodącą, niech nam przynajmniej dorównają. Żeby tylko ludzie przyszli.

Co rzekłszy, Czyklin wbił łopatę w wierzchni miąższ ziemi, skupiając w dole obojętnie zamyśloną twarz. Woszczew też zaczął drążyć glebę w głąb, wkładając wszystkie siły w łopatę; dopuszczał teraz możliwość, że dzieciństwo wyrośnie, radość stanie się myślą, a przyszły człowiek znajdzie sobie dość przestrzeni w tym mocnym domu, żeby spoglądać przez wysokie okna na rozległy, czekający go świat. Unicestwił już tysiące źdźbełek, korzonków i małych ziemnych kryjówek gorliwych stworzeń, a teraz pracował w kanionach marudnej gliny. Ale Czyklin go wyprzedził – już dawno odłożył łopatę i wziął łom, żeby rozbijać dolne, sprasowane warstwy iłu. Niwecząc starodawną strukturę przyrodniczą, Czyklin nie mógł jej pojąć.

– Nie wiedzieć czemu pod glebą był piasek, tu zaczęła się glina, a zaraz będzie wapień!… Też mi coś – co to się nie wyrabia: gdyby nie ruszyć ziemi żelazem, leżałaby dalej jak głupia. Zgroza!

Wobec obcości gliny i świadomości niedostatku sił brygady Czyklin z pośpiechem rozbijał odwieczne podłoże, całym życiem swojego ciała bijąc w martwy punkt. Serce uderzało normalnie, pot wżerał się w wytrwałe plecy, Czyklin nie miał pod skórą ani krzty ochronnego tłuszczu – jego stare żyły i wnętrzności podchodziły tuż pod powierzchnię, odbierał to, co go otaczało, bez rozmysłu i bez świadomości, ale ściśle. Kiedyś był młodszy i kochały go dziewczyny – z łapczywości na widok jego krzepkiego, wędrującego to tu, to tam ciała, które nie szczędziło siebie i było oddane wszystkim. Czyklin był wówczas wielu ludziom potrzebny jako schronienie i spokój w niezawodnym cieple, chciał jednak w nim ukryć nazbyt wielu, żeby sam miał co odczuwać, wtedy zaś kobiety i koledzy porzucali go z zazdrości, a Czyklin w nocnych tęsknotach

wychodził na plac targowy i przewracał stragany albo w ogóle gdzieś je wynosił, za co pokutował potem w ciupie i wyśpiewywał stamtąd pieśni w letnie pąsowe wieczory.

Im bliżej południa, tym starania Woszczewa przynosiły coraz mniej ziemi, zaczął się już irytować kopaniem i pozostał w tyle za brygadą; jeden tylko chudy robociarz pracował jeszcze wolniej. Ten tylny był ponury i marny na całym ciele, pot słabości kapał na glinę z jego mętnej, monotonnej twarzy, obrosłej na obrębie rzadkimi włosami; dźwigając ziemię na krawędź dołu, kaszlał i wydzielał z siebie mokrość, a potem uspokojony przymykał oczy, jakby pragnął snu.

– Kozłow! – zawołał do niego Safronow. – Znowu nie dajesz rady?

– Znowu – odpowiedział Kozłow biednym głosem dziecka.

– Za bardzo się napawasz konfliktami – powiedział Safronow – to i słabniesz!

Kozłow spojrzał na Safronowa czerwonymi, wilgotnymi oczami i w obojętnym znużeniu nic nie odrzekł.

Woszczew przyjrzał się tym ludziom i postanowił jakoś żyć, skoro oni wytrzymują i żyją: powstał wraz z nimi i wspólnie z ludźmi swego czasu umrze.

– Kozłow, połóż się twarzą w dół – odsapnij! – powiedział Czyklin. – Kaszle, wzdycha, milczy, kwęka – groby się tak kopie, a nie domy.

Kozłow nie cenił jednak cudzej litości nad sobą – sam ukradkiem pogładził w zanadrzu swoją zasklepioną, starą pierś i nadal rozkopywał spoisty grunt. Wierzył jeszcze w nadejście życia po budowie wielkich domów i obawiał się, że nie zostanie do tego życia przyjęty, jeżeli uznają go tam za żałosny element niepracujący. Jedno tylko uczucie poruszało co rano Kozłowa – jego serce biło z trudem, nie tracił jednak nadziei, że choćby małym jego skrawkiem zdoła żyć w przyszłości; przez piersiową słabość musiał podczas pracy od czasu do czasu pogładzić się po kościach pod skórą i zachęcać szeptem do wytrwałości.

Minęło już południe, a giełda pracy nie przysłała kopaczy. Nocny kosiarz trawy odespał się, nagotował kartofli, polał je jajeczną cieczą, pokropił olejem, dodał wczorajszej kaszy, na okrasę posypał z góry

koperkiem i przyniósł w kotle tę wieloskładnikową potrawę, by rozwinąć podupadłe siły brygady.

Jedli w ciszy, nie patrząc na siebie, bez łapczywości, nie doceniając jedzenia, jakby siła człowieka brała się tylko ze świadomości. Kozłow czasem zakaszlał niespodziewanie do kotła, a w powietrzu widać było okruchy z jego ust, ale żaden z jedzących nie stanął w obronie czystości pokarmu żołądka przed Kozłowem, a Woszczew na ten widok wygrzebywał łyżką akurat te miejsca potrawy, w które nakaszlał Kozłow, żeby lepiej mu współczuć.

Inżynier obszedł codziennym obchodem różne nieodzowne instytucje i zjawił się przy wykopie. Postał na boku, podczas gdy ludzie jedli z kotła, a potem powiedział:

– W poniedziałek będzie jeszcze czterdziestu ludzi. A dzisiaj sobota: czas kończyć.

– Jak to kończyć? – zapytał Czyklin. – Wywali jeszcze każdy kubik albo półtora, wcześniej nie ma co kończyć.

– Trzeba kończyć – sprzeciwił się kierownik odcinka. – Pracujecie już ponad sześć godzin, a jest przepis.

– To przepis tylko dla elementów wycofanych – nie ustępował Czyklin – a mnie jeszcze ciutek siły się został i spać się nie wycofuję. Kto co myśli? – zapytał wszystkich.

– Do wieczora daleko – stwierdził Safronow – co ma życie ginąć po próżnicy, lepiej coś zróbmy. Nie jesteśmy zwierzęta, możemy przecież żyć entuzjazmem!

– Może przyroda coś nam pokaże w dole – powiedział Woszczew.

– A jak! – rzucił nie wiadomo który robociarz.

Inżynier pochylił głowę, obawiał się jałowego czasu w domu, nie wiedział, jak ma żyć samotnie.

– To ja też idę, mam trochę kreślenia, a zresztą przeliczę jeszcze raz gniazda pod nowe pale.

– Ano właśnie: idź kreślić i liczyć! – przytaknął Czyklin. – Ziemia i tak skopana, nuda i tyle – jak zrobimy swoje, awansujemy życie i odpoczniemy.

Kierownik odcinka odszedł powoli. Przypomniało mu się dzieciństwo, kiedy przed świętami służba szorowała podłogi, matka sprzątała w pokojach, ulicą spływała nieprzyjemna woda, a on, chłopiec, nie wiedział, gdzie ma się podziać, i czuł się smętny i zamyślony. Dziś też pogoda się skończyła, nad równiną idą powolne mroczne chmury, a w całej Rosji szoruje się teraz podłogi przed świętem socjalizmu – cieszyć się jest jeszcze jakoś za wcześnie i nie ma czym; lepiej usiąść, zamyślić się i kreślić elementy przyszłego domu.

Kozłow poczuł radość sytości i urósł w rozum.

– Jak to się mówi, gospodarze świata, a żreć lubią – nadmienił. – Gospodarz nasamprzód dom by sobie postawił, a wy zdechniecie na gołej ziemi.

– Bydlak z ciebie, Kozłow – stwierdził Safronow. – Po co ci proletariat w domu, skoro możesz się cieszyć samą jego zewnętrzną organizacją?

– I co, że się cieszę? – odpowiedział Kozłow. – A kto mnie chociaż raz kochał? Cierp, jak to się mówi, aż staruszek kapitalizm umrze – teraz umarł, a ja znowuż żyję sam jeden pod kocem i przecież mi smutno!

Woszczew wzruszył się z przyjaźni do Kozłowa.

– Smutek to nic, towarzyszu Kozłow – powiedział. – Nasza klasa, znaczy się, odczuwa cały świat, a szczęście to tak czy owak sprawa burżuazyjna… Ze szczęścia tylko wstyd bywa!

W następnym czasie Woszczew i reszta stanęli z powrotem do pracy. Słońce świeciło jeszcze wysoko, ptaki śpiewały smętnie w oświetlonym powietrzu, nie radując się, ale szukając pokarmu w przestrzeni; jaskółki śmigały nisko nad pochylonymi, kopiącymi w ziemi ludźmi, skrzydła im milkły ze zmęczenia, a pod ich puchem i piórami był pot ubóstwa – latały od samego rana, w nieustannej męce, byle nakarmić pisklęta i partnerki. W pewnej chwili Woszczew podniósł ptaka zmarłego nagle w locie i upadłego na ziemię: był zlany potem; a kiedy Woszczew go oskubał, żeby obejrzeć ciało, w rękach została mu żałosna, mizerna istota, zmarła z przepracowania. Odtąd Woszczew się nie oszczędzał, niwecząc caliznę gruntu: będzie tutaj dom, w którym ludzie, kryjąc się przed strapieniem, będą rzucali przez okno okruszki zamieszkałym na zewnątrz ptakom.

Czyklin, nie widząc ptaków ani nieba, nie czując myśli, ciężko rozwalał ziemię łomem, a jego cielesna powłoka malała w gliniastym dole, nie martwił się jednak zmęczeniem, pewien, że w nocnym śnie jego ciało z powrotem się napełni.

Zmęczony Kozłow przysiadł na ziemi i rąbał siekierą odsłonięty wapień; pracował niepomny czasu ani miejsca, oddając resztkę swoich ciepłych sił kamieniowi, który rozbijał – kamień się rozgrzewał, a Kozłow stopniowo chłódł. Mógłby w ten sposób niepostrzeżenie całkiem umrzeć, pozostawiając rozbity kamień w ubogiej spuściźnie przyszłym rosnącym ludziom. Spodnie Kozłowa zadarły się w ruchu, spod skóry, obciągnięte nią jak wyszczerbione noże, sterczały krzywe, ostre kości goleni. Na widok tych bezbronnych kości Woszczew poczuł gorzką nerwowość; czekał, aż kości przebiją nietrwałą skórę i wyjdą na wierzch; dotknął swoich nóg w tych samych kostnych miejscach i powiedział do wszystkich:

– Fajrant! Już czas, bo umordujecie się, umrzecie i kto wtedy będzie ludźmi?

Nie usłyszał ani słowa w odpowiedzi. Nadchodził już wieczór; w oddali podnosiła się granatowa noc, zapowiedź snu i chłodnego oddechu, i – jak smutek – stały nad ziemią martwe wysokości. Kozłow nadal niszczył kamień w ziemi, nie odrywając od niego wzroku, a jego osłabione serce musiało bić nudnym rytmem.

Kierownik odcinka budowy ogólnoproletariackiego domu wyszedł ze swojego biura kreślarskiego podczas nocnych ciemności. Wykopany dół był pusty, brygada robociarzy zasnęła w baraku zwartym rzędem kadłubów i tylko płomyk przygaszonej nocnej lampy przenikał stamtąd przez szpary w deskach, podtrzymując światło na wszelki wypadek albo dla kogoś, komu nagle zachce się pić. Inżynier Pruszewski podszedł do baraku i zajrzał do środka przez dziurę po byłym sęku; pod ścianą spał Czyklin, jego nabrzmiała siłą ręka leżała na brzuchu, a całe ciało z hałasem wykonywało odżywczą pracę snu; bosy Kozłow spał z otwartymi ustami, w gardle mu bulgotało, jakby powietrze oddechu przechodziło przez ciężką, ciemną krew, a z półotwartych bladych oczu sen albo nieznana rozpacz wydobywała rzadkie łzy.

Pruszewski oderwał głowę od desek i pomyślał chwilę. W oddali świeciła w nocy elektrycznością budowa fabryki, ale Pruszewski wiedział, że nie ma tam niczego prócz martwego budulca i zmęczonych, niemyślących ludzi. Dlatego właśnie wymyślił jeden ogólnoproletariacki dom zamiast starego miasta, gdzie po dziś dzień ludzie mieszkają w sposób partykularny, zagrodowy; za rok cała miejscowa klasa proletariatu wyprowadzi się z drobnotowarowego miasta i otrzyma do życia ten monumentalny nowy dom. Za dziesięć albo dwadzieścia lat inny inżynier zbuduje w środku świata wieżę, do której przeniosą się na wieczne, szczęśliwe mieszkanie ludzie pracy całej kuli ziemskiej. Pruszewski mógłby już teraz przewidzieć, jaki wytwór mechaniki statycznej z punktu widzenia kunsztu i celowości należy umieścić w środku świata, nie umiał jednak przeczuć struktury duszy przesiedleńców we wspólnym domu pośrodku tej równiny, a tym bardziej wyobrazić sobie mieszkańców

przyszłej wieży pośrodku ogólnoświatowej ziemi. Jakie ciało będzie wtedy miała młodość i jaka pobudzająca siła sprawi, że zacznie bić serce i myśleć umysł?

Pruszewski chciał to wiedzieć już teraz, żeby nie wznosić po próżnicy ścian swojej budowy: dom miał być zamieszkany przez ludzi, a ludzie pełni są nadmiarowego ciepła życia, które kiedyś nazwano duszą. Bał się stawiać puste budowle, w jakich ludzi do zamieszkania zmusza jedynie zła pogoda.

Noc ostudziła Pruszewskiego. Zszedł w dół rozpoczętego wykopu, w którym było zaciszniej. Przez pewien czas siedział na dnie; pod sobą miał kamień, z boku wyrastał przekrój gruntu i widać było, jak na warstwie gliny zalega niepochodna od niej gleba. Czy na każdej bazie powstaje nadbudowa? Czy każda produkcja budulca życiowego wytwarza w człowieku duszę jako produkt dodatkowy? A jeżeli ulepszyć produkcję do ścisłej ekonomii – czy będzie ona wytwarzać produkty uboczne, nieoczekiwane?

Inżynier Pruszewski już w wieku dwudziestu pięciu lat poczuł ograniczenie własnej świadomości i kres dalszego pojęcia życia, jak gdyby przed jego doznającym umysłem wyrosła ciemna ściana. Dręczył się odtąd, pełzając pod swoją ścianą, i sam siebie pocieszał, że w istocie pojął najbardziej typową, prawdziwą strukturę materii, z której powstał złożony świat i ludzie, cała dostępna nauka mieści się jeszcze po tej stronie ściany jego świadomości, a za ścianą pozostał tylko nudny obszar, do którego można się nie śpieszyć. Brała go jednak ciekawość – czy ktoś nie wydostał się za ścianę? Pruszewski jeszcze raz podszedł do ściany baraku i zerknął, zgiąwszy się wpół, na najbliższego śpiącego po tamtej stronie, żeby dostrzec w nim coś, czego nie znał w życiu; niewiele jednak było tam widać, bo w nocnej lampie kończyła się nafta; słychać było tylko powolny, opadający oddech. Pruszewski porzucił barak i poszedł się ogolić do fryzjera nocnej zmiany; lubił, żeby w chwili rozpaczy dotykały go czyjeś ręce.

Po północy Pruszewski wrócił na swoją kwaterę – oficynę w głębi sadu, otworzył okno w ciemność i usiadł, żeby posiedzieć. Słaby miejscowy wiatr zaczynał czasem poruszać liśćmi, niebawem jednak na powrót następowała

cisza. Jakiś przechodzień za sadem nucił swoją piosenkę; był to zapewne rachmistrz, który wracał po wieczornej pracy, albo po prostu ktoś, komu nudno było spać.

Świecąc bez ocalenia, wisiała w oddali niewyraźna gwiazda, która nigdy nie będzie bliższa. Pruszewski wpatrywał się w nią przez mętne powietrze, czas mijał, a jego nachodziło zwątpienie.

– Czy mam umrzeć?

Pruszewski nie widział nikogo, dla kogo byłby tak niezbędny, by koniecznie podtrzymywać siebie aż do odległej jeszcze śmierci. Zamiast nadziei pozostało mu jedynie trwanie, a tam gdzie kończy się ciąg nocy, gdzie kończą się bezlistne, rozkwitłe i na powrót obumarłe ogrody, napotkani i przeminieni ludzie, istnieje jego godzina, w której trzeba się będzie położyć do łóżka, obrócić twarzą do ściany i skonać, zanim zdąży się zapłakać. Na świecie będzie żyła tylko jego siostra, ta jednak urodzi dziecko i uczucie do niego weźmie górę nad smutkiem po umarłym, zniweczonym bracie.

– Lepiej umrę – pomyślał Pruszewski. – Wykorzystują mnie, ale nikomu nic po mnie. Jutro napiszę ostatni list do siostry, trzeba rano kupić znaczek.

Z postanowieniem skonania położył się do łóżka i zasnął w szczęśliwej obojętności dla życia. Zanim zdążył odczuć pełnię szczęścia, obudziło go ono o trzeciej nad ranem. W otoczeniu pobliskich jabłoni siedział w pokoju w świetle i ciszy aż do świtu, a wtedy otworzył okno, żeby słyszeć ptaki i kroki przechodniów.

Po ogólnym przebudzeniu do noclegowego baraku kopaczy przyszedł obcy człowiek. Z robociarzy znał go tylko Kozłow dzięki swoim dawnym konfliktom. Był to towarzysz Paszkin, przewodniczący oerzetzetu[1]. Miał już twarz nie pierwszej młodości i zgarbiony korpus ciała – nie tyle z powodu wieku, ile obciążeń społecznych; z uwagi na te dane przemawiał ojcowskim tonem i prawie wszystko wiedział albo przewidywał.

„No cóż – mawiał zwykle w okresie trudności – tak czy owak historycznie nadejdzie szczęście”. I z pokorą pochylał nudną głowę, która nie nadawała się już do myślenia.

Nad rozgrzebanym dołem Paszkin postał frontem do ziemi jak do każdej produkcji.

– Tempo słabe – oznajmił robociarzom. – Dlaczego oszczędzacie na wzroście wydajności? Socjalizm bez was się obejdzie, ale wy bez niego będziecie żyć po próżnicy do śmierci.

– Jak to się mówi, staramy się, towarzyszu Paszkin – powiedział Kozłow.

– Niby gdzie się staracie?! Tylko stertę ziemi żeście wykopali!

Robotnicy nic nie odpowiedzieli, zawstydzeni przyganą Paszkina. Stali i widzieli: słusznie człowiek gada – trzeba szybciej wykopać ziemię i postawić dom, bo umrze się i nie zdąży. Niechby teraz życie uchodziło z prądem oddechu, za to dzięki budowie domu można je zorganizować na zaś – dla przyszłego niewzruszonego szczęścia i dla dzieciństwa.

Paszkin spojrzał w dal – na równiny i jary; gdzieś tam rodzi się wiatr, powstają zimne chmury, pleni się wszelkie komarze głupstwo i choroby, rozmyślają kułacy i śpi wiejskie zacofanie, a proletariat żyje sam jeden jak sukinsyn w tej nudnej pustce i musi wszystko za wszystkich wymyśleć

i ręcznie wytworzyć materię długiego życia. I obmierzły Paszkinowi wszystkie jego związki zawodowe, i zaznał w sobie dobroci dla pracujących.

– Załatwię wam, towarzysze, jakieś ulgi po linii związkowej – powiedział Paszkin.

– A skąd ty ulgi weźmiesz? – zapytał Safronow. – To my najpierw musimy je wyrobić i przekazać tobie, a ty nam.

Paszkin spojrzał na Safronowa swoimi ponuro przewidującymi oczami i poszedł w głąb miasta do pracy. W trop za nim ruszył Kozłow, a kiedy się oddalili, powiedział:

– Towarzyszu Paszkin, zarejestrował się u nas taki Woszczew, a on nie ma skierowania z giełdy pracy, powinniście go, jak to się mówi, wyrejestrować z powrotem…

– Nie widzę tu żadnego konfliktu: mamy dziś niedobór proletariatu – skonstatował Paszkin i zostawił Kozłowa bez satysfakcji.

A Kozłow z miejsca zaczął tracić na proletariackim zapale i zachciało mu się odejść w głąb miasta, żeby pisać tam szkalujące zawiadomienia i urządzać różne konflikty celem osiągnięć organizacyjnych.

Aż do południa czas mijał pomyślnie; nikt z personelu organizacyjnego ani technicznego nie zaglądał na wykop, ale ziemia wciąż się pogłębiała pod łopatą, licząc się tylko z siłami i wytrwałością kopaczy. Woszczew schylał się czasem i podnosił kamyk albo też inny zlepek prochu i kładł go na przechowanie do kieszeni spodni. Cieszył go i niepokoił niemal wieczny byt kamyka w środowisku gliny, w nagromadzonej ciemności: czyli opłaca mu się tam przebywać, a więc człowiekowi tym bardziej warto żyć. Nieszczęście powszechnego stanu na powrót jednak zaczynało dręczyć Woszczewa, odczuwał niekiedy całe życie zewnętrzne jak własne wnętrze i od czasu do czasu chrypiał gardłem, otwierając usta do wypowiedzi.

Po południu Kozłow nie mógł już złapać tchu – starał się oddychać poważnie i głęboko, ale powietrze nie wnikało jak dawniej aż do brzucha, lecz działało tylko powierzchownie. Kozłow usiadł w obnażonej ziemi, ze swoją wychudłą na kość twarzą zafrasowaną w rękach.

– Awaria? – zapytał go Safronow. – Powinieneś ćwiczyć na wzmocnienie, a ty stawiasz na konflikty i myślisz jak zacofany.

Czyklin bez wytchnienia i bez pardonu rozbijał łomem bryłę samorodnego kamienia, niezatrzymywany myślą ani nastrojem; nie wiedział, po co miałby żyć inaczej – jeszcze by został złodziejem albo naruszył rewolucję.

– Kozłow znowu osłabł! – powiedział Czyklinowi Safronow. – Nie przeżyje socjalizmu – brak w nim jakiejś funkcji!

Czyklin przestał pracować i dostrzegł Kozłowa, który już pieścił się oburącz. Czyklin z miejsca zaczął myśleć, bo nie miał co robić z życiem, skoro jego ujście w ziemię się zamknęło; oparł się wilgotnym grzbietem o ścianę wyrobiska, spojrzał w dal i wyobraził sobie wspomnienia – niczego więcej wymyśleć nie mógł. W jarze sąsiadującym z wykopem rosła teraz po trosze trawa i martwo zalegał marny piasek; nieodstępne słońce lekkomyślnie oddawało własne ciało każdemu głupstewku tutejszego niskiego życia, ono też, przy użyciu ciepłych ulew, wyryło dawno temu jar, w którym jednak nie ulokowano jeszcze żadnego proletariackiego pożytku. Sprawdzając rzecz na własnym umyśle, Czyklin zszedł do jaru i wymierzył go równymi krokami, dla rachuby miarowo oddychając. Jar był w pełni przydatny pod wykop, należało tylko wyrównać zbocza i wciąć głębię w grunt nieprzepuszczalny.

– Kozłow niech sobie tam choruje – powiedział Czyklin po przyjściu z powrotem. – Nie będziemy się tutaj starali dalej kopać; osadzimy dom w jarze, a stamtąd damy go w górę: Kozłow zdąży dożyć.

Słuchając Czyklina, wielu przestało kopać ziemię i usiadło, żeby odpocząć. Ale Kozłow doszedł już do siebie po swoim zmęczeniu i chciał się wybrać do Pruszewskiego, powiedzieć mu, że przerwano kopanie – i że trzeba podjąć należytą dyscyplinę. W zamiarze dokonania takiego organizacyjnego pożytku Kozłow z góry cieszył się i wracał do zdrowia. Lecz kiedy tylko wstał, Safronow go zastopował.

– A ty, Kozłow, co – wziąłeś kurs na inteligencję? Ona sama właśnie schodzi do naszych mas.

Pruszewski szedł w stronę wykopu na czele nieznanych ludzi. Wysłał list do siostry, a teraz chciał uparcie działać, martwić się o sprawy bieżące i budować pierwszy lepszy gmach dla cudzego dobra, byle nie drażnić własnej świadomości, w której zaprowadził szczególnego rodzaju czułą obojętność, uzgodnioną ze śmiercią i z poczuciem sieroctwa wśród tych, którzy pozostaną. We wzruszający sposób odnosił się zwłaszcza do tych, których dawniej nie wiedzieć czemu nie lubił – wyczuwał w nich teraz nieomalże główną zagadkę swojego życia, toteż bacznie się wpatrywał w obce i znajome głupie twarze, denerwując się i nie rozumiejąc.

Nieznani ludzie byli to, jak się okazało, nowi robotnicy, których przysłał Paszkin dla zabezpieczenia tempa państwowego. Robotnikami jednak nie byli: Czyklin na pierwszy rzut oka rozpoznał w nich przekwalifikowanych w drugą stronę miejskich urzędników, różnych stepowych pustelników i ludzi, co zwykli nieśpiesznym krokiem iść za pracującym koniem; nie widać było w ich ciele ani śladu proletariackiego talentu do pracy, zdolni byli raczej leżeć na wznak albo jakoś jeszcze inaczej zażywać spoczynku.

Pruszewski polecił Czyklinowi rozmieścić nowych robotników wzdłuż wykopu i przyuczyć ich do roboty, bo trzeba umieć żyć i pracować z takimi ludźmi, jacy są na świecie.

– Dla nas to frajer – stwierdził Safronow. – Raz-dwa z ich zacofania wyciśniemy aktywność.

– Otóż to – powiedział Pruszewski z zaufaniem i za Czyklinem poszedł w stronę jaru.

Czyklin powiedział, że jar to więcej niż połowa gotowego wykopu i że przy użyciu jaru można słabych ludzi oszczędzić na przyszłość. Pruszewski zgodził się z tym, bo i tak umrze wcześniej, niż skończy się gmach.

– A we mnie obudziła się wątpliwość naukowa – marszcząc swoją uprzejmie uświadomioną twarz, powiedział Safronow.

Wszyscy zaczęli słuchać, a Safronow spoglądał na otaczających go ludzi z uśmiechem zagadkowego rozumu.

– Gdzież to towarzysz Czyklin nabył takiego wyobrażenia o świecie? – przemawiał miarowo. – Czyżby w małoletniości odebrał specjalne pocałowanie, że lepiej niż uczony przedkłada parów? Czemuż to ty,

towarzyszu Czyklin, myślisz, a ja z towarzyszem Pruszewskim chodzę jak głupstwo wśród klas i nie znajduję sobie poprawy?…

Czyklin jak na podstępy był zbyt ponury z usposobienia, odpowiedział więc w przybliżeniu:

– Nie ma dokąd żyć, to myśli człowiek w głowie i już.

Pruszewski spojrzał na Czyklina jak na bezcelowego męczennika, poprosił, żeby przeprowadzić w jarze próbne wiercenie, a potem poszedł do swojej kancelarii. Tam zaczął starannie opracowywać wymyślone elementy ogólnoproletariackiego domu, żeby w swoich wspomnieniach odczuwać przedmioty, a zapomnieć o ludziach. Mniej więcej dwie godziny później Woszczew przyniósł mu próbki gruntu z wierceń.

Pruszewski wziął w rękę próbkę gruntu z jaru i skupił się na niej – chciał zostać sam na sam z tą ciemną grudką ziemi. Woszczew wycofał się za drzwi i znikł za nimi, szepcząc samemu sobie o własnym smutku.

Inżynier zbadał grunt i długo, prawem bezwładności samoczynnego rozumu uwolnionego od nadziei i żądzy zaspokojenia, obliczał możliwe naprężenie i odkształcenie tego podłoża. Dawniej, podczas życia zmysłowego i pozorów szczęścia, Pruszewski obliczyłby wytrzymałość podłoża mniej dokładnie – ale dziś czuł nieodpartą chęć troszczenia się o przedmioty i konstrukcje, żeby w umyśle i w pustym sercu zastąpiły mu przyjaźń i przywiązanie do ludzi. Skupienie nad techniką spoczynku przyszłej budowli zapewniało Pruszewskiemu bliską rozkoszy obojętność jasnej myśli – a elementy struktury budziły zainteresowanie piękniejsze i trwalsze niż towarzyskie wzruszenia z kolegami o tych samych poglądach. Wieczna materia, której niepotrzebne były ruch, życie ani zanik, zastępowała Pruszewskiemu coś tak zapomnianego, a nieodzownego jak utracona istota ukochanej kobiety.

W wyniku obliczeń Pruszewski zapewnił niepodważalny charakter przyszłemu ogólnoproletariackiemu domostwu i poczuł ulgę na myśl o solidności budulca, który miał chronić ludzi zamieszkałych dotąd na dworze. Poczuł się w środku lekko i bezgłośnie, jak gdyby żył teraz nie przedśmiertnym, obojętnym życiem, lecz tym, o którym szeptała mu niegdyś matka swoimi ustami, on jednak utracił je nawet we wspomnieniu.

Nie naruszając swojego stanu spoczynku i zdziwienia, Pruszewski opuścił kancelarię robót ziemnych. W przyrodzie opustoszały letni dzień przechodził w wieczór; w pobliżu i w oddali wszystko stopniowo się kończyło: chowały się ptaki, kładli się ludzie, posłusznie wił się dym znad odległych polnych sadyb, gdzie nieznany, zmęczony człowiek siedział przy kociołku w oczekiwaniu wieczerzy, zdeterminowany ścierpieć swoje życie do końca. W dole było pusto, kopacze przeszli do pracy w jarze i tam teraz dokonywał się ich ruch. Pruszewskiemu okropnie się nagle zachciało pobyć w dalekim centralnym mieście, gdzie ludzie do późna nie śpią, myślą i dyskutują, gdzie wieczorami otwarte są sklepy spożywcze, z których pachnie alkohol i wyroby cukiernicze, gdzie można spotkać nieznajomą kobietę i na rozmowie z nią spędzić całą noc w kryjomym szczęściu przyjaźni, kiedy to człowiek w tym poruszeniu chciałby żyć wiecznie; rankiem zaś pod zgasłą gazową latarnią rozstać się w pustce, nie przyrzekając sobie spotkania.

Pruszewski usiadł na ławce przed kancelarią. Siadywał tak kiedyś przed domem ojca – letnie wieczory nie zmieniły się od tamtych czasów – i lubił wtedy przyglądać się mijającym go przechodniom – niektórzy mu się podobali, żałował więc, że nie wszyscy ludzie znają się nawzajem. Jedno uczucie było w nim żywe i smutne do tej pory: kiedyś w taki właśnie wieczór dom jego dzieciństwa minęła dziewczyna, a on nie mógł sobie przypomnieć ani jej twarzy, ani roku owego wydarzenia, odtąd jednak wpatrywał się we wszystkie twarze kobiece i w ani jednej nie rozpoznawał tamtej, która, choć znikła, pozostała jego jedyną ukochaną, co przeszła obok niego tak blisko i nie przystanęła w drodze.

Podczas rewolucji jak Rosja długa i szeroka dzień i noc wszędzie ujadały psy, teraz jednak zamilkły: nadeszła praca i pracujący sypiali w ciszy. Milicja strzegła z zewnątrz milczenia robotniczych domostw, żeby sen był głęboki i odżywczy dla porannej pracy. Nie spała tylko nocna zmiana budowniczych i ów beznogi inwalida, którego Woszczew spotkał po przybyciu do miasta. Jechał dziś niskim wózkiem do towarzysza Paszkina, żeby otrzymać od niego swój przydział życia, po który przyjeżdżał raz na tydzień.

Paszkin mieszkał w solidnym domu z cegły, żeby nie można się było spalić, a otwarte okna jego domostwa wychodziły na kulturalny ogród, gdzie kwiaty świeciły nawet w nocy. Kaleka przejechał pod oknem kuchni, która wytwarzając kolację, huczała jak kotłownia, i zatrzymał się przed gabinetem Paszkina. Pan domu siedział nieruchomo przy biurku, głęboko zamyślony nad czymś, co było dla inwalidy niewidoczne. Na biurku mieściły się różne płyny i fiolki na wzmocnienie zdrowia i rozwój aktywności – Paszkin zyskał sobie niemało świadomości klasowej, należał do awangardy, zebrał już sporo osiągnięć, toteż w sposób naukowy dbał o swoje ciało – nie tylko dla osobistej przyjemności istnienia, lecz także dla bliskich sercu mas pracujących. Inwalida odczekał, aż Paszkin, powstawszy od pracy myślowej, wykona wszystkimi członkami pobieżną gimnastykę, a doprowadziwszy się do świeżości, usiądzie na powrót. Kaleka chciał przemówić słowem zza okna, ale Paszkin wziął w rękę flakonik i po trzech głębokich wdechach wypił z niego kroplę.

– Długo będę na ciebie czekać? – zapytał inwalida, któremu życie i zdrowie były niemiłe. – Znowu chcesz na mnie zarobić?

Paszkin żachnął się mimo woli, ale opanował wysiłkiem umysłu – nigdy nie lubił tracić własnego ciała na marne nerwowości.

– O co chodzi, towarzyszu Żaczew, czego ci brak, skąd to wzburzenie?

Żaczew wyrąbał mu fakt między oczy:

– A ty co, burżuju, zapomniałeś, za co cię toleruję? Chcesz oberwać w ślepą kiszkę ciężkim przedmiotem? Uważaj, bo na mnie kodeksu nie ma!

W tym momencie inwalida wyrwał z ziemi pęk róż, które wpadły mu w rękę, i odrzucił, nie czyniąc z nich użytku.

– Towarzyszu Żaczew – odpowiedział Paszkin. – Kompletnie ciebie nie rozumiem: przecież pobierasz rentę pierwszej grupy – więc jak to? Już i tak, jak mogłem, zawsze wychodziłem ci naprzeciw.

– Gadasz, przeżytku klasowy – to ja ci drogę zachodziłem, a nie ty mi wychodziłeś naprzeciw!

Do gabinetu Paszkina weszła jego małżonka – z czerwonymi ustami, które żarły mięso.

– Lowuszka, znowu się denerwujesz? – powiedziała. – Zaraz mu wyniosę wałówkę, to już całkiem nie do zniesienia, przy tych ludziach człowiek ostatnie nerwy sobie starga!

Wyszła na powrót, ze wzburzenia falując całym niewiarygodnym ciałem.

– Widzisz go, jak to żonę utuczył, łajdus jeden! – dogadywał z ogrodu Żaczew. – Na jałowym biegu wszystkimi zaworami robi – czyli że możesz nią, suką, zarządzać!

Paszkin miał zbyt duże doświadczenie w kierowaniu zapóźnionymi, żeby się irytować.

– Sam byś mógł z powodzeniem, towarzyszu Żaczew, utrzymywać towarzyszkę życia: renta uwzględnia wszystkie minimalne potrzeby.

– Oho, ale grzeczna żmija – ocenił Żaczew z mroku. – Renty mi nawet na jagły nie starcza – tylko na proso. A ja chcę tłuszczu i nabiału. Powiedz swojej suczce, żeby mi gęstej śmietany odlała do butelki.

Żona Paszkina weszła do pokoju męża z przygotowaną wałówką.

– Olu, on chce śmietany – zwrócił się do niej Paszkin.

– Jeszcze czego! Może mu jedwabiu kupić na gacie? Myślałby kto!

– Ona chce, żebym jej kieckę na ulicy rozciął – przemówił z klombu Żaczew. – Albo szybę wytłukł w sypialni – aż do stolika pod puder, gdzie sobie gębę użyźnia – jak nic chce ode mnie oberwać!…

Żona Paszkina pamiętała, że Żaczew posłał do Obwodowej Komisji Kontroli pismo na jej męża, a dochodzenie ciągnęło się potem przez bity miesiąc: przyczepiali się nawet do imion – niby dlaczego i Lew, i Iljicz jednocześnie?[2] – żeby przynajmniej tylko jedno! Wyniosła więc inwalidzie bez zwłoki butelkę spółdzielczej śmietany, a Żaczew, skoro odebrał przez okno wałówkę i butelkę, zniknął z dawnego dworskiego parku.

– Sprawdzę w domu jakość produktów – nadmienił jeszcze, zatrzymując swój powóz przy furtce. – Niech znów się trafi kawałek zepsutej wołowiny albo, nie przymierzając, ochłap, to jak w banku oberwiecie cegłówką w bęben: jestem z lepszej ludzkości niż wy – należy mi się godne żywienie!

Sam na sam z żoną Paszkin do późnej nocy nie mógł opędzić się od strachu przed kaleką. Żona Paszkina umiała z nudów myśleć, wymyśliła więc myśl podczas rodzinnego milczenia.

– Wiesz co, Lowuszka?… Zorganizowałbyś jakoś tego Żaczewa, a potem wysunął go na stanowisko: niech choćby kieruje ułomnymi! Przecież każdy człowiek powinien mieć choćby najmniejszą panującą ważność, wtedy jest spokojny i przyzwoity… Lowuszka, strasznie jednak jesteś łatwowierny, ni w pięć, ni w dziewięć!

Paszkin po wysłuchaniu żony poczuł miłość i spokój – znów mu wróciło zasadnicze życie.

– Oleńko, żabciu, przecież ty fenomenalnie wyczuwasz masy! Niechże ja cię za to przyorganizuję!

Przyłożył swoją głowę do ciała żony i zastygł w rozkoszy szczęścia i ciepła. W parku trwała noc, w oddali skrzypiał wózek Żaczewa – słysząc ten skrzypiący symptom, wszyscy drobni mieszkańcy miasta dobrze wiedzieli, że masła śmietankowego brak, bo Żaczew zawsze smarował swój wózek właśnie śmietankowym masłem, otrzymywanym z wałówką od osób sytuowanych; z rozmysłem zużywał produkt, żeby nie przydawać ciału burżuazji nadmiaru sił, a sam nie zamierzał odżywiać się tą dostatnią

materią. W ostatnich dwóch dniach Żaczew nie wiedzieć czemu nabrał apetytu na spotkanie z Nikitą Czyklinem, obrócił więc wózek w kierunku na wykop ziemny.

– Nikit! – zawołał pod barakiem noclegowym.

Głos jeszcze bardziej uwyraźnił noc, ciszę i ogólny smutek słabego życia w ciemnościach. Z baraku nie dobiegł odzew, słychać było tylko mizerne oddechy. „Bez snu człowiek pracujący dawno by już nogi wyciągnął” – pomyślał Żaczew i cicho pojechał dalej. Z jaru wyszło jednak dwóch mężczyzn z latarnią, w jej świetle ujrzeli więc Żaczewa.

– Coś ty za jeden, taki niski? – zapytał głos Safronowa.

– To ja – powiedział Żaczew. – Bo mnie kapitał skrócił o połowę. A między wami dwoma nie ma jednego Nikity?

– To nie zwierzę, ale człowiek jak nic – odparł tenże Safronow. – Czyklin, powiedz mu co w swoim temacie.

Czyklin oświetlił twarz i całe krótkie ciało Żaczewa, a potem z zakłopotaniem obrócił latarnię w ciemną stronę.

– Co jest, Żaczew? – powiedział cicho. – Przyjechałeś pojeść kaszy? Chodźmy, została nam, a do jutra się skwasi, i tak ją wyrzucamy.

Czyklin obawiał się, by Żaczew nie obraził się o pomoc i zjadł kaszę z pewnością, że jest już niczyja i że i tak ją wyrzucą. Żaczew już dawniej, kiedy Czyklin pracował przy oczyszczaniu rzeki z pni drzewnych, odwiedzał go, żeby się pożywić przy klasie robotniczej; w środku lata zmienił jednak kurs i zaczął się stołować u klasy maksymalnej, co, jak liczył, przyniesie pożytek całemu nieposiadającemu dążeniu do dalszego szczęścia.

– Stęskniłem się za tobą – oznajmił Żaczew. – Męczy mnie, jak widzę szuję, chcę się więc ciebie zapytać, kiedy dobudujecie tę swoją brednię, żeby można było spalić miasto.

– Masz tobie kąkol przy pszenicy! – powiedział Safronow o kalece. – My tu żyły z siebie wypruwamy przy budowie wspólnego gmachu, a on rzuca hasło, że nasz stan to brednia i w niczym nie ma elementu zmysłu mądrości!

Safronow wiedział, że socjalizm to sprawa naukowa, wypowiadał więc słowa równie logicznie i naukowo, wzmacniając je jak każdy budulec podwójnym sensem – głównym i zapasowym. We trzech dotarli już do baraku i weszli do środka. Woszczew wyciągnął z kąta żeliwniak z kaszą, dla zachowania ciepła zawinięty w waciak, i dał przybyłym jeść. Czyklin i Safronow mocno zmarzli, cali byli w glinie i w wilgoci; zeszli wcześniej do dołu, żeby rozkopać podziemne źródło i zamknąć odpływ na fest glinianym ryglem.

Żaczew nie wypakował swojej wałówki, ale zjadł wspólną kaszę, wykorzystując ją i do zaspokojenia głodu, i do ustanowienia równości z dwoma jedzącymi mężczyznami. Po posiłku Czyklin i Safronow wyszli na dwór – żeby odetchnąć przed snem i rozejrzeć się wokoło. Stali tyle, ile trzeba. Gwiaździsta, ścisła noc nie pasowała do zawziętej ziemi jaru i nierównego oddechu śpiących kopaczy. Jeżeli patrzeć tylko z dołu, w suche głupstwo gleby i trawy, żyjących w ścisku i w biedzie, to w życiu nie było nadziei; powszechna światowa bylejakość oraz ludzka niekulturalna posępność wprawiały Safronowa w zakłopotanie i naruszały jego ideologiczne podwaliny. Zaczynał nawet powątpiewać w szczęście przyszłości, które zwidywało mu się w obrazie niebieskiego lata w świetle nieruchomego słońca – we dnie i w nocy wokoło było zbyt niejasno i daremnie.

– Czyklin, co ty tak milczkiem żyjesz? Powiedziałbyś albo zrobił co dla mojej przyjemności!

– Ściskać mam się z tobą czy co? – odpowiedział Czyklin. – Wykopiemy dół i dobra… Ugadaj tych, co ich nam z pośredniaka przysłali, bo bardzo ciała przy robocie oszczędzają, jakby co w nim składali!

– Da się zrobić! – odpowiedział Safronow. – Z powodzeniem! Raz-dwa przerobię tych pastuchów i gryzipiórków na klasę robotniczą – tak mi zaczną kopać, że cały śmiertelny element w oczach im się pokaże… A czemu, Nikit, pole tak smętnie leży? Czy w środku całego świata jest rozpacz, a tylko w nas plan pięcioletni?

Czyklin miał małą, gęsto porosłą włosami kamienistą głowę, bo przez całe życie albo walił młotem, albo robił szpadlem, a myśleć nie miał kiedy,

nie objaśnił więc Safronowowi jego wątpliwości.

Westchnęli w zapadłej ciszy i poszli spać. Żaczew zwinął się już w swoim wózku i spał, jak mógł, a Woszczew leżał na wznak i patrzał oczami z wytrwałą ciekawością.

– Mówiliście, że wszystko wiecie – powiedział Woszczew – a sami nic, tylko ziemię kopiecie i śpicie! Lepiej od was odejdę – będę chodził po kołchozach po prośbie: i tak bez prawdy wstyd mi żyć.

Safronow przybrał na twarzy określony wyraz wyższości i minął nogi śpiących lekkim, zwierzchnim krokiem.

– Ale, ale, powiedzcie, towarzyszu, w jakiej postaci winszujecie sobie otrzymać ten produkt – okrągłej czy ciekłej?

– Zostaw go – wtrącił Czyklin. – Wszyscy żyjemy na pustym świecie – bo to sam masz spokój w sercu?

Safronow, który cenił sobie urodę życia i grzeczność umysłu, był z uszanowaniem względem losu Woszczewa, chociaż zarazem czuł się głęboko zaniepokojony, czy prawda nie jest aby tylko wrogiem klasowym – on teraz może się przecież pojawić w formie snu i fantazji!

– Ty, towarzyszu Czyklin, na razie wstrzymaj się ze swoją deklaracją – nadmienił z gruntu znacząco. – Kwestię podniesiono pryncypialnie, trzeba więc ją położyć z powrotem zgodnie z całą teorią emocji i psychozy zbiorowej…

– Safronow, przestań, jak to się mówi, obniżać mi zarobki – powiedział zbudzony Kozłow. – Nie zabieraj głosu, kiedy śpię, bo napiszę na ciebie pismo! Uważaj – sen przecież też za płacę roboczą chodzi, już tam ci to wytłumaczą…

Safronow wydał w ustach jakiś pouczający dźwięk i powiedział swoim najtubalniejszym głosem:

– Za pozwoleniem, obywatelu Kozłow, śpij normalnie – co to za taka klasa nerwowej inteligencji się tu stawiła, że dźwięk zaraz urasta do biurokratyzmu? A skoro ty, Kozłow, masz umysłowe nadzienie i leżysz w awangardzie, to unieś się na łokciu i powiedz: czemu towarzyszowi Woszczewowi burżuazja nie zostawiła światowego spisu martwego inwentarza, żeby nie był stratny i taki śmiechu wart?…

Ale Kozłow już spał i czuł tylko głębię własnego ciała. Woszczew ułożył się zaś twarzą w dół i zaczął się skarżyć szeptem sam sobie na zagadkowe życie, w którym bezlitośnie się urodził.

Ostatni nieśpiący położyli się i uspokoili; noc zamarła przed świtem – i tylko jedno małe zwierzę z rozpaczy czy z radości krzyczało gdzieś na jaśniejącym stepowym horyzoncie. Czyklin siedział wśród śpiących i w milczeniu przeżywał własne życie; lubił czasem siedzieć w ciszy i obserwować to, co widać. Myślenie przychodziło mu z trudem i bardzo nad tym bolał – chcąc nie chcąc przychodziło mu jedynie odczuwać i wzruszać się w milczeniu. A im bardziej siedział, tym gęściej w bezruchu gromadził się w nim smutek – Czyklin wstał zatem i zaparł się rękami o ścianę baraku, byleby napierać i posuwać się ku czemuś. Spać ani trochę mu się nie chciało – owszem, poszedłby teraz w pole i potańczył z różnymi dziewczynami i ludźmi pod chmurką jak za starych czasów, kiedy pracował w fabryce kafli. Kiedyś pocałowała go tam przelotnie córka pryncypała: schodził do piwnicy, gdzie wyrabiano glinę, po schodach w miesiącu czerwcu, a ona szła z naprzeciwka i, wspiąwszy się na skrytych pod sukienką nogach, chwyciła go za ramiona i pocałowała swoimi nabrzmiałymi, milkliwymi wargami w sierść na policzku. Czyklin nie pamięta już teraz ani jej twarzy, ani charakteru, wtedy jednak mu się nie podobała, była jak jakieś haniebne zwierzę – dlatego minął ją wówczas, nie zatrzymując się, a ona może potem płakała, szlachetna istota.

Szykując się na noc jak na zimę, włożył swój waciak żółtotyfusowej barwy, który był jedynym jego okryciem od czasu ujarzmienia burżuazji. Zamierzał wyjść i pochodzić wzdłuż drogi, a dokonawszy tego i owego, zasnąć następnie w rannej rosie.

Ktoś z początku nieznany wszedł do noclegowni i stanął w ciemności wejścia.

– Nie śpicie jeszcze, towarzyszu Czyklin? – przemówił Pruszewski. – Ja też chodzę i nie mogę zasnąć: wciąż mi się wydaje, że kogoś straciłem i nie mogę odnaleźć…

Czyklin milczał skrępowany, bo choć szanował mądrość inżyniera, nie potrafił mu odpowiedzieć ze współczuciem.

Pruszewski usiadł na ławce i zwiesił głowę; odkąd postanowił zniknąć ze świata, nie wstydził się już ludzi i sam do nich przyszedł.

– Przepraszam, towarzyszu Czyklin, ale przez cały czas męczę się sam na kwaterze. Czy można tu posiedzieć do rana?

– Dlaczego nie? – powiedział Czyklin. – Między nami odetchniesz spokojnie, połóż się na moim miejscu, a ja się gdzieś przytulę.

– Nie, lepiej tutaj posiedzę. W domu nachodzi człowieka smutek i strach, nie wiem, co począć. Nie pomyślcie tylko o mnie niewłaściwie.

Czyklin niczego nie pomyślał.

– Nie ruszaj się stąd nigdzie – powiedział. – Nie damy cię skrzywdzić nikomu, nic się teraz nie bój.

Pruszewski siedział nadal w tym samym nastroju, lampa oświetlała jego poważną, wyzbytą szczęśliwego samopoczucia twarz, żałował już jednak, że postąpił nieświadomie i przyszedł tutaj: i tak już niedługo pozostało mu do śmierci i do likwidacji wszystkiego.

Słysząc hałas rozmowy, Safronow uchylił jedno oko i zaczął myśleć, jaką najpomyślniejszą linię miałby obrać względem siedzącego przedstawiciela inteligencji. Po namyśle powiedział:

– Wyście, towarzyszu Pruszewski, wedle moich informacji własną krew marnowali, żeby obmyśleć ze wszystkimi szykanami ogólnoproletariacką powierzchnię lokalową. A teraz, jak obserwuję, zjawiliście się nocą u mas proletariackich, jakby za wami miał miejsce jakiś gniew! Ale że mamy kurs na specjalistów, to połóżcie się naprzeciwko mnie, żebyście stale widzieli moją twarz i śmiało spali…

Żaczew też się obudził na wózku.

– Może on chce jeść? – zapytał z punktu widzenia Pruszewskiego. – Bo mam burżujskie jedzenie.

– Jak to burżujskie? Ile ma pożywności, towarzyszu? – zapytał zdumiony Safronow. – Gdzie wyście trafili na burżuazyjny personel?

– Cicho, ty ciemne głupstwo! – odparł Żaczew. – Twoja rzecz to zostać całym w tym życiu, a moja – zginąć, żeby zwolnić miejsce!

– Nie bój nic! – mówił Czyklin do Pruszewskiego. – Połóż się i zamknij oczy. Będę niedaleko – jak się wystraszysz, to mnie zawołaj.

Pruszewski przeszedł przygięty, żeby nie robić hałasu, na miejsce Czyklina i położył się tam w ubraniu. Czyklin zdjął waciak i rzucił mu na nogi, żeby się okrył.

– Od czterech miesięcy nie płaciłem składek związkowych – powiedział cicho Pruszewski, od razu marznąc od dołu i okrywając się waciakiem. – Ciągle myślałem, że zdążę.

– Teraz jesteście człowiekiem automatycznie skreślonym: fakt! – orzekł ze swojego miejsca Safronow.

– Śpijcie w milczeniu! – powiedział Czyklin do wszystkich i wyszedł na dwór, żeby pożyć samemu wśród nudnej nocy.

Rano Kozłow długo stał nad śpiącym ciałem Pruszewskiego; martwiło go, że ta mądra kierownicza osobistość śpi jak byle obywatel wśród leżących mas i straci teraz swój autorytet. Kozłow musiał do głębi wniknąć w tak zaskakującą okoliczność – nie chciał i nie mógł zgodzić się na wystawienie całego państwa na szwank z powodu niewłaściwej linii kierownika odcinka, aż się nawet zdenerwował i umył z pośpiechem, żeby być w pogotowiu. W takich chwilach życia, w chwilach grożącego niebezpieczeństwa, Kozłow odczuwał wewnątrz siebie palącą radość społeczną i chciał tę radość obrócić w czyn i umrzeć z entuzjazmem, żeby cała klasa poznała się na nim i opłakała jego śmierć. W tym momencie Kozłow nawet zadygotał z zapału, nie bacząc na letnią porę. Ze świadomością podszedł do Pruszewskiego i obudził śpiącego.

– Towarzyszu kierowniku, proszę iść na swoją kwaterę – powiedział z zimną krwią. – Nasi robotnicy nie dojrzeli jeszcze do pełnego rozumienia, więc będzie wam niełatwo wypełniać obowiązki.

– Nie wasza sprawa – odparł Pruszewski.

– O, nie, za przeproszeniem – zaoponował Kozłow. – Każdy, jak to się mówi, obywatel ma obowiązek podźwignąć wydane mu dyspozycje, a wy rzucacie swoje w dół i równacie do zacofania. To na nic, zwrócę się do instancji, psujecie nam linię, nie godzicie się z tempem i kierownictwem – ot co!

Żaczew gryzł samymi dziąsłami i milczał, bo wolał jeszcze dziś, ale później, rąbnąć Kozłowa w brzuch jako przepychającą się do przodu szuję. A Woszczew, słysząc te słowa i wykrzykniki, leżał bezgłośnie, jak dawniej nie pojmując życia. „Bodajbym się urodził komarem: ten ma żywot krótki” – rozważał.

Pruszewski, nie odzywając się do Kozłowa, wstał z legowiska, spojrzał na znanego sobie Woszczewa i następnie skupił spojrzenie na śpiących ludziach; chciał wyrzec dręczące go słowo czy też prośbę, ale uczucie smutku jak zmęczenie przebiegło mu po twarzy, aż zaczął się zbierać do wyjścia. Czyklin, który nadszedł od strony świtu, powiedział Pruszewskiemu, że jeżeli wieczorem znowu strach go zdejmie, niech z powrotem przyjdzie na noc, a jeżeli czegoś chce, to niech lepiej powie.

Ale Pruszewski nie odpowiedział, szli więc dalej swoją drogą w milczeniu. Długi dzień zaczynał się ponuro i upalnie; słońce jak ślepota trwało nad dolnym ubóstwem ziemi; inne miejsce do życia nie było im jednak dane.

– Kiedyś, dawno temu – jeszcze prawie w dzieciństwie – powiedział Pruszewski – zwróciłem uwagę, towarzyszu Czyklin, na kobietę, która mnie mijała, równie młoda jak ja wtedy. Działo się to pewnie w czerwcu albo w lipcu, a odtąd właśnie poczułem zgryzotę i zacząłem wszystko pamiętać i rozumieć, ale jej nie widywałem, a chcę jeszcze raz na nią spojrzeć. I niczego więcej już nie chcę.

– Gdzieś ty na nią zwrócił uwagę? – zapytał Czyklin.

– W tym samym mieście.

– Więc to pewno córka kaflarza? – domyślił się Czyklin.

– Dlaczego? – powiedział Pruszewski. – Nie rozumiem!

– Bo ja ją też spotkałem w miesiącu czerwcu – i zaparłem się, żeby na nią nie patrzeć. A później, po pewnym czasie coś mi się do niej rozpaliło w sercu, w sam raz jak tobie. Trafił się nam obu jeden i ten sam człowiek płci żeńskiej.

Pruszewski uśmiechnął się skromnie.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że ci ją przyprowadzę, żebyś ją zobaczył: byle tylko żyła dziś na świecie!

Czyklin dokładnie wyobrażał sobie strapienie Pruszewskiego, bo i jego samego, chociaż mniej pamiętliwie, trapił kiedyś taki smutek – żal za chudym, obcym z pochodzenia, lekkomyślnym człowiekiem, który

w milczeniu pocałował go w lewy bok twarzy. A zatem ten sam rzadki, uroczy obiekt z bliska i z daleka oddziaływał na nich obu.

– Pewnikiem stara już się teraz zrobiła – powiedział niebawem Czyklin. – Pewno się całkiem umordowała i cerę ma teraz ściemniałą albo jak kucharka.

– Pewnie tak – przytaknął Pruszewski. – Sporo czasu minęło, jeżeli więc żyje, musiało ją osmalić.

Przystanęli na skraju dołu w jarze; trzeba było znacznie wcześniej zacząć kopać taką czeluść pod wspólny dom, wtedy by i ta istota, której potrzebował Pruszewski, znalazła się tu w nienaruszonym stanie.

– A najpewniej jest teraz świadoma – powiedział Czyklin – i działa dla naszego dobra: kto za młodu miał nieszczęśliwe uczucie, nabywa później rozumu.

Pruszewski rozejrzał się po pustej sferze najbliższej przyrody i zrobiło mu się przykro, że jego zaginiona ukochana i wielu potrzebnych ludzi musi żyć i ginąć na tej śmiertelnej ziemi, na której nie urządzono jeszcze schronienia – zwierzył więc Czyklinowi pewną kłopotliwą myśl:

– Ale ja przecież nie znam jej twarzy! Co zrobimy, kiedy przyjdzie, towarzyszu Czyklin?

– Jak poczujesz, to ją poznasz – odpowiedział mu Czyklin. – A bo to mało na świecie zapomnianych? Sam smutek ci ją przypomni.

Pruszewski zrozumiał, że to prawda, i bojąc się czymś zniechęcić Czyklina, wyjął zegarek, żeby dowieść swojej troski o nieodległą dzienną pracę.

Safronow, udając kulturalne ruchy i zadumę na twarzy, zbliżył się do Czyklina.

– Jak słyszałem, towarzysze, rozrzucaliście tu swoje tendencje, proszę was więc o większą bierność, bo nadchodzi czas produkcji! A ty, towarzyszu Czyklin, powinieneś się orientować na Kozłowa, bo bierze linię na sabotaż.

Kozłow tymczasem jadł śniadanie w nastroju zgryzoty: uważał swoje rewolucyjne zasługi za niewystarczające, a pożytek społeczny, jaki przynosił co dzień – za zbyt nikły. Obudził się dzisiaj po północy i aż do

rana z uwagą się męczył – tym, że główne budownictwo organizacyjne postępuje bez jego udziału, a on funkcjonuje tylko w parowie, nie w gigantycznej skali kierowniczej. Nad ranem Kozłow postanowił w duchu, że przejdzie na rentę inwalidzką, żeby w całości poświęcić się największej korzyści społecznej – w ten sposób wraz z udręką zyskiwało w nim głos proletariackie sumienie.

Safronow, słysząc tę myśl od Kozłowa, uznał go za pasożyta i rzekł:

– Zaposiadłeś, Kozłow, swoją zasadę i porzucasz masy robocze, a sam wyłazisz w dal: a więc obca wsza z ciebie, co swoją linię zawsze trzyma na wierzch.

– Ty, jak to się mówi, lepiej siedź cicho! – powiedział Kozłow. – Uważaj, mam cię na oku!… Pamiętasz, jak podmówiłeś na wsi jednego biedniaka akurat w czasie kursu na kolektywizację, żeby koguta zarżnął i zjadł? Pamiętasz? To się wie, że chciałeś osłabić kolektywizację! To się wie, czyś ty swój!

Safronow, w którym idea miała miejsce w otoczeniu przyziemnych namiętności, pozostawił wywody Kozłowa bez odpowiedzi i oddalił się od niego swoim wolnomyślnym krokiem. Nie uważał składanych na siebie doniesień.

Czyklin podszedł do Kozłowa i wypytał go o wszystko.

– Pójdę dzisiaj do ubezpieczalni ustawić się na rencie – oznajmił Kozłow. – Chcę mieć wszystko na oku na okoliczność szkody społecznej i drobnomieszczańskiego buntu.

– Klasa robotnicza to nie car – powiedział Czyklin. – Buntów się nie boi.

– Nie boi to nie boi – nie przeczył Kozłow. – Grunt, żeby jej, jak to się mówi, dopilnować.

Żaczew był już obok na wózku – odjechał w tył, a potem rozpędził się w przód i całym ciężarem rąbnął Kozłowa milczącą głową w brzuch. Kozłow upadł na wznak z przerażenia, tracąc na moment pragnienie największego pożytku publicznego. Czyklin, pochyliwszy się, podniósł Żaczewa razem z wózkiem w powietrze i cisnął nim w przestrzeń. Żaczew, balansując ruch, zdołał przesłać z linii lotu swoje słowa: „Za co, Nikit?

Chciałem, żeby on dostał rentę pierwszej kategorii!” – po czym wskutek upadku rozbił pojazd między ciałem a ziemią.

– Idź, Kozłow! – powiedział Czyklin do leżącego człowieka. – Wszyscy pewno pójdziemy tam po kolei. Pora ci już odetchnąć.

Wracając do przytomności, Kozłow oświadczył, że nocami śni mu się szef ZUS, towarzysz Romanow, i różni czysto ubrani ludzie, że aż wzrusza się przez cały ten tydzień.

Niebawem Kozłow ubrał się w marynarkę, a Czyklin wraz z pozostałymi oczyścił jego ubranie z ziemi i uczepionych śmieci. Safronow dał radę przynieść Żaczewa i zwaliwszy jego bezsilne ciało w kącie baraku, powiedział:

– Niech ta proletariacka materia tu poleży – jakaś zasada z niego wyrośnie.

Kozłow podał wszystkim swoją rękę i poszedł się ustawić na rencie.

– Żegnaj – powiedział mu Safronow. – Jesteś teraz jak przodujący anioł z robotniczego składu w obliczu jego wniebowstąpienia do instytucji służbowych…

Kozłow sam też potrafił myśleć myśli, z własnościowym kuferkiem w ręce odszedł więc w milczeniu do wyższego, ogólnie pożytecznego życia.

Tymczasem przez pole za jarem biegł pewien człowiek, którego nie sposób było jeszcze rozpoznać i zatrzymać; jego ciało wychudło wewnątrz ubrania, spodnie kołysały się więc na nim jak puste. Człowiek dobiegł do ludzi i siadł osobno na stercie ziemi jako ktoś wszystkim obcy. Jedno oko przymknął, a drugim patrzył, spodziewając się najgorszego, ale nie myśląc się skarżyć; oko chutorowego, żółtego koloru szacowało cały widzialny pozór z bólem oszczędności.

Niebawem obcy westchnął i zasnął, leżąc na brzuchu. Nikt nie bronił mu się tutaj znajdować, bo mało to kto jeszcze żyje bez udziału w budownictwie – a nadszedł już czas pracy w dole.

Człowiek pracy miewa nocami różne sny – jedne są wyrazem spełnionej nadziei, inne – przeczuciem własnej trumny w gliniastym grobie; ale czas dzienny przeżywa się jednakowym, zgarbionym sposobem – w wytrwałości ciała, które kopie ziemię, żeby posadzić w świeżej czeluści wieczny, kamienny korzeń niewzruszonej budowy.

Nowi kopacze stopniowo się oswoili i wdrożyli do pracy. Każdy wymyślił sobie ideę przyszłego stąd ocalenia – jeden chciał uzbierać staż i pójść na studia, drugi wyczekiwał momentu, żeby się przekwalifikować, trzeci zaś wolał wstąpić do partii i ukryć się w aparacie kierowniczym – a każdy gorliwie rył w ziemi, ustawicznie pomny tej swojej idei zbawienia.

Paszkin co drugi dzień stawał nad dołem i jak dawniej uznawał tempo za opieszałe. Zwykle przyjeżdżał konno, bo powóz sprzedał w epoce cięć, teraz więc z grzbietu zwierzęcia doglądał wielkiego kopania. Żaczew był jednak obecny na miejscu i potrafił podczas pieszych wycieczek Paszkina w głąb wykopu tak napoić konia, że Paszkin zaczął się wystrzegać jazdy konnej, a przybywał autem.

Woszczew jak dawniej nie czuł prawdy życia, ale pogodził się z tym, zmęczony ciężkim gruntem – zbierał tylko w dni wolne różne nieszczęsne głupstewka przyrody jako świadectwa bezplanowego stworzenia świata, jako fakty melancholii wszelkiego żywego tchnienia.

A wieczorami, które teraz były ciemniejsze i dłuższe, w baraku żyło się marnie. Chłop z żółtymi oczami, który przybiegł skądś z kraju pól, również mieszkał z brygadą; miał tam milczące miejsce, ale okupywał swoje istnienie kobiecą pracą przy wspólnym gospodarstwie, aż do pilnej naprawy wytartego przyodziewku. Safronow zastanawiał się już po cichu, czy nie czas wprowadzić tego chłopa do związku jako pracownika usługowego, nie

wiedział jednak, ile tamten miał we wsi sztuk bydła w obejściu i czy nie korzystał z siły najemnej, powściągał więc swoje zamiary.

Wieczorami Woszczew leżał z otwartymi oczami i tęsknił do przyszłości, kiedy wszystko będzie ogólnie wiadome i zawarte w oszczędnym uczuciu szczęścia. Żaczew przekonywał Woszczewa, że to nierozumne życzenie, bo wroga siła posiadająca znowu się odradza i zasłania światło życia – trzeba tylko ocalić dzieci jako czułość rewolucji i pozostawić im dyspozycje.

– Wiecie, towarzysze – przemówił któregoś razu Safronow – a może byśmy zainstalowali radio, żeby słuchać osiągnięć i dyrektyw? Mamy zapóźnione masy, dla których z pożytkiem byłaby rewolucja kulturalna i wszelki dźwięk muzyczny, żeby nie gromadzili w sobie ciemnych nastrojów!

– Lepiej dziewczynkę, sierotkę przyprowadzić za rączkę niż twoje radio – zaoponował Żaczew.

– A jakie z twojej dziewczynki, towarzyszu Żaczew, zasługi albo nauki? Czymże ona się dręczy w imię wzniesienia ogólnej budowy?

– Ona teraz cukru nie jada dla twojej budowy, przez to właśnie służy, żebyś tak stracił jednomyślną duszę! – odparł Żaczew.

– Aha – wyraził pogląd Safronow – a zatem, towarzyszu Żaczew, dostarcz nam tę opłakaną dziewczynkę swoim transportem – na jej melodyjny widok zaczniemy żyć zgodniej.

I Safronow stanął przed frontem zebranych w pozycji przywódcy likwidacji analfabetyzmu i oświecenia, a następnie przeszedł się pewnym siebie krokiem i przybrał twarz aktywnie myślącą.

– Towarzysze, jest rzeczą konieczną, żebyśmy w formie dzieciństwa posiadali tutaj przywódcę przyszłego świata proletariackiego: w tej kwestii towarzysz Żaczew uzasadnił sytuację, w której mimo braku nóg ma całą głowę.

Żaczew chciał już udzielić odpowiedzi, ale wolał przyciągnąć do siebie za nogawkę pobliskiego chłopa z chutoru i dać mu jako naocznie winnemu burżujowi rozwiniętą ręką dwie sójki w bok. Żółte oczy chłopa tylko

zwęziły się z bólu, lecz on sam nie przedsięwziął najmniejszej obrony i stał w milczeniu na ziemi.

– Patrzcie go, co za żelazny aparat – stoi i nic się nie boi! – rozeźlił się Żaczew i znowu długą ręką wymierzył chłopu cios hakiem. – Widać gdzie indziej bardziej go bili, a u nas to luksus: poczuj, kto ma władzę, ty krowi kochasiu!

Chłop przysiadł w dół, żeby złapać oddech. Przyzwyczaił się już znosić uderzenia Żaczewa za swoją własność na wsi i bezgłośnie zmagał się z bólem.

– Jeszcze i towarzysz Woszczew powinien odebrać od Żaczewa sądny cios – powiedział Safronow. – Bo sam jeden z proletariatu nie wie, po co żyje.

– A po co, towarzyszu Safronow? – dosłyszał w głębi szopy Woszczew. – Chcę prawdy dla wydajności pracy.

Safronow wykonał ręką gest moralnego pouczenia, a na jego twarzy powstała namarszczona myśl litości dla człowieka zacofanego.

– Proletariat żyje dla entuzjazmu, towarzyszu Woszczew! Powinieneś już nabyć tę tendencję. To hasło powinno zapalać ciało każdego członka związku!

Czyklina nie było, chodził po okolicy wokół fabryki kafli. Wszystko miało dawny wygląd, przybrało tylko zgrzybiałość obumierającego świata; drzewa uliczne rozsychały się ze starości i od dawna stały bez liści, ktoś jednak jeszcze istniał, kryjąc się za podwójnymi oknami małych domków, wiodąc życie trwalsze niż drzewa. W młodości Czyklina pachniała tu piekarnia, jeździli węglarze i głośno propagandowano mleko z wiejskich furmanek. Słońce dzieciństwa nagrzewało wtedy kurz na drogach, a własne życie stanowiło wieczność pośród sinej, mglistej ziemi, której Czyklin zaczynał dopiero dotykać bosymi nogami. Teraz zaś nad wygasłą piekarnią i zestarzałymi sadami jabłoniowymi stała aura zgrzybiałości i pożegnalnej pamięci.

Nieprzerwanie aktywny instynkt życia przyprawiał Czyklina o smutek, tym bardziej że ujrzał pewien parkan, pod którym siadywał i bawił się w dzieciństwie, a dziś parkan ten oszroniał od mchu, pochylił się, dawne gwoździe sterczały z niego, mocą czasu uwalniane z ciasnoty miazgi drzewnej; smutne i zagadkowe było to, że Czyklin doszedł lat męskich, zapamiętale marnotrawił instynkt, wyprawiał się w dalekie strony i pracował w rozmaitych dziedzinach, a stary parkan stał niewzruszony i mając go zawsze w pamięci, doczekał chwili, kiedy Czyklin przeszedł wzdłuż niego i pogłaskał zapomniane przez wszystkich deski odwykłą od szczęścia ręką.

Fabryka kafli mieściła się w bocznej, trawiastej uliczce, którą nikt donikąd nie chodził, bo kończyła się ślepym murem cmentarza. Budynek fabryki był teraz niższy, jako że stopniowo wrastał w ziemię, a podwórze świeciło pustkami. A jednak tkwił tu jeszcze pewien nieznajomy

starowina – siedział pod wiatą na surowiec i reperował łapcie, mając widocznie zamiar wyruszyć w nich z powrotem w dawne dzieje.

– Co tu teraz jest? – zapytał go Czyklin.

– Tutaj, kochasiu, jest konsterwacja – władza sowiecka jest silna, a tutejsza maszyna ledwo zipie – dogodzić nie potrafi. A mnie teraz prawie za jedno: długo już dychać nie będę.

– Z całego świata tylko łapcie ci pasują! – rzekł mu Czyklin. – Zaczekaj tu na mnie w jednym miejscu, to ci dostarczę coś z ubrania albo jedzenia.

– A ty sam coś za jeden? – zapytał stary, układając w baczną minę swoją pełną nabożeństwa twarz. – Niby że złodziejaszek czy po prostu burżuj właściciel?

– Ja z proletariatu jestem – niechętnie poinformował Czyklin.

– Aha, toś ty dzisiaj król: jak tak, to na ciebie zaczekam.

Z siłą wstydu i smutku Czyklin wszedł do starego budynku fabryki; niebawem odnalazł też tamte drewniane schodki, na których niegdyś pocałowała go córka pryncypała – schodki tak zbutwiały, że zawaliły się pod ciężarem Czyklina gdzieś w dolne ciemności, na ostatnie pożegnanie mógł więc tylko dotknąć ręką ich steranych prochów. Czyklin postał w ciemnościach, aż dostrzegł w nich nieruchome, ledwo żywe światło i prowadzące dokądś drzwi. Za drzwiami znajdowało się zapomniane albo niezaznaczone na planie pomieszczenie bez okien, a tam paliła się na podłodze lampa naftowa. Czyklin nie wiedział, jaka istota ukryła się, by ocaleć, w tym nieznanym schronieniu, stanął więc bez ruchu na środku.

Koło lampy na ziemi leżała kobieta – słoma już starła się pod jej ciałem, a samej kobiety niemal nie okrywało ubranie; oczy jej się głęboko zamknęły, jakby cierpiała albo spała – a dziewczynka, która siedziała w głowach jej posłania, także drzemała, ale przez cały czas przesuwała po wargach matki skórką cytryny, nie zapominając o tej czynności. Ocknąwszy się, dziewczynka spostrzegła, że matka się uspokoiła, bo jej dolna szczęka opadła ze słabości i rozwarła ciemne, bezzębne usta. Dziewczynka wystraszyła się swojej matki; żeby się nie bać, podwiązała jej szczękę sznurkiem przez czubek głowy, usta kobiety na powrót więc się zamknęły.

Wtedy dziewczynka przylgnęła do twarzy matki, chcąc ją czuć i spać. Ale matka łatwo się obudziła i powiedziała:

– Czemuż ty śpisz? Smaruj mi usta cytryną, przecież widzisz, jak mi ciężko!

Dziewczynka zaczęła z powrotem wodzić skórką cytryny po wargach matki. Kobieta na pewien czas znieruchomiała, czując odżywczy smak cytrynowego szczątka.

– Nie zaśniesz i nie odejdziesz ode mnie? – zapytała córki.

– Nie, już mi się nie chce spać. Zamknę tylko oczy, ale będę przez cały czas myślała o tobie: przecież jesteś moją mamą!

Matka na wpół otwarła oczy, były podejrzliwe, przygotowane na wszystkie nieszczęścia życia, wyblakłe już z obojętności – i wyrzekła na swoją obronę:

– Już teraz mi ciebie nie żal i nikogo nie trzeba, stałam się jak z kamienia – zgaś lampę i przewróć mnie na bok, chcę umrzeć.

Dziewczynka świadomie milczała, jak przedtem zwilżając matczyne usta skórką cytryny.

– Zgaś światło – powiedziała stara kobieta – bo wciąż cię widzę i żyję. Tylko nigdzie nie odchodź – pójdziesz, kiedy umrę.

Dziewczynka dmuchnęła na lampę i zgasiła światło. Czyklin siadł na ziemi, bojąc się narobić hałasu.

– Mamo, jesteś jeszcze żywa czy już ciebie nie ma? – zapytała dziewczynka w ciemnościach.

– Jeszcze trochę – odparła matka. – Kiedy odejdziesz, nie mów, że tu zostałam nieżywa. Nie opowiadaj nikomu, że to ja cię urodziłam, bo cię zamęczą. Idź stąd jak najdalej i sama o sobie zapomnij, wtedy zostaniesz przy życiu…

– Mamo, a na co ty umierasz – na to, że jesteś burżujką, czy na śmierć?

– Obrzydło mi, umordowałam się – powiedziała matka.

– Bo ty się urodziłaś dawno, dawno temu, a ja nie – mówiła dziewczynka. – Jak tylko umrzesz, to nic nikomu nie powiem i nikt się nie dowie, czy byłaś, czy nie. Tylko ja jedna będę żyć i pamiętać ciebie

w swojej głowie… Wiesz co – na chwilę zamilkła – zasnę teraz tylko na ciutek, na ciuteczek, a ty poleż i pomyśl, żeby nie umrzeć.

– Zdejmij ze mnie swój sznurek – powiedziała matka – bo mnie udusi.

Ale dziewczynka już bezgłośnie spała i zrobiło się całkiem cicho; do Czyklina nie dochodziły nawet ich oddechy. Żadne żywe stworzenie widocznie nie mieszkało w tym pomieszczeniu – ani szczur, ani kornik, nic – nie słychać było najmniejszego szmeru. Raz tylko rozległ się niezrozumiały huk – czy to w sąsiednim zapomnianym schronieniu upadła stara cegła, czy też grunt nie mógł już znieść wieczności i rozpadł się w głupstwo nicestwa.

– Niech kto do mnie podejdzie!

Czyklin wsłuchał się w powietrze i poczołgał ostrożnie w mrok, starając się nie przygnieść po drodze dziewczynki. Posuwał się długo, bo przeszkadzał mu w drodze jakiś budulec. Dotknąwszy głowy dziewczynki, dotarł następnie ręką do twarzy matki i nachylił się do jej ust, żeby rozpoznać – czy to tamta dawna dziewczyna, która całowała go niegdyś w tej posiadłości, czy nie. Pocałował ją i poznał po suchym smaku warg i znikomej resztce czułości w ich spieczonych pęknięciach, że to ona.

– Co mi po tym? – wnikliwie powiedziała kobieta. – Będę teraz zawsze samotna.

I obróciwszy się, umarła twarzą do ziemi.

– Trzeba zapalić lampę – powiedział głośno Czyklin i zakrzątnąwszy się w ciemnościach, oświetlił pomieszczenie.

Dziewczynka spała z głową na brzuchu matki; skulona w chłodnym podziemnym podmuchu ogrzewała się w ciasnocie swoich członków. Czyklin, chcąc dla dziecka odpoczynku, zaczął czekać, aż sama się zbudzi; żeby zaś dziewczynka nie marnowała swojego ciepła na stygnącą matkę, wziął małą na ręce i tak trzymał do rana jako ostatnią mizerną resztkę zmarłej kobiety.

Na początku jesieni Woszczew odczuł długość czasu; siedział pod dachem otoczony ciemnością zmęczonych wieczorów.

Pozostali też albo leżeli, albo siedzieli – wspólna lampa oświetlała im twarze, a wszyscy milczeli. Towarzysz Paszkin czujnie wyposażył sadybę kopaczy w głośnik radiowy, żeby na wywczasie każdy mógł z tuby czerpać sens masowego życia.

– Towarzysze, musimy mobilizować pokrzywy na front budownictwa socjalistycznego! Pokrzywy za granicą to ni mniej, ni więcej tylko obiekt zapotrzebowania…

– Towarzysze, musimy – co chwila głosiła żądanie tuba – obciąć koniom ogony i grzywy! Każde osiemdziesiąt tysięcy koni da nam trzydzieści traktorów!

Safronow słuchał i triumfował, żałując tylko, że nie może przemówić w drugą stronę do tuby, żeby tam głośno było o jego instynkcie aktywności, gotowości do strzyżenia koni i o szczęściu. Żaczew natomiast, podobnie jak Woszczew, przy długich przemowach przez radio czuł nieuzasadniony wstyd; nie mieli nic za złe temu, kto przemawiał i pouczał, ale coraz mocniej odczuwali osobistą hańbę. Czasami Żaczew nie mógł ścierpieć ze strony radia przygnębionej rozpaczy własnej duszy i krzyczał w hałaśliwym potoku świadomości, płynącej z głośnika:

– Zatrzymajcie ten dźwięk! Dajcie mi na niego odpowiedzieć!…

Safronow natychmiast występował z szeregu swoim wytwornym krokiem.

– Towarzyszu Żaczew, dosyć już, jak uważam, tego rzucania waszych wyrażeń! Czas podporządkować się w pełni produkcji kierownictwa.

– Safronow, zostaw człowieka w spokoju – odpowiadał Woszczew. – I tak marne nasze życie.

Ale socjalista Safronow bał się zapomnieć o obowiązku radości, odpowiadał więc wszystkim raz na zawsze nadrzędnym głosem potęgi:

– Kto ma w spodniach legitymację partii, ten powinien nieustannie dbać o entuzjazm w całym ciele. Towarzyszu Woszczew, rzucam wam wyzwanie do współzawodnictwa o najwyższe szczęście nastroju!

Tuba radia przez długi czas pracowała jak zawieja, po czym raz jeszcze oznajmiła, że każdy człowiek pracy musi pomóc w zbiorach śniegu na kolektywnych polach; w tym momencie radio zamilkło; pewno załamała się potęga nauki, która dotąd obojętnie pędziła przez przyrodę konieczne wszystkim słowa.

Safronow, widząc bierne milczenie, zaczął działać zamiast radia.

– Postawmy pytanie: skąd się wziął naród rosyjski? I odpowiedzmy: z burżuazyjnego głupstewka! Może by się wziął i skądinąd, ale nie było miejsca. Musimy więc wrzucić każdego w wywar socjalizmu, żeby oblazł ze skóry kapitalizmu, a serce zwróciło uwagę na żar życia wokół ogniska walki klasowej i zrodził się entuzjazm!…

Nie znajdując ujścia dla siły swojego umysłu, Safronow obracał ją w słowa i długo je wypowiadał. Podpierając głowę rękami, niektórzy go słuchali, żeby zapełniać tymi dźwiękami pustą zgryzotę w głowie, inni zaś cierpieli monotonnie, nie słysząc słów i żyjąc w swojej osobistej ciszy. Pruszewski siedział na samym progu baraku i spoglądał na późny wieczór świata. Widział ciemne drzewa i słyszał niekiedy odległą muzykę, wzbudzającą fale w powietrzu. Pruszewski niczemu nie przeczył swoim uczuciem. Życie wydawało mu się piękne, kiedy szczęście jest niedosiężne i jedynie drzewa o nim szumią i śpiewa orkiestra dęta w parku związkowym.

Niebawem cała brygada ukojona wspólnym znużeniem zasnęła tak, jak żyła: w dziennych koszulach i w wierzchnich spodniach, żeby nie trudzić się rozpinaniem guzików, ale oszczędzać siły do produkcji.

Tylko Safronow pozostał bez snu. Spoglądał na leżących i wypowiadał się z goryczą:

– Ech, ty maso, maso! Trudno z ciebie organizować kołacz komunizmu! I czego tobie, ścierwo jedno, trzeba? Całą awangardę zajeździłaś, paskudo!

Dokładnie świadom ubogiego zacofania mas Safronow przytulił się do któregoś zmęczonego i zapadł w otchłań snu.

Rano zaś, nie wstając z legowiska, w osobie dziewczynki przybyłej z Czyklinem powitał element przyszłości i zasnął na powrót.

Dziewczynka ostrożnie usiadła na ławce, wypatrzyła wśród haseł ściennych mapę ZSRR i zapytała Czyklina o linie południków:

– Wujku, a co to – przegródki na burżujów?

– Przegródki, córuś, żeby do nas nie przełazili – objaśnił Czyklin w trosce o jej rewolucyjny umysł.

– A moja mama nie przelazła za przegródkę, a i tak umarła!

– No cóż – powiedział Czyklin. – Wszystkie burżujki teraz umierają.

– Niech sobie umierają – odparła dziewczynka. – Przecież i tak ją pamiętam i będę widywać we śnie. Tylko nie ma jej brzucha, nie mam na czym spać głową.

– To nic, będziesz spać na moim brzuchu – obiecał Czyklin.

– A co jest piękniejsze – lodołamacz Krasin czy Kreml?

– Nie wiem, malutka: jestem przecież niczym – powiedział Czyklin i pomyślał o swojej głowie, która jedna w całym ciele nie mogła nic czuć, bo gdyby mogła, to objaśniłby dziecku cały świat, żeby umiało żyć bezpiecznie.

Dziewczynka obeszła nowe miejsce swojego życia i policzyła wszystkie przedmioty i wszystkich ludzi, chcąc od razu ustalić, kogo lubi, a kogo nie lubi, z kim się zadaje, a z kim nie; po załatwieniu tej sprawy przyzwyczaiła się już do drewnianej szopy i zachciało się jej jeść.

– Dawaj jeść! Ej, Julio, bo cię prześwięcę!

Czyklin podał jej kaszy i przykrył dziecięcy brzuszek czystym ręcznikiem.

– Co ty mi dajesz zimną kaszę, ech, ty Julio!

– Jaka ja dla ciebie Julia?

– Bo jak moja mama miała na imię Julia i jeszcze patrzyła na oczy i oddychała przez cały czas, to wyszła za Martynycza, bo on był

proletariacki, a Martynycz jak przychodzi, to mówi mamie: ej, Julio, bo cię prześwięcę! A mama milczy i dalej się z nim zadaje.

Pruszewski słuchał i obserwował dziewczynkę; nie spał już od dawna, zbudzony pojawieniem się dziecka, a zarazem zmartwiony, że ta istota, pełna życia świeżego jak mróz, będzie musiała się męczyć bardziej i dłużej niż on.

– Znalazłem twoją dziewczynę – powiedział Czyklin do Pruszewskiego. – Chodźmy na nią spojrzeć, jest jeszcze cała.

Pruszewski wstał i poszedł, bo było mu wszystko jedno, czy leżeć, czy posuwać się naprzód.

W podwórzu fabryki kafli starowina nareperował swoje łapcie, ale bał się w takich człapakach ruszyć w świat.

– Nie wiecie, towarzysze, jak będzie: zaaresztują mnie w łapciach czy nie ruszą? – zapytał stary. – Bo to przecież teraz nawet ostatni chłystek paraduje w skórzanych cholewach; baby jak świat światem na golasa pod kiecką chodziły, a teraz też każda pod spódnicę zakłada gacie w kwiatki – ciekawie się porobiło!

– Na co ty komu? – powiedział Czyklin. – Idź i nie gadaj.

– Ani słówka nie pisnę! Jednego się boję: aha, powiedzą, idziesz w łapciach, a więc biedniak! A jak biedniak, to dlaczego żyjesz sam i nie gromadzisz się z innymi biedniakami?… Tego się boję! Żeby nie to, dawno bym poszedł.

– Pomyśl, stary – poradził Czyklin.

– Nie ma już czym myśleć.

– Długo żyłeś: możesz popracować pamięcią.

– Zapomniałem wszystkiego: nic, tylko nowe życie zacząć.

Zstąpiwszy do schronienia kobiety, Czyklin pochylił się i raz jeszcze ją pocałował.

– Ależ ona jest martwa! – zdziwił się Pruszewski.

– I co z tego! – powiedział Czyklin. – Każdy człowiek bywa martwy, jeżeli go zamęczą. Potrzebna ci jest przecież nie do życia, ale do samego wspominania.

Pruszewski uklęknął i dotknął martwych, pełnych goryczy ust kobiety, a wyczuwając je, nie zaznał ani radości, ani czułości.

– To nie tamta, którą widziałem w młodości – powiedział.

A stając nad umarłą, powiedział jeszcze:

– A może i tamta – po bliskich doznaniach nigdy nie rozpoznawałem swoich ukochanych, ale tęskniłem do nich z daleka.

Czyklin milczał. Nawet w obcym, martwym człowieku czuł coś bezgranicznie ciepłego i bliskiego, kiedy zdarzało mu się go całować albo jakoś jeszcze głębiej z nim wiązać.

Pruszewski nie mógł odejść od nieboszczki. Lekka i gorąca przeszła kiedyś obok niego – zapragnął wtedy własnej śmierci, widząc, jak odchodzi ze spuszczonymi rzęsami, widząc jej kołyszące się, smutne ciało. A później nasłuchiwał wiatru w ponurym świecie i tęsknił do niej. Bał się kiedyś pobiec za tą kobietą, tym szczęściem swojej wczesnej młodości, a przez to być może pozostawił ją bezbronną na resztę życia, aż sterana udręką schroniła się tutaj, żeby umrzeć z głodu i smutku. Leżała teraz na wznak – tak ją obrócił Czyklin do swojego pocałunku – sznurek biegnący przez czubek głowy i podbródek nie pozwalał otworzyć się ustom, długie nagie nogi były pokryte gęstym puchem, niemal sierścią, wyrosłą wskutek chorób i bezdomności – jakaś przywrócona do życia pradawna siła jeszcze przed śmiercią przeistaczała umarłą w obrastające futrem zwierzę.

– No, starczy – powiedział Czyklin. – Niech tu nad nią czuwają różne martwe przedmioty. Martwych przecież też jest dużo, tak samo jak żywych, niesmutno im ze sobą.

I Czyklin pogłaskał cegły ściany, podniósł nieznany, przestarzały przedmiot, położył go obok zmarłej i obaj mężczyźni wyszli. Kobieta pozostała tam, gdzie leżała, w wiecznym odtąd wieku trzydziestu dwóch lat i trzech miesięcy, w jakim zmarła.

Po przejściu podwórza Czyklin zawrócił i zawalił drzwi prowadzące do umarłej tłuczoną cegłą, starymi bryłami kamienia i inną ciężką materią. Pruszewski nie pomagał mu, a potem zapytał:

– Po co się starasz?

– Jak to po co? – zdziwił się Czyklin. – Umarli to też ludzie.

– Ale jej niczego już nie trzeba.

– Jej – nie, ale mnie potrzeba jej. Niech się coś przyoszczędzi z człowieka – kiedy widzę nieszczęście umarłych albo ich kości, czuję: po co mam żyć?

Stary, który reperował łapcie, zniknął z podwórza – tylko szczątki trzewików na pamiątkę po tym, który odszedł na zawsze, leżały na jego miejscu.

Słońce wzniosło się już wysoko i od dawna nastała pora pracy. Czyklin i Pruszewski z pośpiechem szli zatem w stronę dołu gruntowymi, niebrukowanymi ulicami, zasypanymi liśćmi, pod którymi kryły się i ogrzewały nasiona przyszłego lata.

Wieczorem owego dnia kopacze nie włączyli krzykliwego głośnika, lecz zakłócając tym samym związkową pracę oświatową na falach radio, usiedli po jedzeniu, żeby się przyjrzeć dziewczynce. Żaczew już rano orzekł, że kiedy tylko ta dziewczynka i podobne do niej ciut-ciut dojrzeją, on sam wykończy wszystkich dorosłych mieszkańców ze swoich okolic; on jeden wiedział, że ZSRR wzdłuż i wszerz zamieszkują sami wrogowie socjalizmu, egoiści i szydercy przyszłego świata, w skrytości pocieszał się więc, że zabije kiedyś, niebawem całą ich masę, pozostawiając przy życiu tylko proletariackich młodzianków i czyste sieroty.

– Ktoś ty taka, dziewczynko? – zapytał Safronow. – Czym się trudnili tatuś i mamusia?

– Ja jestem nikt – powiedziała dziewczynka.

– Dlaczego nikt? Jakaś zasada rodzaju żeńskiego zapewniła ci urodzenie za władzy sowieckiej?

– Wcale się nie chciałam urodzić, bałam się, że będę miała matkę burżujkę.

– To jak się zorganizowałaś?

Dziewczynka z zawstydzeniem i obawą spuściła głowę i zaczęła skubać bluzkę; wiedziała przecież, że przebywa w proletariacie, pilnowała się więc, jak dawno i długo powtarzała jej matka.

– A ja wiem, kto jest główny!

– Kto? – nadstawił ucha Safronow.

– Główny jest Stalin, a drugi – Budionny. Kiedy ich nie było, a żyli sami burżuje, to się nie rodziłam, bo nie chciałam! A teraz, jak się stał Stalin, ja też się stałam!

– No, dziewucho – zdołał wymówić Safronow – uświadomiona kobieta z twojej matki! Głęboka jest nasza władza sowiecka, skoro nawet dzieci, co nie pamiętają matki, już czują towarzysza Stalina!

Nieznany chłop z żółtymi oczami skomlał w kącie baraku wciąż o tym samym swoim nieszczęściu, tylko nie mówił, skąd ono, ale starał się wszystkim przypodobać. W jego smętnym umyśle zwidywała się wieś wśród zboża, nad nią uwijał się wiatr i łagodnie obracał śmigi wiatraka, który mełł mąkę na powszedni, spokojny chleb. Mieszkał tam do niedawnych czasów, czując sytość w żołądku i szczęście rodzinne w duszy; a ilekolwiek lat spoglądał ze wsi w dal i w przyszłość, u końca równiny widział tylko miejsce połączenia nieba i ziemi, a nad głową miał dostatek światła słońca i gwiazd. Żeby nie myśleć dalej, chłop położył się w dół i płakał jak najszybciej płynącymi, niecierpiącymi zwłoki łzami.

– Dosyć tego mazgajstwa, mieszczuchu! – powściągał go Safronow. – Przecież tu teraz dziecko mieszka – nie wiesz, że u nas żałobę unieważniono?

– Już obeschłem, towarzyszu Safronow – oznajmił z daleka chłop. – Tak się wzruszyłem przez zacofanie.

Dziewczynka wyszła z miejsca i oparła się głową o drewnianą ścianę. Zatęskniła do matki, przerażała ją nowa, samotna noc, a poza tym myślała, jak smutno i długo ma leżeć matka w oczekiwaniu, aż jej dziewczynka zestarzeje się i umrze.

– A gdzie brzuch? – zapytała, obróciwszy się do patrzących. – Na czym mam spać?

Czyklin zaraz się położył i przygotował.

– A jeść? – powiedziała dziewczynka. – Siedzą wszyscy, Julie jedne, a ja nie mam co jeść!

Żaczew podturlał się do niej na wózku i poczęstował marmoladkami owocowymi, zarekwirowanymi z rana u kierownika sklepu spożywczego.

– Jedz, biedoto! Z ciebie nie wiadomo jeszcze, co będzie, a z nas – wiadomo.

Dziewczynka zjadła i położyła się twarzą na brzuchu Czyklina. Pobladła ze zmęczenia, a w uśpieniu objęła Czyklina ręką jak zwykle matkę.

Safronow, Woszczew i reszta kopaczy długo obserwowali sen tej małej istoty, która będzie panować na ich grobach i żyć na uspokojonej ziemi nabitej ich kośćmi.

– Towarzysze! – Safronow zaczął precyzować ogólne uczucie. – Leży przed nami w stanie nieświadomości faktyczny socjalizm. Z radia i innego materiału kulturalnego słyszymy tylko linię, ale nie ma czego dotknąć ręką. A tu spoczywa materia stworzenia i celowa wytyczna partii – mały człowiek, który ma się stać elementem świata! Z tej racji musimy w sposób jak najbardziej nagły ukończyć dół, żeby jak najprędzej ziścił się dom i personel dziecięcy został osłonięty kamiennym murem przed wiatrem i przeziębieniem!

Woszczew ujął dziewczynkę za rękę i wpatrywał się w jej postać jak w dzieciństwie w anioła na ścianie cerkwi; to słabe ciało, porzucone bez bliskich wśród ludzi, kiedyś poczuje pokrzepiający strumień sensu życia, a umysł jej ujrzy czasy podobne do pierwszego prawiecznego dnia.

Na miejscu postanowiono, że nazajutrz kopać ziemię zaczną o godzinę wcześniej, żeby przyśpieszyć termin założenia kamiennego fundamentu i reszty budowy.

– Jako kaleka tylko gratuluję wam opinii, ale dopomóc nie mogę! – powiedział Żaczew. – Was i tak czeka śmierć – nic wam przecież nie leży na sercu – pokochajcie lepiej coś małego żywego i sterajcie się w pracy! Póki co istniejcie, łajdaki!

Z powodu chłodnej pory Żaczew zmusił chłopa, żeby zdjął siermięgę, i nakrył się nią na noc zamiast niego; chłop całe życie ściubił kapitalizm – czyli miał się czas wygrzać.

Dni wolne Pruszewski spędzał na obserwacjach albo pisał listy do siostry. Moment, w którym naklejał znaczek i wrzucał list do skrzynki, przynosił mu zwykle spokojne szczęście, jakby czuł, że jest komuś potrzebny, a to poczucie kazało mu pozostać przy życiu i pilnie działać dla wspólnego dobra. Siostra nic do niego nie pisała; wielodzietna, zaharowana, żyła jak nieprzytomna. Tylko raz na rok, na Wielkanoc, przysyłała bratu kartkę, w której informowała: „Chrystus zmartwychwstał, drogi bracie! Żyjemy po staremu, ja pitraszę, dzieci rosną, mąż dostał podwyżkę o jedną kategorię, teraz dostaje 48 rubli. Przyjedź w odwiedziny. Twoja siostra Ania”.

Pruszewski długo nosił taką kartkę w kieszeni, a odczytując ją ponownie, czasem płakał.

Na spacery zapuszczał się daleko w przestrzeń i samotność. Przystanął kiedyś na wzgórzu, z dala od miasta i drogi. Dzień był mglisty, niewyraźny, jakby czas się skończył – w takie dni rośliny i zwierzęta drzemią, a ludzie wspominają rodziców. Pruszewski łagodnie spoglądał na przymgloną starość przyrody i widział u jej kresu białe, spokojne gmachy, roztaczające więcej światła, niż było go w powietrzu. Nie znał nazwy ani przeznaczenia tej ukończonej budowy, choć można było zrozumieć, że odległe budowle wzniesiono nie tylko dla pożytku, lecz także dla radości. Pruszewski z podziwem człowieka nawykłego do smutku dostrzegał precyzyjną delikatność i chłodną, zamkniętą w sobie siłę dalekich monumentów. Nigdy jeszcze nie widział takiej wiary i swobody w układzie kamieni, a w szarej barwie swojej ojczyzny nie odnajdywał zasady samowzbudzającego się światła. Wśród reszty nowo budowanego świata ten biały motyw struktur sterczał jak wyspa i świecił uspokajająco. Nie wszystko jednak w owych gmachach było białe – w niektórych miejscach miały kolor niebieski, żółty

lub zielony, co przydawało im pokazowej urody dziecięcej malowanki. „Kiedyż to zbudowano?” – z przykrością powiedział Pruszewski. Na ziemskiej zagasłej gwieździe przytulniej czuł się w smutku; obce, odległe szczęście budziło w nim wstyd i niepokój – nieświadomie chciał, żeby świat wiecznie niedobudowany w swojej budowie przypominał jego własne zrujnowane życie.

Raz jeszcze objął uważnym spojrzeniem owo nowe miasto, nie chcąc go zapomnieć ani ulec złudzie, ale gmachy stały jak przedtem jasne, jakby otaczała je chłodna przejrzystość, a nie mglistość rosyjskiego powietrza.

W drodze powrotnej Pruszewski dostrzegł sporo kobiet na miejskich ulicach. Mimo młodego wieku kroczyły powoli – przechadzały się pewno w oczekiwaniu rozgwieżdżonego wieczoru; ich nogi stąpały z łapczywą siłą, a cielesne korpusy rozszerzyły się i zaokrągliły jak zbiorniki przyszłości – a więc będzie jeszcze przyszłość, a więc teraźniejszość jest nieszczęśliwa, a koniec – daleki. Widok tych niespokojnych kobiet tchnął w Pruszewskiego wytrwałość dalszego niepojętego istnienia aż po najbliższy świadomy zgon. W biurze technicznym budowy Pruszewski zasiadł do sporządzenia projektu własnej śmierci, żeby zapewnić ją sobie jak najszybciej i najnieomylniej. Po ukończeniu projektu Pruszewski poczuł zmęczenie i spokojnie usnął na kanapie. Na jutro pozostało już tylko dołączyć do projektu wyjaśniający liścik, a następnie znaleźć kobietę wystarczającej urody w celu jednorazowej miłości; po zaspokojeniu miłości Pruszewski zawsze odczuwał normalne pragnienie śmierci i na tym też teraz oparł ścisłą kalkulację.

O świcie do biura przyszedł Czyklin z kimś nieznajomym ubranym tylko w spodnie.

– Do ciebie, Pruszewski – powiedział Czyklin. – Prosi o zwrot trumien do ich wsi.

– Jakich trumien?

Olbrzymi, opuchły od wiatru i zgryzoty nagi mężczyzna nie od razu powiedział swoje, z początku zwiesił głowę i z natężeniem rozmyślał. Pewno stale zapominał pamiętać o sobie i o swoich zmartwieniach: czy to sterał siły, czy też w toku życia umierał cząstka za cząstką.

– Trumny! – oznajmił gorącym, wełnianym głosem. – Trumny z desek złożyliśmy w pieczarze na zapas, a wy rozkopujecie cały wąwóz. Oddaj trumny!

Czyklin powiedział, że wczoraj wieczorem przy północnej pikiecie faktycznie odkopano sto pustych trumien; dwie zabrał dla dziewczynki – w jednej trumnie urządził jej posłanie na przyszłość, kiedy zacznie sypiać bez jego brzucha, a drugą podarował jej na zabawki i cały dziecięcy kram: niech i ona ma swoją świetlicę.

– Oddajcie chłopu resztę trumien – odparł Pruszewski.

– Wszystko oddaj – wymówił człowiek z wnętrza siebie jak z kubła na śmieci. – Nie starcza nam martwego inwentarza, ludzie na swoje dobro czekają. Myśmy się na te trumny samoopodatkowali, nie odbieraj dorobku!

– Nie – powiedział Czyklin. – Dwie trumny zostaw dla naszego dziecka, dla was i tak są za małowymiarowe.

Nieznajomy postał, coś w sobie poczuł i odmówił.

– Nie mogę! Gdzie własne dzieci położymy? Robiliśmy trumny podług wzrostu: na każdej jest znak – która dla kogo. Każdy u nas żyje tym, że ma swoją trumnę: teraz to całe nasze gospodarstwo! Przymierzaliśmy te trumny przed zakopaniem.

Chłop z żółtymi oczami, który od dawna mieszkał przy wykopie, wszedł z pośpiechem do biura.

– Jelisiej – powiedział do półnagiego. – Związałem je sznurkami w jeden ciąg, chodź, powleczemy, póki sucho!

– Dwóch trumien nie upilnowałeś – stwierdził Jelisiej. – W czym się teraz sam położysz?

– Mnie, Jelisieju Sawwiczu, pochowają w obejściu pod jaworem, pod zielonym, pod potężnym drzewem. Już tam dołek sobie wyszykowałem pod korzeniem – kiedy umrę, pobiegnie moja krew sokiem po pniu, wysoko wzejdzie! Co, myślisz, że mi się krew rozcieńczyła, nie zasmakuje drzewu?

Półnagi stał bez najmniejszego wrażenia; nic nie odpowiedział. Nie zważając na kamienie po drodze i mroźny wiatr na zaranku, poszedł z chłopem po trumny. Za nimi ruszył Czyklin, wpatrzony w grzbiet Jelisieja pokryty całą warstwą nieczystości i porastający już ochronną sierścią.

Jelisiej w rzadkich chwilach przystawał w miejscu i omiatał przestrzeń sennymi, opustoszałymi oczami, jak gdyby przypominał sobie o czymś zapomnianym albo szukał cichej działki na ponury spoczynek. Kraj rodzinny stał mu się jednak obcy, opuszczał więc uśpione oczy.

Trumny stały długim sznurem na suchym wzniesieniu nad krawędzią dołu. Chłop, który wprzód przybiegł do baraku, był rad, że trumny się odnalazły i że zjawił się Jelisiej; zdążył już w trumiennych wezgłowiach i podnóżkach wywiercić otwory i związać trumny w sprzęg. Przerzuciwszy przez ramię koniec sznura z przedniej trumny, Jelisiej zaparł się w ziemię i powlókł jak burłak te drewniane przedmioty przez suche morze życia. Czyklin i cała brygada stali, nie czyniąc mu przeszkód, i patrzyli na ślad, którym rozmierzały ziemię puste trumny.

– Wujku, to byli burżuje? – zapytała dziewczynka uczepiona Czyklina.

– Nie, córuś – odpowiedział Czyklin. – Oni mieszkają w chatkach ze słomy, sieją zboże i dzielą się z nami chlebem.

Dziewczynka spojrzała w górę na wszystkie stare twarze ludzi.

– To po co im trumny? Umierać powinni tylko burżuje, a nie biedni!

Kopacze milczeli, nie mając jeszcze danych, by świadomie zabrać głos.

– A jeden był goły! – powiedziała dziewczynka. – Ubranie zawsze odbierają, kiedy ludzi nie żal – żeby zostało. Moja mama też goła leży.

– Masz rację, córuś, na sto procent – orzekł Safronow. – Dwóch kułaków nas właśnie opuściło.

– Idź ich zabij! – powiedziała dziewczynka.

– Nie wolno, córuś: dwie jednostki to nie klasa…

– To jeden i jeszcze jeden – policzyła dziewczynka.

– A w sumie ich było mało – stwierdził z żalem Safronow. – A my, zgodnie z plenumem, mamy ich zlikwidować ni mniej, ni więcej tylko jako klasę, byleby wrogowie osierocili cały proletariat i stan parobczański!

– To co wam zostanie?

– Cele, twarda linia dalszych przedsięwzięć – rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała dziewczynka. – To znaczy pozabijać wszystkich złych ludzi, bo dobrych jest bardzo mało.

– W pełni klasowe z ciebie pokolenie – ucieszył się Safronow. – Jeszcze małoletnia, a już ściśle sobie uświadamiasz wszystkie stosunki. To monarchizm ludzi bez różnicy potrzebował na wojnę, a nam tylko jedna klasa miła, a i to niedługo będziemy własną klasę czyścić z nieświadomego elementu!

– Z kanalii – z łatwością odgadła dziewczynka. – Wtedy będą tylko najgłówniejsi ludzie! Moja mama siebie też nazywała kanalią, że żyje, a teraz umarła i stała się dobra – prawda?

– Prawda – powiedział Czyklin.

Dziewczynka przypomniała sobie, że matka została sama w ciemności. Nie zważając na nikogo, odeszła w milczeniu i usiadła, żeby pobawić się piaskiem. Nie bawiła się jednak, lecz tylko dotykała czegoś obojętnie i myślała.

Kopacze zbliżyli się do niej, nachylili i zapytali:

– Co ci?

– Nic – odpowiedziała dziewczynka, nie zważając na nikogo. – Nudno mi u was, nie kochacie mnie – jak w nocy zaśniecie, to was pobiję.

Robociarze z dumą spojrzeli po sobie, każdy miał ochotę wziąć dziecko na ręce i ścisnąć w objęciach, żeby poczuć to ciepłe miejsce, z którego płyną rozum i uroda małego życia.

Tylko Woszczew stał słaby i smutny, machinalnie obserwując dal; jak dawniej nie wiedział, czy jest coś szczególnego w ogólnym istnieniu – nikt nie potrafił mu wyrecytować z pamięci regulaminu wszechświata, a wydarzenia na powierzchni ziemi nie budziły jego zachwytu. Oddaliwszy się nieco, Woszczew cichym krokiem znikł w polu i niepostrzeżony, zadowolony, że nie jest już uczestnikiem obłąkanych okoliczności, położył się, żeby poleżeć. Później odnalazł ślad trumien, które dwóch chłopów powlekło za horyzont – do swojego kraju przygarbionych, zarośniętych łopianami płotów. Może była tam cisza ciepłych królestw w zagrodach albo trwało na wietrze dróg kołchozowe biedniackie sieroctwo ze stertą martwego inwentarza pośrodku. Woszczew poszedł w tę stronę krokiem człowieka machinalnie spisanego na straty, nieświadom, że jedynie słabość roboty oświatowej w wykopie każe mu nie żałować budowy przyszłego

domu. Mimo całkiem jaskrawego słońca czuł się na duszy jakoś nieodpłatnie, tym bardziej że w polu zalegał mętny zaduch oddechu i zapachu ziół, a Woszczew szedł w tym nagrzanym obłoku udręczonego życia zlanego potem w trudzie własnego wzrastania. Rozejrzał się wkoło – wszędzie w przestrzeni stał opar żywego oddechu, tworząc senną, duszną nieprzejrzystość; na świecie dłużyła się zmęczona wytrwałość, jakby wszystko, co żywe, miało miejsce gdzieś w środku czasu i własnego ruchu: nikt nie pamięta jego początku i nikt nie zna końca, pozostał tylko kierunek we wszystkie strony. I Woszczew znikł w jednej z widocznych dróg.

Kozłow przybył na wykop jako pasażer auta, którym kierował sam Paszkin. Kozłow ubrany był w jasnoszary garnitur z kamizelką, twarz miał zaokrągloną z jakiejś ustawicznej radości i zaczął bardzo kochać masy proletariackie. Każdą odpowiedź człowiekowi pracy zaczynał samowystarczalnymi słowami: „Ślicznie, pięknie!” – po czym następował ciąg dalszy. W duchu lubił powtarzać: „Gdzie jesteś dziś, mizdrząca się faszystko?” albo „Powabna jak testament Leninowski!” i wiele innych krótkich haseł pieśniowych.

Dziś rano Kozłow zlikwidował jako uczucie swoją miłość do pewnej damy średniego stanu. Daremnie pisała mu listy o swoim uwielbieniu, bo on, dźwigając obciążenia społeczne, milczał, z góry uchylając się od konfiskaty jej wdzięków, szukał bowiem kobiety w szlachetniejszym, bardziej aktywnym typie. Po przeczytaniu w gazecie o przeciążeniu poczty i nieterminowości jej pracy postanowił wzmocnić ten odcinek budownictwa socjalistycznego w drodze wstrzymania damskich listów pod swoim adresem. Napisał zatem do pogrążonej w smutku damy ostatnią, sumującą bilans kartkę, zdejmując z siebie miłosną odpowiedzialność:

Tam, gdzie stół uczt był wcześniej,
Dziś kir i trumna stoi![3]
Kozłow

Dopiero co przeczytał tę linijkę i starał się jej nie zapomnieć. W ogóle codziennie po przebudzeniu czytał w łóżku książki i z zapamiętanymi formułami, hasłami, linijkami, nakazami, słowami pełnymi różnych mądrości, tezami rozmaitych aktów, uchwał, strofami pieśni itd., itp., ruszał w obchód organów i organizacji, w których był znany i poważany jako

aktywna siła społeczna – tam Kozłow budził popłoch i tak już dosyć spłoszonych urzędników swoją uczonością, szerokością horyzontów i obkuciem. W uzupełnieniu renty pierwszej kategorii załatwił sobie również deputat spożywczy. Zaszedł kiedyś do spółdzielni i nie ruszając się z miejsca, wezwał do siebie kierownika, któremu oświadczył:

– Ślicznie, pięknie, ale macie tu spółdzielnię, jak to się mówi, spożywców, a nie sowiecką! A więc nie jesteście kamieniem milowym na szerokiej drodze do socjalizmu?!

– Jakoś was sobie nie uświadamiam, obywatelu – skromnie odparł kierownik.

– A więc znowu: „Nie o szczęście, bierny, modlił się do nieba, lecz o kęs czarnego, powszedniego chleba”?![4]. Ślicznie, pięknie! – powiedział Kozłow i wyszedł kompletnie obrażony, a dziesięć dni później został przewodniczącym komitetu sklepowego tejże spółdzielni. Nie miał w końcu okazji się dowiedzieć, że stanowisko to otrzymał staraniem samego kierownika, który liczył się nie tylko z gniewem mas, lecz także z jakością gniewnych.

A teraz Paszkin szczycił się Kozłowem – wierzył w ów bliski dzień, w którym cały proletariat przyjmie postać swojej awangardy: to właśnie będzie socjalizm. Dlatego Paszkin eksponował wszędzie Kozłowa jako wzorowy element aktywisty poczętego w masach za sprawą wprawnego kierownictwa związkowego. Dzięki obecności Kozłowa Paszkin nie obawiał się już Żaczewa: wiedział, że Żaczewowi trzeba tylko dać posadę, choćby przy zbieraniu składek członkowskich, a przestanie domagać się masła u osób na stanowisku, sam bowiem będzie w przeddzień odżywiania się tłuszczami.

Kozłow zstąpił z auta, z wyglądem mądrości wkroczył na arenę budownictwa i przystanął na jej skraju, żeby mieć ogólny ogląd całego tempa pracy. Co się tyczy najbliższych kopaczy, to powiedział im:

– Nie bądźcie oportunistami w praktyce!

Podczas przerwy obiadowej towarzysz Paszkin oznajmił robociarzom, że na wsi warstwa biedniacka ze smutkiem zatęskniła do kołchozu i że

trzeba tam rzucić coś szczególnego z klasy robotniczej, żeby wszcząć walkę klasową z wiejskimi zrębami kapitalizmu.

– Już dawno pora wykończyć bogatych pasożytów! – wypowiedział się Safronow. – Nie czujemy już żaru ogniska walki klasowej, a ogień musi być: gdzieżby się miał rozgrzewać aktywny personel!

Skutkiem tego brygada wyznaczyła Safronowa i Kozłowa, by udali się do najbliższej wsi. Niech biedniak nie zostanie za socjalizmu pełnym sierotą albo prywatnym rzezimieszkiem w swojej kryjówce.

Żaczew podjechał do Paszkina z dziewczynką na wózku i powiedział:

– Widzisz ten socjalizm w bosym ciele? Pochyl się, łajdaku, do jej kości, z których objadłeś tłuszcz!

– Fakt! – stwierdziła dziewczynka.

W tej kwestii również Safronow wyraził swój pogląd:

– Odnotuj Nastię, towarzyszu Paszkin – to przecież nasz przyszły radosny obiekt!

Paszkin wyjął notes i postawił w nim kropkę; w notesie Paszkina figurowało już dużo kropek, a każda symbolizowała jakąś natężoną uwagę w obliczu mas.

Owego wieczoru Nastia pościeliła Safronowowi oddzielne posłanie i usiadła, żeby z nim posiedzieć. Safronow sam poprosił dziewczynkę, żeby się za niego posmuciła, bo ona jedna tutaj to kobieta sercowa. I Nastia spokojnie zajmowała przy nim miejsce przez cały wieczór, starając się myśleć, jak Safronow pójdzie tam, gdzie biedni ludzie tęsknią w chatach, i jak stanie się wszawy wśród obcych.

Później Nastia położyła się w legowisku Safronowa, rozgrzała je i poszła spać na brzuchu Czyklina. Od dawna przyzwyczaiła się rozgrzewać posłanie swojej matki, zanim położy się tam spać nierodzony ojciec.

Podstawowe miejsce pod dom przyszłego życia było gotowe; teraz należało założyć w wykopie kamienny fundament. Ale Paszkin stale snuł świetlane myśli, doniósł więc głównemu rewolucjoniście w mieście, że skala domu jest zbyt ciasna, świeże i pełnokrwiste socjalistyczne kobiety zasieją bowiem ziemię na całej powierzchni raczkującym dzieciństwem; czyż dzieci mają żyć na dworze, przy niezorganizowanej pogodzie?

– Nie – odparł główny rewolucjonista, mimowolnym gestem strącając ze stołu obfitą kanapkę. – Wykopcie podstawowy dół cztery razy większy.

Paszkin pochylił się i zwrócił kanapkę z dołu na biurko.

– Nie było się co schylać – nadmienił rewolucjonista. – Na przyszły rok zaprojektowaliśmy w okręgu produkcję rolną na pół miliarda.

Paszkin zatem przełożył raz jeszcze kanapkę do kosza na śmieci w obawie, że zostanie uznany za kogoś, kto żyje w tempie czasów reżimu oszczędności.

Pruszewski czekał na Paszkina koło budynku, by niezwłocznie przekazać zarządzenie na budowę. Paszkin w drodze przez hol postanowił zaś powiększyć dół nie cztero-, lecz sześciokrotnie, żeby trafić bez pudła i wybiec przed linię partyjną, z którą następnie radośnie spotka się w pustce – wtedy linia go dostrzeże, a on utrwali się w niej wiecznym punktem.

– Sześć razy większy – polecił Pruszewskiemu. – Mówiłem, że za słabe tempo!

Pruszewski ucieszył się i uśmiechnął. Paszkin, widząc szczęście inżyniera, również poczuł zadowolenie, bo poznał nastrój działu inżynieryjno-technicznego swojego związku. Satysfakcja Pruszewskiego brała się jednak nie ze skali, ale z tego, że kopacze równie szybko sterają

życie przy wykopie, jak on umrze; wolał przyjaciół martwych niż żywych, żeby zagubić swoje kości we wspólnych kościach i nie zostawić na dziennej powierzchni ziemi ani pamięci, ani świadków – niech przyszłość będzie obca i pusta, a przeszłość spoczywa w grobach – w ciasnocie uścisku, jaki niegdyś łączył kości, w prochu zetlałych ukochanych i zapomnianych ciał. Pruszewski poszedł do Czyklina, żeby wytyczyć poszerzony wykop. Już z daleka ujrzał gromadę kopaczy i chłopską podwodę wśród milczących ludzi. Czyklin wyniósł z baraku pustą trumnę i położył na wozie, potem przyniósł też drugą trumnę, a Nastia biegła za nim, zrywając z trumny swoje obrazki. Żeby dziewczynka się nie gniewała, Czyklin wziął ją pod pachę i przytulił, a trumnę niósł drugą ręką.

– Oni i tak umarli, to po co im trumny? – oburzała się Nastia. – Nie będę miała gdzie chować rzeczy!

– Tak trzeba – odparł Czyklin. – Umarli to zawsze ludzie szczególni.

– Też mi ważniaki! – dziwowała się Nastia. – To po co wszyscy żyją? Lepiej by umarli i zrobili się ważni!

– Żyją, żeby nie było burżujów – powiedział Czyklin i położył ostatnią trumnę na wozie.

Na wozie siedziało dwóch mężczyzn – Woszczew i chłop, kułacki pomagier, który kiedyś odszedł z Jelisiejem.

– Dla kogo te trumny? – zapytał Pruszewski.

– To Safronow i Kozłow umarli w chałupie, a teraz im moje trumny oddali: co począć? – ze szczegółami poinformowała Nastia.

Oparła się o wóz przygnębiona niedopatrzeniem.

Woszczew, przybyły wozem z nieznanych stron, ponaglił konia, żeby zawrócić w przestrzeń, w której był na stałe. Zostawiwszy dziewczynkę pod opieką Żaczewa, Czyklin miarowym krokiem ruszył za oddalającym się wozem.

Szedł w dal aż do głębi księżycowej nocy. Gdzieniegdzie w pobocznych okolicach jarów płonęły skryte światełka nieznanych domostw i jękliwie ujadały tam psy – może im się nudziło, a może dostrzegły i przestraszyły się jakichś przybyłych oddelegowanych ludzi. Przed Czyklinem przez cały czas jechała podwoda z trumnami, a on nie spuszczał jej z oczu.

Woszczew, oparty o trumny plecami, spoglądał z wozu w górę – na zgromadzenie gwiazd i martwy masowy odmęt Drogi Mlecznej. Czekał, kiedy zostanie tam podjęta uchwała o skasowaniu doczesnej wieczności, o odkupieniu życiowej udręki. Zdrzemnął się bez nadziei, a obudził się, kiedy wóz stanął.

W kilka chwil później nadszedł Czyklin i zaczął się rozglądać. Nieopodal była stara wieś; okrywała ją powszechna zgrzybiałość ubóstwa – starcze, wytrwałe płoty i przydrożne, pochylone w ciszy drzewa miały podobnie smutny wygląd. We wszystkich chałupach we wsi płonęło światło, ale na dworze nie było nikogo. Czyklin podszedł do pierwszej chaty i zapalił zapałkę, żeby odczytać biały papierek na drzwiach. Papierek informował, że jest to uspołecznione obejście numer 7 Kołchozu im. Linii Generalnej i że mieszka tu aktywista prac społecznych w zakresie wykonania zarządzeń państwowych i wszelkich kampanii przeprowadzanych na wsi.

– Wpuść! – Czyklin zapukał do drzwi.

Aktywista wyszedł i wpuścił go do środka. Następnie wystawił protokół przyjęcia trumien i kazał Woszczewowi pójść do rady wiejskiej i stać przez całą noc na warcie honorowej przy dwóch ciałach poległych towarzyszy.

– Sam pójdę – stwierdził Czyklin.

– Idź – odparł aktywista. – Tylko podaj mi swoje dane, wciągnę cię do zmobilizowanych kadr.

Czyklin zaczął mu podawać i aktywista w godzinę wciągnął go do kadr; dla Woszczewa znalazł inne obłożenie – ma przez noc obmacać wszystkie kury i w ten sposób określić na rano liczbę świeżo zniesionych jaj.

– Rękę mam wielką, nie dam rady – powiedział Woszczew.

– Co ty, równasz do ciasnego kąta? – z przykrością zdziwił się aktywista. – Kto jest na świecie: partia czy ty?

– Jego nie ma – odpowiedział za Woszczewa chłop z żółtymi oczami; dotąd stał w milczeniu, a teraz się przestraszył.

Woszczew sprawdził rękami własne ciało i orzekł: muszę przestać myśleć, niech żyje coś wspólnego; w imię czego męczyć się dla swojego własnego kadłuba – czy to on taki wielki?

Kuląc się dla osiągnięcia mniejszych rozmiarów i otępienia, Woszczew znikł, by zająć się kurzą pracą. Aktywista pochylił się nad swoimi papierami, przeczesując pilnymi oczami ścisłe tezy i cele; z zachłannością posiadacza, niepomny na szczęście domowe, budował konieczną przyszłość, by wyszykować sobie w niej wieczność – dlatego teraz się zapuścił, spuchł od trosk i porósł rzadkimi włosami na pulchnej twarzy wyglądającej jak damskie przedsięwzięcie. Lampa płonęła pod jego podejrzliwym spojrzeniem, którym w myślach i faktycznie śledził kułacką szuję.

Przez całą noc aktywista siedział przy niezgaszonej lampie, nasłuchując, czy ciemną drogą nie pędzi jeździec z rejonu, wioząc na wieś nowe wytyczne z góry. W wytyczne wczytywał się zawsze z ciekawością przyszłej rozkoszy, jak gdyby podglądał namiętne sekrety dorosłych, centralnych osób. Mało której nocy nie pojawiały się wytyczne – aktywista więc studiował je do rana, nabierając o świcie zapału do niezłomnego działania. I tylko czasem jakby zastygał w locie wśród zgryzoty życia – spoglądał wówczas z żałością na każdego, kto akurat stanął mu przed oczami; to wracało dokuczliwe wspomnienie, że jest gapą i niedołęgą – tak go niekiedy określano w papierach z rejonu. „Czy nie pójść lepiej w masy, zatopić się w ogólnym, podwładnym życiu?” – rozstrzygał w owych chwilach w myślach, rychło jednak wracał mu rozum, nie chciał bowiem być członkiem ogólnego sieroctwa, a obawiał się długiej tęsknoty do socjalizmu, zanim każdy pastuch odnajdzie się wśród radości, bo już dziś można być zaufanym pomocnikiem awangardy i bezzwłocznie posiąść całą korzyść z przyszłości. Szczególnie długo aktywista wpatrywał się w podpisy na papierach: te litery stawiała gorąca ręka rewolucjonisty, a ręka to część całego ciała zażywającego dosytu sławy na oczach oddanych, przekonanych mas. Aż łzy napływały aktywiście do oczu, kiedy rozkoszował się ścisłością odręcznych podpisów i podobiznami ziemskiej bryły na pieczęciach; przecież cała bryła świata, cały jej miąższ trafi niebawem w ścisłe, żelazne ręce – czy on sam miałby więc pozostać bez wpływu na światowe ciało ziemi? I ze skąpstwem zapewnionego sobie szczęścia aktywista głaskał się po wycieńczonej od obciążeń piersi.

– Czego stoisz bez ruchu? – odezwał się do Czyklina. – Idź strzec politycznych trupów przed zbezczeszczeniem przez zamożnych: widzisz, jak giną nasi bohaterscy bracia!

W ciemności kołchozowej nocy Czyklin doszedł do pustego pomieszczenia rady wiejskiej. Spoczywali tam w stanie wiecznym jego dwaj towarzysze. Nad umarłymi paliła się największa lampa przeznaczona do oświetlania posiedzeń. Leżeli obok siebie na stole prezydialnym, okryci sztandarem aż do podbródka, żeby niewidoczne były ich śmiertelne rany, a żywi nie ulękli się takiej samej śmierci.

Czyklin stanął u stóp zmarłych i spokojnie zapatrzył się na ich milczące twarze. Nic już teraz ze swoich mądrości nie powie Safronow, a Kozłow nie zatroszczy się o całe budownictwo organizacyjne i nie odbierze należnej mu renty.

Czas bieżący płynął cicho w nocnym mroku kołchozu; nic nie naruszało uspołecznionej własności i ciszy kolektywnej świadomości. Czyklin zapalił, podszedł do twarzy umarłych i dotknął ich ręką.

– Co, Kozłow, markotnie ci?

Kozłow, będąc zabity, nadal leżał w sposób umilkły; Safronow również był spokojny jak człowiek zadowolony, a jego rude wąsy, nawisłe nad osłabłymi, na wpół otwartymi ustami, wyrastały nawet z warg, bo nie całowano go za życia. Wokół oczu Kozłowa i Safronowa widać było zaschłą sól byłych łez, Czyklin musiał więc ją obetrzeć i pomyśleć – dlaczego to pod koniec życia płakali Safronow i Kozłow? Pewnie dlatego, że wzruszyło ich wyobrażenie muzyki, która zagra im po zgonie.

– Ty co, Safronow, wyciągnąłeś się na dobre czy jednak myślisz wstać?

Safronow nie mógł odpowiedzieć, bo jego serce leżało w zniszczonej piersi i nie miało czucia.

Czyklin wsłuchał się w deszcz, który się zaczął na dworze, w jego przeciągłe, żałobne dźwięki śpiewające w listowiu, w chruścianych płotach i w cichych strzechach wsi; świeża rosa przelewała się obojętnie jak w pustce i tylko rozpacz choćby jednego człowieka zasłuchanego w deszcz mogłaby wynagrodzić to wycieńczenie przyrody. Czasem wykrzykiwały kury, które Woszczew macał w ogrodzonych zaściankach, ale Czyklin już

ich nie słuchał, tylko położył się spać pod wspólnym sztandarem między Kozłowem a Safronowem, bo umarli to też ludzie. Lampa wiejskiej rady bez względu na okoliczności płonęła nad nimi aż do rana, kiedy to w pomieszczeniu pojawił się Jelisiej i też nie zgasił światła: było mu wszystko jedno, gdzie światło, gdzie ciemność. Postał przez pewien czas bez pożytku i wyszedł tak, jak przyszedł.

Wsparłszy się piersią o wbitą w glinę żerdź do wywieszania flagi, Jelisiej zapatrzył się w wilgotną mglistość pustkowia. Gawrony zebrały się tam przed odlotem w ciepłą dal, chociaż nie nadszedł jeszcze czas ich rozstania z tutejszą ziemią; pewnie jednak gawrony wolały wyruszyć przed czasem, żeby przeczekać w słonecznych stronach organizacyjną kołchozową jesień i wrócić później do powszechnego, urządzonego zacisza. Już przed odlotem gawronów Jelisiej widział, jak znikły jaskółki, i wtedy zachciało mu się stać lekkim, małoświadomym ciałem ptaka, teraz jednak już nie myślał, żeby zmienić się w gawrona, bo nie mógł myśleć. Żył i widział na oczy tylko dlatego, że miał dokumenty średniaka i jego serce biło zgodnie z prawem.

Z rady wiejskiej dobiegły jakieś dźwięki, Jelisiej podszedł zatem do okna i przycisnął twarz do szyby; stale nasłuchiwał dźwięków pochodzących od mas albo z przyrody, bo nikt nie mówił mu słów i nie dawał pojęcia, trzeba więc było wyczuwać choćby odległe brzmienie.

Jelisiej dojrzał Czyklina, który siedział między dwoma leżącymi na wznak. Czyklin palił i obojętnie pocieszał umarłych swoimi słowami.

– Zawinąłeś się, Safronow! No i co? I tak ja przecież zostałem, będę teraz jak ty: zmądrzeję, zacznę występować z punktem widzenia, zobaczę całą twoją tendencję – z powodzeniem możesz nie istnieć…

Jelisiej nie mógł rozumieć, słuchał więc przez czystą szybę samych dźwięków.

– A ty, Kozłow, też się nie martw o życie. Sam siebie zapomnę, ale ciebie zacznę mieć na stałe. Całe twoje zgubione życie, wszystkie twoje cele schowam w sobie i nigdzie nie porzucę, możesz więc się uważać za żywego. Dzień i noc będę aktywny, całą organizacyjność będę miał na oku, pójdę na rentę – leż spokojnie, towarzyszu Kozłow!

Jelisiej nachuchał mgły na szybę i słabo widział Czyklina, ale i tak patrzył, bo poza tym nie miał gdzie. Czyklin milczał przez chwilę, a czując, że Safronow i Kozłow są teraz zadowoleni, powiedział im:

– Choćby nawet cała klasa umarła – i tak sam jeden za nią zostanę i wykonam całe jej zadanie na świecie! I tak nie wiem, jak żyć dla samego siebie!… Czyj tam pysk się na nas gapi? Wejdź tutaj, obcy człowieku!

Jelisiej od razu wszedł do rady wiejskiej i stanął, nieświadom, że spodnie zjechały mu z brzucha, chociaż wczoraj jeszcze całkiem się trzymały. Jelisiej nie miał apetytu na odżywianie i dlatego chudnął z każdą mijającą dobą.

– To ty ich zabiłeś? – zapytał Czyklin.

Jelisiej podciągnął spodnie i więcej już ich nie puszczał; niczego nie odpowiadając, utkwił w Czyklinie swoje blade, puste oczy.

– Więc kto? Idź, przyprowadź mi kogoś, kto zabija nasze masy.

Chłop ruszył i poszedł przez wilgotne pustkowie, gdzie miało miejsce ostatnie zgromadzenie gawronów; gawrony ustąpiły mu z drogi i Jelisiej ujrzał chłopa, co miał żółte oczy; tamten przysunął trumnę do płotu i drukowanymi literami wypisywał na niej swoje nazwisko, wydobywając wskazującym palcem jakąś maź z butelki.

– Co jest, Jelisiej? Z jakimś nowym zarządzeniem?

– Tak sobie – powiedział Jelisiej.

– Jak tak, to w porządku – spokojnie powiedział piszący chłop. – A umarłych jeszcze nie obmyli w radzie? Boję się, żeby komunalny inwalida nie przyjechał na wózku, podniesie na mnie rękę, że dwóch zginęło, a ja żyję.

Chłop poszedł obmyć umarłych, żeby przejawić w ten sposób swoje zaangażowanie i współczucie. Jelisiej również powlókł się za nim, nie wiedząc, gdzie znaleźć sobie najlepsze miejsce.

Czyklin nie oponował, kiedy chłop zdjął z umarłych ubranie i zaniósł ich kolejno w nagim stanie do stawu, zanurzył, a później, wytarłszy do sucha owczą wełną, z powrotem ubrał i położył oba ciała na stole.

– No, pięknie – powiedział wtedy Czyklin. – A któż ich zabił?

– Nie wiadomo, towarzyszu Czyklin – sami przecież żyjemy bezwiednie.

– Bezwiednie – wymówił Czyklin i wymierzył chłopu cios w twarz, żeby zaczął żyć świadomie.

Chłop upadł, ale bał się za daleko uchylać, żeby Czyklin nie pomyślał o nim czego zamożnego, stanął więc przed nim jeszcze bliżej, chcąc mocniej się poranić, a następnie załatwić sobie za pośrednictwem męki prawo do życia biedniaka. Czyklin, widząc przed sobą taką istotę, zajechał go machinalnie w brzuch, a chłop się przewrócił, zamknąwszy swoje żółte oczy.

Jelisiej, który stał spokojnie z boku, powiedział niebawem Czyklinowi, że chłop nie żyje.

– A tobie go żal? – zapytał Czyklin.

– Nie – odpowiedział Jelisiej.

– To kładź go na środek między moich towarzyszy.

Jelisiej zawlókł chłopa do stołu, uniósł ze wszystkich sił i zwalił w poprzek wcześniej umarłych, a dopiero potem umieścił jak trzeba, układając go ciasno przy boku Safronowa i Kozłowa. Kiedy Jelisiej odszedł z powrotem, chłop otworzył swoje żółte oczy, ale nie mógł już ich zamknąć i został tak, dalej patrząc.

– Babę ma? – zapytał Czyklin Jelisieja.

– Sam pozostawał – odparł Jelisiej.

– To po co był?

– Bał się nie być.

Woszczew stanął w drzwiach i powiedział do Czyklina, żeby szedł – aktyw go wzywa.

– Masz tu rubla. – Czyklin dał byle szybciej pieniądze Jelisiejowi. – Idź na wykop i sprawdź, czy tam dziewczynka Nastia jest żywa, i kup jej cukierki. Serce mnie po niej zabolało.

Aktywista siedział z trzema swoimi pomocnikami, ludźmi wychudłymi skutkiem ustawicznego bohaterstwa i całkiem biednymi, ale twarze ich przedstawiały to samo niezłomne uczucie – gorliwą ofiarność. Aktywista powiadomił Czyklina i Woszczewa, że z polecenia towarzysza Paszkina

mają dołożyć wszystkich swoich skrytych sił do zadośćuczynienia rozwojowi kołchozowemu.

– A prawda należy się proletariatowi? – zapytał Woszczew.

– Proletariatowi należy się ruch – udzielił informacji aktywista. – A co bądź się trafi po drodze, to jego: bądź prawda, bądź kułacka kradziona bluzka – wszystko pójdzie do zorganizowanego kotła, nawet się nie dowiesz! A kury sprawdziłeś?

– Przez całą noc macałem – w ani jednym ptaku nie ma jaja.

Aktywista się skupił; jego pomocnicy też stosownie się zamyślili: czyżby ptaki były z kułakami w zmowie?

– Trzeba zabezpieczyć wszystkie kury, utrupić i zjeść – stwierdził po przemyśleniu myśli jeden z działaczy aktywu.

– A koguty widziałeś? – zapytał aktywista.

– Nie ma – powiedział Woszczew. – Jeden człowiek leżał w obejściu i mówił mi, że ostatniego zjadłeś, jak obchodziłeś kołchoz i raptem poczułeś głód.

– Ważne jest, żeby wyjaśnić, kto zjadł pierwszego koguta, a nie ostatniego – oznajmił aktywista.

– A może pierwszy sam zdechł? – podsunął domysł pomocnik aktywisty.

– Jak miał sam zdechnąć? – zdziwił się aktywista. – Czy to on świadomy szkodnik, żeby w takim momencie samemu umierać? Chodźmy urządzić ogólne przesłuchanie: w tym tkwi inna baza.

I wstali wszyscy, i poszli szukać owego szkodliwego zjadacza, który dla własnego odżywiania unicestwił pierwszego koguta. Woszczew i Czyklin też ruszyli za aktywem.

– Poważna sprawa – mówił Czyklin. – Bez jaj dzieci wychudną i nie nabędą swojego wieku!

– Jasne – przytaknął Woszczew, a sam się dręczył, bo był gotów żyć aż do śmierci bez kurzego jaja, byleby poznać główny mechanizm całego świata.

Obszedłszy z dziesięć zagród ze ścisłym przesłuchaniem, które dało tylko bierne wyniki, aktyw się zmęczył i oparł o jedną z chałup, żeby pomyśleć – co robić dalej. Do aktywu zdążyło już dołączyć ze sto osób,

a cała ta masa najwyraźniej opłakiwała pierwszego koguta zjedzonego przez jakąś nieznaną gębę, wskutek czego zginął też ostatni. Żeby kurom się nie przykrzyło, wzięli je na ręce i nosili ze sobą, muskając rękami pióra. Kury zagnieździły się w rękach, ale ogólnie były zadowolone.

Wkrótce aktywista miał przed oczami cały kołchoz w myśl dyscyplinarnej kalkulacji, że lepiej, kiedy tysiąc osób zrobi sto kroków, niż kiedy jeden przejdzie pięć wiorst.

– Gdzie kogut, towarzysze? – niemal obojętnie zwrócił się aktywista do wszystkich, co się do niego garnęli. – Skąd nam jajo wyjdzie, skoro nasze masy ptasie nie mają w swoim środowisku produktywnego kierownictwa?

Ludność kołchozu, kryjąc myśl, stanęła w milczeniu nieopodal swojego aktywu i smutnie spuściła swoją wspólną twarz; jedna tylko baba zaczęła po cichu przemakać od łez, a później tak się rozkręciła i tak rozcierpiała, że cała się stoczyła i trzeba ją było usunąć do drwalki.

Gawrony, które przebywały w pobliżu, zerwały się i odleciały do innych krajów; niektórzy chłopi spojrzeli na gawrony, ale inni nie patrzyli, bo gawrony i tak wrócą, choćby nie wiem ile czegoś szukały w dalekich stronach, chłopom zaś dobrze w bezruchu.

– Gdzie kogut, obywatele? – smętnie badał aktywista. – Więc tak służycie władzy sowieckiej? A wiecie, co to jest rozspółdzielczanie? Niech się wam nie wydaje, że to będzie rozkułaczanie, kiedy każdy nieposiadający się cieszy! Już ja nieposiadających też rozspółdzielczę: i bez was nam starczy biedniaków!

Cała klasa stała i nie mogła odpowiedzieć na jedno pytanie. Bezpłodne kury zaczęły z cicha pojękiwać w rękach; z dalekiej przyrody przyszedł schłodzony wiatr i poruszył resztówką liści na miejscowym drzewie.

– A koguta jak nie było, tak nie ma! – z żalem powiedział aktywista.

– Nie-e ma ci go, nie-e ma! – powtórzyła najbliższa zafrasowana baba.

Aktywista ocknął się spod wpływu otoczenia i szybko ruszył do kancelarii, a za nim skierowali się do odejścia wszyscy pozostali ludzie organizacyjnie czynni. Pozostał sam Czyklin, który nie chciał, żeby w kołchozie doszło do zacofania w rozwoju z powodu jednego koguta.

– Co z wami faktycznie: długo tak zostaniecie bez koguta? – powiedział.

Pewien udziałowiec kołchozu poruszył się w masie, coś tam wymówił, ale skutkiem nieuświadomienia albo ciasnoty na powrót zamarł.

– Który się tam ruszył – wystąp! – zawołał Czyklin.

Wyszedł nieduży, ale stary już człowiek w czapce i w spodniach, a jego koszula schła po praniu gdzieś na płocie. Trzymał na dłoni ptaka, coś jak kurczaka obsranego przez krowę, i podsuwał go Czyklinowi.

– Więc tego, towarzyszu, karzełek się nam urodził – ze cztery lata już będzie, jak pomalutku rośnie!

– A cóż to: że niby kogut?

– Ano, można rzec, że prawie-prawie!

– Jak tak, to niech się bierze do roboty! – skonkludował Czyklin i ruszył do rady wiejskiej.

Z domu, w którym mieszkał aktyw, wynoszono sztandary; sam aktywista szedł natomiast z tyłu, nie chciał się bowiem śpieszyć na wieczne rozstanie z martwymi towarzyszami. Nie zdziwił się, kiedy Czyklin doniósł wiadomości o odkryciu koguta; aktywista i tak wiedział, że pod jego kierownictwem dokona się wszelki postępowy fakt i będzie też kogut.

W pobliżu umarłych w radzie wiejskiej aktywista z początku się zasmucił, ale potem na wspomnienie o nowo budowanej przyszłości uśmiechnął się dziarsko i rozkazał otoczeniu zmobilizować kołchoz na pogrzeb, żeby wszyscy w kondukcie odczuli uroczysty charakter śmierci podczas rozwijającego się świetlanego momentu uspołecznienia własności.

Lewa ręka Kozłowa zwisała w dół, a cały jego poległy korpus wychylił się ze stołu, gotów nieświadomie upaść. Czyklin poprawił Kozłowa i dostrzegł, że umarłym zrobiło się całkiem ciasno: leżało ich już czterech zamiast trzech. Czwartego Czyklin nie pamiętał, poprosił więc aktywistę o naświetlenie nieszczęścia, chociaż czwarty nie był proletariuszem, lecz jakimś smętnym chłopem, co spoczywał na boku z umilkłym oddechem. Aktywista wyłożył Czyklinowi, że ten element zagrodowy to śmiertelny szkodnik Safronowa i Kozłowa, ale teraz dostrzegł swoją żałobę po zorganizowanym ruchu, sam więc tutaj przyszedł, położył się na stole między nieboszczykami i osobiście umarł.

– I tak bym go w pół godziny wykrył – powiedział aktywista. – Nie ma teraz u nas ani kropli żywiołu, nikt się nigdzie nie podzieje! A co to za jeden nadmiarowy tutaj leży?

– Tego to ja wykończyłem – objaśnił Czyklin. – Myślałem, że ścierwo się zjawił i naprasza się o cios. Przylałem mu, a ten osłabł.

– I słusznie: w rejonie i tak mi nie uwierzą, że był tylko jeden zabójca, a dwóch to już całkiem kułacka klasa i organizacja!

Po pogrzebie w bok od kołchozu zaszło słońce i od razu na świecie zrobiło się bezludnie i obco; nad porannym skrajem rejonu wschodziła gęsta podziemna chmura, która o północy dojść miała do tutejszych obszarów rolnych i wylać na nie całe brzemię zimnej wody. Patrząc tam, kołchoźnicy zaczynali marznąć, a kury już od dawna gdakały w swoich zaściankach w przeczuciu długotrwałości jesiennej nocy. Niebawem ziemię okryły całkowite ciemności, pogłębione czarnością gleby wydeptanej przez wędrowne masy; górą jednak było jeszcze jasno – wśród wilgoci, niedosłyszalnego wiatru i wysokości trwał żółty blask sięgającego tam słońca i rzucał odbicie na ostatnie liście chylących się w ciszy sadów. Ludzie nie chcieli być wewnątrz chat – tam opadały ich myśli i nastroje – chodzili po wszystkich otwartych obszarach wsi i starali się nie tracić siebie z oczu; poza tym czujnie nasłuchiwali, czy z daleka w dżdżystym powietrzu nie zabrzmi jakiś dźwięk, żeby usłyszeć pociechę w tak niełatwej przestrzeni. Aktywista już dawno wydał ustne wytyczne w sprawie przestrzegania warunków sanitarnych w życiu mas ludowych, dlatego ludzie mieli przez cały czas przebywać na dworze, a nie dusić się w rodzinnych chałupach. Aktyw na posiedzeniu mógł dzięki temu łatwiej obserwować masy przez okno i prowadzić je przez cały czas dalej.

Aktywista też dostrzegł tę zorzę wieczorną, przypominającą światło złożenia do grobu, i postanowił nazajutrz z rana zarządzić gwiaździsty marsz kołchozowych piechurów na okoliczne wsie, kulące się wokół gospodarki indywidualnej, a następnie ogłosić ludowe gry i zabawy.

Przewodniczący rady wiejskiej, starowina średniak, podszedł do aktywisty po jakieś polecenie, bo obawiał się pozostać w bezczynności, ale aktywista oddalił go od siebie ręką, mówiąc tylko, by rada umacniała tylne

zdobycze aktywu i strzegła panujących biedniaków przed kułackimi drapieżnikami. Staruszek przewodniczący uspokoił się z wdzięcznością i poszedł zmajstrować sobie kołatkę nocnego stróża.

Woszczew bał się nocy, bo leżał w ich mroku bez snu i wątpił; jego podstawowy instynkt życia dążył do czegoś właściwego na świecie, a skryta nadzieja myśli obiecywała mu odległe wybawienie z anonimowości powszechnego istnienia. Szedł na miejsce noclegu wraz z Czyklinem i martwił się, że tamten zaraz położy się i zaśnie, a on będzie samotnie patrzył oczami w mrok nad kołchozem.

– Nie śpij dzisiaj, Czyklin, bo ja się czegoś boję.

– Nie bój się. Powiedz, przed kim masz stracha, to go zabiję.

– Boję się serdecznej troski, towarzyszu Czyklin – sam nie wiem czego. Wciąż mi się wydaje, że gdzieś daleko jest coś niezwykłego albo jakiś wykwintny nieziszczalny przedmiot, i smutno mi żyć.

– Zdobędziemy go. Woszczew, jak to się mówi, nie pękaj.

– Kiedy, towarzyszu Czyklin?

– Możesz uważać, że jużeśmy zdobyli: widzisz, wszystko teraz dla nas to pestka…

Na skraju kołchozu stał Zakład Organizacyjny, w którym aktywista i inni przodujący biedniacy dokonywali rozentuzjazmowania mas; mieli tu również lokum nieudowodnieni kułacy i różni osadzeni w kozie członkowie kolektywu – jedni przebywali w zakładzie za to, że ulegli drobnonastrojom zwątpienia, drudzy – że płakali w dziarskich chwilach i całowali kołki we własnym płocie przechodzące w stadium uspołecznienia, trzeci – jeszcze za coś innego, a wreszcie był też pewien staruszek, który w Zakładzie zjawił się samorzutnie – był to stróż z kaflarni: szedł dokądś na przełaj, a tu go zatrzymano ze względu na wyraz obcości na twarzy.

Woszczew i Czyklin usiedli na kamieniu na dziedzińcu Zakładu, mając zamiar niebawem zasnąć pod tutejszym okapem. Staruszek z fabryki kafli przypomniał sobie Czyklina i podszedł do niego – dotąd siedział w najbliższej trawie i na sucho ścierał brud ze swojego ciała pod koszulą.

– Za co tu jesteś? – zapytał go Czyklin.

– Ano, szedłem, a kazali mi zostać: może, mówią, żyjesz po próżnicy, niech no ci się przyjrzymy. Nic nie mówię, idę dalej, a ci mnie ukrócili: stój, krzyczą, kułacka mordo! Odtąd tu jestem i żyję na kartoflanym wikcie.

– Przecież i tak ci wszystko jedno, gdzie żyć – powiedział Czyklin – byle nie umrzeć.

– Słusznie gadasz! Do czego chcesz nawyknę, tylko z początku się męczę. Już mnie tutaj i liter nauczyli, i datę każą znać: będzie z ciebie, mówią, klasowy staruszek jak się patrzy. A co, będzie to będzie!…

Stary gadałby przez całą noc, ale Jelisiej wrócił z wykopu i przyniósł Czyklinowi list od Pruszewskiego. Pod latarnią nad szyldem Zakładu Organizacyjnego Czyklin przeczytał, że Nastia żyje, a Żaczew zaczął ją wozić codziennie do przedszkola, w którym pokochała państwo sowieckie i zbiera dla niego surowce wtórne; sam Pruszewski bardzo się zaś martwi, że Kozłow i Safronow zginęli, a Żaczew płakał po nich wielkimi łzami.

„Jest mi dosyć trudno – pisał towarzysz Pruszewski – i boję się, że pokocham jakąś jedną kobietę i ożenię się z nią, bo nie mam społecznego znaczenia. Dół jest skończony, a wiosną będziemy kładli fundament. Nastia, jak się okazuje, umie pisać drukowanymi literami, posyłam ci papierek od niej”.

Nastia pisała do Czyklina:

„Zlikwiduj kułaka jako klasę. Niech żyją Stalin, Kozłow i Safronow! Wujku Czyklin, Stalin jest tylko jedną kapkę gorszy od Lenina, a Budionny dwie. Pozdrów biedny kołchoz, a kułaków nie”.

Czyklin długo szeptał te napisane słowa i głęboko się wzruszył, nie umiejąc marszczyć twarzy do żalu i płaczu; później poszedł spać.

W budynku Zakładu Organizacyjnego była jedna olbrzymia izba, a wszyscy tam dzięki zimnu spali na podłodze. Czterdziestu czy pięćdziesięciu chłopa otwarło gęby i dyszało w górę, a pod niskim sufitem wisiała lampa we mgle wydechów i kołysała się spokojnie pod wpływem jakiegoś trzęsienia ziemi. Na środku podłogi leżał także Jelisiej; jego oczy w uśpieniu były prawie całkiem otwarte i patrzyły bez mrugania na zapaloną lampę. Odnalazłszy Woszczewa, Czyklin położył się przy nim i uspokoił do jaśniejszego rana.

Rano kołchozowi bosi piechurzy ustawili się w szeregu przed Zetorgiem. Każdy miał w ręce flagę z hasłem i torbę z prowiantem na plecach. Czekali na aktywistę jako naczelnego człowieka w kołchozie, żeby od niego się dowiedzieć, po co mają wyruszyć w obce strony.

Aktywista przybył do Zakładu wraz z przodującym personelem, a rozstawiwszy wszystkich na kształt pięcioramiennej gwiazdy, stanął pośrodku i wygłosił swoje słowo, nakazujące piechurom wejść w środowisko okolicznego biedniactwa i zademonstrować mu swoistość kołchozu w drodze wezwania do ładu socjalistycznego, bo tak czy owak dalej będzie źle. Jelisiej trzymał w ręce najdłuższą flagę. Pokornie wysłuchał aktywisty, po czym ruszył zwykłym krokiem naprzód, nie wiedząc, gdzie ma się zatrzymać. Tego ranka było wilgotno i wiało chłodem z odległych bezludnych stron. Aktyw nie przeoczył również takiej okoliczności.

– Dezorganizacja! – rzekł ponuro aktywista o tym mrożącym wietrze przyrody.

Biedni i średni pątnicy ruszyli na swoją pielgrzymkę i znikli w przestrzeni zaświata. Czyklin odprowadził wzrokiem odchodzącą bosą kolektywizację, nie wiedząc, co należy zakładać na przyszłość, a Woszczew myślał bez myśli. Z wielkiej chmury, która stanęła nad ugorującymi w oddali polami uprawnymi, chlusnęła ściana deszczu, przesłaniając tych, co odeszli, w wodnym środowisku.

– I dokąd też oni poszli? – przemówił pewien kułacki pomagier, za swoje szkodnictwo odizolowany od ludności w Zetorgu.

Aktywista zabronił mu wychodzić za płot, toteż szkodnik wyrażał się zza płota.

– Samych trepów starczy nam na dziesięć lat, więc dokąd lezą?

– Przyłóż mu! – powiedział Woszczewowi Czyklin.

Woszczew podszedł do szkodnika i wykonał uderzenie w twarz. Szkodnik więcej nie zabierał głosu.

Woszczew wrócił do Czyklina ze zwykłym sobie zdumieniem nad otaczającym go życiem.

– Popatrz, Czyklin, jak kołchoz idzie z torbami – smętnie i boso.

– Dlatego idą, że bosi – powiedział Czyklin. – A cieszyć się nie mają z czego – kołchoz to dla nich chleb powszedni.

– Pan Jezus też pewnie chodził smętnie po świecie, a w przyrodzie był marny deszcz.

– Biedniak z tego twojego rozumu – odparł Czyklin. – Chrystus chodził sam jeden nie wiadomo po co, a tu idą całe tłumy, żeby móc istnieć.

Aktywista też był obecny w Zetorgu; zeszła noc minęła mu na niczym – do kołchozu nie spłynęły wytyczne, puścił więc wodze myśli we własnej głowie; ale myśl nasuwała mu lęk przed przeoczeniem. Bał się, że przeoczy koncentrację zamożności w gospodarstwach indywidualnych. Jednocześnie obawiał się też nadgorliwości – dlatego uspołecznił tylko pogłowie końskie, przeżywając męki z powodu samotnych krów, owiec i drobiu, bo nawet kozioł w ręku żywiołowego prywaciarza jest dźwignią kapitalizmu.

Powściągając siłę własnej inicjatywy, aktywista trwał w bezruchu wśród powszechnej ciszy kołchozu, a jego podręczni towarzysze spoglądali na jego milczące usta, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Czyklin i Woszczew wyszli z Zetorgu i ruszyli na poszukiwania martwego inwentarza, żeby sprawdzić jego przydatność.

Uszedłszy nieco dystansu, przystanęli w drodze, bo z prawej strony wiejskiej ulicy bez udziału człowieka otwarła się pewna brama, a z niej zaczęły wychodzić spokojne konie. Miarowym krokiem, nie opuszczając głowy ku rosnącej na ziemi paszy, konie w zwartej masie przeszły ulicą i zstąpiły do parowu, który przechowywał wodę. Po wypiciu normy weszły do wody i postały w niej przez jakiś czas z dbałości o czystość, a następnie wspięły się na suchy grunt brzegu i ruszyły z powrotem, nie łamiąc szyku i wzajemnej zwartości. Rozeszły się jednak przy pierwszych obejściach –

jeden przystanął koło słomianej strzechy i zaczął z niej wyszarpywać słomę, drugi, pochylony, zbierał pyskiem resztkowe pęki chudego siana, co posępniejsze konie weszły zaś do zagrody, wzięły tam ze znanego sobie, rodzinnego miejsca snopek i w zębach wyniosły go na ulicę. Każde zwierzę dźwignęło paszę na miarę swoich sił i pieczołowicie poniosło w stronę bramy, z której przedtem wyszły wszystkie razem. Przybyłe wcześniej zatrzymały się u wspólnej bramy i zaczekały na resztę końskich mas, a kiedy wszystkie się już zebrały, koń przodownik otworzył bramę łbem na oścież i cały koński ordynek wkroczył z paszą do obejścia. W podwórzu konie otwarły usta, obrok wypadł z nich na jedną środkową stertę, a wtedy uspołeczniona stajnia ustawiła się wkoło i zaczęła powoli jeść, uśmierzona w sposób zorganizowany bez udziału człowieka.

Woszczew z przerażeniem patrzył na zwierzęta przez szparę w bramie; zdumiewał go duchowy spokój jedzącej stajni, jak gdyby wszystkie konie nabrały ścisłego przekonania o kołchozowym sensie życia, a on jeden żyje i męczy się gorzej od konia.

Za końskim gospodarstwem, na gołym ziemnym miejscu bez obejścia i ogrodzenia, stała czyjaś nieposiadająca chałupa. Czyklin i Woszczew weszli do chaty i ujrzeli chłopa, który leżał na ławce twarzą w dół. Jego baba zamiatała polepę; na widok gości wytarła nos w koniec chustki, skutkiem czego z oczu zaraz popłynęły jej rutynowe łzy.

– Czego ty? – zapytał Czyklin.

– Ojejej, gołąbeczki! – powiedziała kobieta i rozpłakała się jeszcze rzęsiściej.

– Wyschnij prędzej i gadaj! – przemówił jej do rozumu Czyklin.

– Chłop, który to już dzień, jak nosem zarył, tak leży… Naładuj mi, gada, babo, żarcia w kałdun, bo cały pusty leżę, dusza z ciała wyleciała, boję się, że odfrunę – połóż mi, woła, coś ciężkiego na koszulę. Jak wieczór przyjdzie, to mu samowar przywiązuję do brzucha. Kiedyż co wreszcie nastanie?…

Czyklin podszedł do chłopa i obrócił go na wznak – faktycznie był lekki i chudy, a blade, skamieniałe oczy nie wyrażały nawet strachu. Czyklin nachylił się ku niemu bliżej.

– Ty co, jeszcze dychasz?

– Dycham, jak mi się przypomni – słabo odparł człowiek.

– A jak zapomnisz dychać?

– To umrę.

– Może ty nie czujesz sensu życia, to pocierp jeszcze ciut-ciut – powiedział Woszczew.

Żona gospodarza cichaczem, lecz dociekliwie przypatrywała się przybyłym, a od zjadliwości oczu nieczule wyschły jej łzy.

– On się spodziewał, towarzysze, w duszy wszystko doszczętnie widział! A jak konia wzięli do organizacji, to zległ i przestał. Ja to chociaż popłaczę, a on nie.

– Niech lepiej płacze, milej mu będzie – poradził Woszczew.

– Ja też mu mówiłam. Czy to można leżeć milczkiem – władza zacznie krzyczeć. Ja tak umyślnie, prawda najprawdziwsza – widać, żeście dobre ludzie – jak wyjdę na dwór, to zaraz się łzami zalewam. A towarzysz aktywista widzi – bo on przecież wszędzie zajrzy, każdą drzazgę policzy – jak mnie zobaczy, to zaraz rozkazuje: płacz, babo, płacz głośniej, to wzeszło słońce nowego życia i światło razi wasze ciemne oczy. A głos ma płynny, więc widzę, że nic mi nie grozi, i płaczę z pełną chęcią…

– Czyli że twój chłop dopiero od niedawna istnieje bez duchowej gorliwości? – zapytał Woszczew.

– A to niby jak we mnie przestał żonę uważać, to od tego czasu będzie.

– Kobyłę ma zamiast duszy – powiedział Czyklin. – Niech teraz sobie pożyje na pustego, aż go wiatr przewieje.

Baba otworzyła usta, ale została bez dźwięku, bo Woszczew i Czyklin wyszli drzwiami.

Druga chałupa stała w dużym obejściu ogrodzonym plecionym płotem, a wewnątrz chałupy leżał chłop w pustej trumnie i na każdy hałas zamykał oczy jak nieboszczyk. Nad głową półumrzyka już od kilku tygodni płonęła lampka, a sam leżący w trumnie dolewał do niej od czasu do czasu oleju z butelki. Woszczew dotknął ręką czoła zmarłego i stwierdził, że człowiek jest ciepły. Chłop to wyczuł i całkiem stłumił oddech, chcąc jak się da ostygnąć z zewnątrz. Zacisnął zęby i nie wpuszczał w głąb siebie powietrza.

– A teraz ostygł – powiedział Woszczew.

Chłop ze wszystkich sił powstrzymywał wewnętrzne tętno życia, a życie z długoletniego rozpędu nie chciało się w nim skończyć. „Masz tobie, jaka to ta krzepa, co mnie uważa – myślał tymczasem leżący – i tak cię zduszę, lepiej sama się wykończ”.

– Znowu bodaj pocieplał – odkrył Woszczew z upływem czasu.

– Czyli że się jeszcze nie boi, kułacka krzepa – powiedział Czyklin.

Serce chłopa samodzielnie podeszło do duszy, do cieśni gardła, i tam skurczyło się, wypuszczając z siebie żar niebezpiecznego życia w wierzchnią skórę. Chłop poruszył nogami, chcąc pomóc sercu, żeby drgnęło, ale serce sterane brakiem powietrza nie mogło już pracować. Chłop rozdziawił usta i krzyknął z rozpaczy śmierci, żałując swoich całych kości, że mają zetleć na proch, swojej krwistej krzepy ciała, że zgnije w rozkładzie, oczu, że zgaśnie w nich światło dzienne, i obejścia, że skazane na wieczne sieroctwo.

– Umarli nie robią hałasu – powiedział chłopu Woszczew.

– Już nie będę – skwapliwie odparł leżący i zamarł szczęśliwy, że dogodził władzy.

– Stygnie – Woszczew dotknął szyi chłopa.

– Zgaś lampkę – powiedział Czyklin. – Światło się nad nim pali, a ten oczy mruży – gdzie jak gdzie, ale tu się na rewolucji nie oszczędza!

Wychodząc na świeże powietrze, Czyklin i Woszczew spotkali aktywistę – szedł do świetlicy w sprawach rewolucji kulturalnej. Miał jeszcze potem obowiązek obejść wszystkich indywidualnych średniaków, którzy zostali bez kołchozu, i przekonać ich o nieroztropności zagrodowego kapitalizmu.

W świetlicy stały zorganizowane zawczasu kołchozowe kobiety i dziewczęta.

– Dzień dobry, towarzyszu aktyw! – powiedziały wszystkie naraz.

– Czołem, kadra! – odpowiedział z zadumą aktywista i postał chwilę w milczącym zamyśleniu. – A teraz powtórzymy literę „a”, słuchajcie, co mówię, i piszcie…

Kobiety położyły się na ziemi, bo w całej świetlicy było pusto, i zaczęły pisać kawałkami tynku na deskach podłogowych. Czyklin i Woszczew również usiedli na dół, chcąc wzmocnić swoje umiejętności w alfabecie.

– Jakie słowa zaczynają się na „a”? – zadał pytanie aktywista.

Pewna szczęśliwa dziewczyna uklękła i odpowiedziała z całą prędkością i dziarskością swojego rozumu:

– Awangarda, aktyw, agitacja, akonto, arcylewak, antyfaszysta! Twardy znak wszędzie potrzebny z wyjątkiem arcylewaka!

– Dobrze, Makarowna – ocenił aktywista. – Zapiszcie systematycznie te słowa.

Kobiety i dziewczęta gorliwie ułożyły się na podłodze i zaczęły uparcie wydrapywać litery tynkiem. Tymczasem aktywista zapatrzył się w okno, rozmyślając o jakiejś dalszej drodze lub być może dręcząc się swoją samotną świadomością.

– Dlaczego piszą twardy znak? – zapytał Woszczew.

Aktywista obejrzał się za siebie.

– Dlatego, że słowami wytycza się linie i hasła, twardy znak jest nam potrzebniejszy od miękkiego. To miękki należy zlikwidować, a twardy jest dla nas nieodzowny: to on zapewnia twardość i jasność formuł[5]. Wszyscy rozumieją?

– Wszyscy – powiedzieli wszyscy.

– Zapiszcie dalej pojęcia na „b”. Mów, Makarowna!

Makarowna uniosła się i przemówiła z zaufaniem do nauki:

– Bolszewik, burżuj, boss, braterstwo broni, kołchoz jest błogosławieństwem dla biedniaków, brawo, brawo, leniniści! Twarde znaki postawić na bossie i bolszewiku oraz na końcu kołchozu, a poza tym wszędzie miękkie miejsca!

– Zapomniałaś o biurokracji – stwierdził aktywista. – Dobrze, piszcie. A ty, Makarowna, poleć do cerkwi i przypal mi fajkę.

– Lepiej ja pójdę – powiedział Czyklin. – Nie odrywaj ludzi od mądrości.

Aktywista nabił fajkę okruchami suszonego łopianu i Czyklin poszedł, żeby przypalić ją od ognia. Cerkiew stała na skraju wsi, a za nią zaczynało

się już bezludzie jesieni i wieczna socjalugodowość przyrody. Czyklin spojrzał na tę żebraczą ciszę, na odległe zarośla wikliny zastygłe w gliniastym polu i nic na razie nie mógł im przeciwstawić.

W pobliżu cerkwi rosła stara, zapomniana trawa i nie było ścieżek ani innych śladów ludzkiego chodzenia – a więc ludzie od dawna nie modlili się w świątyni. Czyklin dotarł do cerkwi przez gąszcz łobody i łopianu, a potem wszedł do kruchty. W chłodnym przedsionku nie było nikogo, jedynie w kącie mieszkał skulony wróbel; ale i on nie wystraszył się Czyklina, tylko w milczeniu spojrzał na człowieka, zamierzając widocznie niebawem umrzeć w ciemnościach jesieni.

W świątyni paliło się dużo świec; blask milczącego, żałosnego wosku nadawał całemu wnętrzu pomieszczenia aż po podniebie kopuły raczej określony charakter, a cnotliwe twarze świętych spoglądały w martwe powietrze z wyrazem obojętności mieszkańców tamtego, spokojnego świata – ale cerkiew była pusta.

Czyklin odpalił fajkę od najbliższej świecy i dostrzegł, że z przodu na ambonie ktoś jeszcze pali. Tak też było – na stopniu ambony siedział ktoś i palił. Czyklin podszedł do niego.

– Przyszliście od towarzysza aktywisty? – zapytał palący.

– Bo co?

– I tak po fajce widzę.

– A tyś co za jeden?

– Byłem popem, a teraz odciąłem się od własnej duszy i ostrzygłem na fokstrot. Patrz!

Pop zdjął czapkę i pokazał Czyklinowi głowę obrobioną jak u dziewczyny.

– Nieźle, co?… Ale i tak mi nie wierzą – mówią, że po kryjomu wierzę, a jawnie jestem ścierwo dla biedniaków. Muszę staż wypracować, żeby mnie przyjęli do kółka bezbożników.

– Na czymże ty go wypracowujesz, paskudo? – zapytał Czyklin.

Pop zachował gorycz w sercu i ochoczo odpowiedział na pytanie:

– Świeczki ludowi sprzedaję – widzisz, cała nawa aż płonie! Pieniądze zbieram w puszce i oddaję aktywiście na traktor.

– Nie łżyj: niby gdzie tu pobożny lud?

– Ludu tutaj być nie może – stwierdził pop. – Lud tylko świeczkę kupuje i stawia Panu Bogu jak sierotkę zamiast modlitwy, a sam zaraz znika.

Czyklin westchnął gniewnie i zapytał jeszcze:

– To czemu, szujo, lud się tu nie żegna krzyżem?

Pop z szacunku zerwał się przed nim na równe nogi w zamiarze udzielenia ścisłych wyjaśnień.

– Zabrania się żegnać krzyżem, towarzyszu: takiego to ja zapisuję kursywą na kartce na wypominki…

– Gadaj szybciej i dalej! – polecił Czyklin.

– Ależ ja nie przerywam swojego słowa, towarzyszu brygadierze, tylko tempo mam słabe, miejcie do mnie cierpliwość… A te kartki z wyszczególnieniem człowieka, co przeżegnał się rękodzielnym krzyżem albo skłonił swoje ciało przed mocą niebieską, albo dokonał innego aktu czci kułackich świątków – te kartki co północ osobiście odstawiam do towarzysza aktywisty.

– Podejdź no do mnie bliżej – powiedział Czyklin.

Pop z gotowością zszedł ze schodków ambony.

– Zamknij oczy, paskudo.

Pop zamknął oczy i wyraził na twarzy przymilną grzeczność. Czyklin bez najmniejszego ruchu tułowiem wymierzył popu świadome uderzenie w policzek. Pop otworzył oczy i zamknął z powrotem, ale upaść nie mógł, żeby nie dać Czyklinowi pojęcia o swojej niesubordynacji.

– Chcesz żyć? – zapytał Czyklin.

– Ja, towarzyszu, z życia nie mam korzyści – roztropnie stwierdził pop. – Nie czuję już uroku stworzenia – pozostałem bez Boga, a Bóg bez człowieka…

Pop wypowiedział te ostatnie słowa, osunął się na ziemię i zaczął się modlić do swojego Anioła Stróża, dotykając posadzki fokstrotową głową.

We wsi rozległ się długi gwizd, a po nim zarżały konie. Pop zatrzymał modlącą się rękę i uprzytomnił sobie znaczenie sygnału.

– Zebranie założycieli – rzekł z pokorą.

Czyklin wyszedł z kruchty w trawę. Po trawie szła właśnie ku cerkwi baba, prostując za sobą przydeptaną łobodę, ale na widok Czyklina zastygła w miejscu i z przerażenia wręczyła mu piątaka na świeczkę.

W Zakładzie Organizacyjnym zalegał zbity tłum ludu, obecni byli członkowie zorganizowani i niezorganizowani indywidualni, jeszcze słabosilni względem świadomości albo mający kułacką dolę życia i niewstępujący do kołchozu.

Aktywista miał miejsce na wysokim ganku i z bezgłosym smutkiem obserwował przed wieczorem ruch mas życiowych na matce ziemi; milcząco kochał biedotę, która, skoro podje sobie zwyczajnego chleba, ze słusznym zapałem wyrywa się naprzód w nieznaną przyszłość, jako że tak czy owak ziemia jest dla biedniaków pusta i niespokojna; po kryjomu rozdawał miejskie cukierki dzieciarni nieposiadających, a po zapanowaniu komunizmu w gospodarce rolnej postanowił wziąć kurs na żeniaczkę, zwłaszcza że wtedy pojawią się piękniejsze kobiety. Teraz też czyjś mały dzieciak stał koło aktywisty i patrzył mu w twarz.

– Czego się gapisz? – zapytał aktywista. – Masz tu cukierek.

Chłopiec przyjął cukierek, ale samego jedzenia było mu za mało.

– Wujek, a dlaczego ty jesteś najmądrzejszy, a nie masz czapki?

Aktywista bez odpowiedzi pogłaskał chłopca po głowie; dzieciak rozgryzł ze zdziwieniem całkowicie kamienisty cukierek, który błyszczał jak rozcięty lód, a w środku nie miał nic prócz twardości. Chłopiec oddał z powrotem pół cukierka aktywiście.

– Sam dojedz, nie ma w środku konfitur: to całkowita kolektywizacja, żadna przyjemność!

Aktywista uśmiechnął się z przenikliwą świadomością – przeczuwał przecież, że to dziecko w dojrzałości swojego życia wspomni o nim w płonącym blasku socjalizmu, wydobytego skoncentrowaną siłą aktywu z zagrodowych wsi za plecionym płotem.

Woszczew i jeszcze trzej przekonani chłopi nosili pnie do bramy Zetorgu i układali je tam w sąg – aktywista zawczasu dał im zlecenie na tę pracę. Czyklin też poszedł za pracującymi, wziął kłodę znad parowu i zaniósł do Zetorgu: niech więcej dobra trafi do wspólnego kotła, żeby nie było wokoło tak smutno.

– No to jak będzie, obywatele? – zwrócił się aktywista do materii tłumu mającej przed nim miejsce. – Znowu zamierzacie siać kapitalizm czy poszliście po rozum do głowy?…

Zorganizowani przysiedli na ziemi i zapalili, z satysfakcjonującym uczuciem przygładzając bródki, które w ostatnim półroczu zaczęły jakoś rzadziej rosnąć; niezorganizowani stali zaś na nogach, przezwyciężając w sobie czczą duszę, ale jeden z pomagierów aktywu nauczył ich, że duszy w nich nie ma, a jest tylko nastrój posiadania, teraz więc już kompletnie nie wiedzieli, jak się poczują, kiedy nie będą mieli czego posiadać. Niektórzy, pochyleni, stukali się w pierś i nasłuchiwali stamtąd swojej myśli, lecz serce biło im lekko i smutno jak puste w środku, i nic nie odpowiadało. Ci, którzy stali, ani na chwilę nie spuszczali z oka aktywisty; ci najbliżej ganka wpatrywali się w człowieka kierowniczego z całym pragnieniem w niemrugających oczach, żeby widział nastrój ich gotowości.

Tymczasem Czyklin i Woszczew uporali się z dostawą drewna i zaczęli łączyć kłody na zacios, starając się zmajstrować duży przedmiot. Słońca w przyrodzie nie było ani wczoraj, ani dziś, a nad wilgotnymi polami wcześnie zapadł ponury wieczór; cisza szerzyła się teraz w całym widzialnym świecie, dźwięczała wśród niej tylko siekiera Czyklina do wtóru zgrzybiałego skrzypienia pobliskiego wiatraka i chruścianych płotów.

– No więc jak? – cierpliwie powiedział z góry aktywista. – Będziecie tak stać między kapitalizmem a komunizmem? Przecież czas już się ruszyć – mamy w rejonie czternaste plenum!

– Towarzyszu aktyw, pozwól jeszcze krzynę postać średniakom – poprosili tylni chłopi. – Może się wzwyczaimy: główna rzecz to nawyknąć, potem ścierpimy wszystko!

– Ano, stójcie, póki biedniaki siedzą – zezwolił aktywista. – I tak towarzysz Czyklin nie zdążył jeszcze pozbijać belek w jeden blok.

– A po co to drewno psują, towarzyszu aktyw? – zapytał tylny średniak.

– Organizujemy tratwę celem likwidacji klasy, żeby w dniu jutrzejszym sektor kułacki zjechał rzeką do morza i dalej…

Aktywista wyjął kartki wypominkowe i wykaz klasowo-rozwarstwieniowy i zaczął stawiać ptaszki w papierach; ołówek miał dwukolorowy, używał więc na przemian koloru niebieskiego albo czerwonego, albo po prostu wzdychał i myślał, nie stawiając znaczków przed własną decyzją. Stojący chłopi rozdziawili gęby i wpatrzyli się w ołówek z udręką słabej duszy, która zalęgła się w nich z ostatnich resztek posiadania, bo zaczęła się męczyć. Czyklin i Woszczew pracowali we dwie siekiery, a belki układały im się ściśle jedna przy drugiej, tworząc na wierzchu obszerne miejsce.

Najbliższy średniak oparł się głową o ganek i przez pewien czas stał w takim spoczynku.

– Towarzyszu aktyw, ej, towarzyszu!…

– Gadaj jasno – zasugerował średniakowi aktywista, nie przerywając swojego zajęcia.

– Pozwól nam opłakać na ostatek tę noc, a później już będziemy się z tobą radowali na okrągło!

Aktywista myślał przez krótką chwilę.

– Noc to za długo. Wokoło w całym okręgu tempo rośnie – płaczcie, dopóki tratwa nie gotowa.

– A choćby do tratwy, i to radość – powiedział średni chłop i zapłakał, nie tracąc czasu ostatniej rozpaczy.

Baby stojące za chruśniakiem Zetorgu uderzyły natychmiast w rzewne zawodzenia wszystkimi swoimi głosami od serca, aż Czyklin i Woszczew przestali ciosać drewno siekierami. Zorganizowana, członkowska biedota podniosła się z ziemi, zadowolona, że nie musi płakać, i poszła doglądać swojego wspólnego, powszedniego majątku wsi.

– Odwróćże się i ty od nas na krótką chwilę – poprosili aktywistę dwaj średniacy. – Daj nam na ciebie nie patrzeć.

Aktywista wycofał się z ganku i wszedł do domu, gdzie zachłannie zaczął pisać raport o ścisłym wykonaniu przedsięwzięcia w zakresie

całkowitej kolektywizacji i o likwidacji, w drodze spławu na tratwie, kułaka jako klasy; aktywista nie mógł przy tym wziąć „spławu na tratwie” w przecinki, bo nie było ich w wytycznych. Następnie poprosił rejon o nową kampanię bojową, żeby miejscowy aktyw pracował bez przestojów i precyzyjnie wytyczał ukochaną linię generalną naprzód. Aktywista pragnąłby także, żeby rejon przyznał mu w swojej uchwale tytuł przodownika ideologii w całej rejonowej nadbudowie, pragnienie to przygasło w nim jednak bez konsekwencji, bo przypomniało mu się, jak to po kontraktacji zboża przyszło mu oznajmić, że jest najmądrzejszym człowiekiem na danym etapie wsi, a słysząc to, pewien chłop proklamował się babą.

Drzwi domu się otwarły i rozbrzmiała przez nie wrzawa męki ze wsi; przybyły człowiek otarł ubranie z wilgoci, a potem powiedział:

– Towarzyszu aktyw, tam śnieg pada i zimno leci.

– Niech pada, co nam do tego?

– Nam – nic, choćby się co i stało – damy radę! – całkowicie się zgodził przybyły leciwy biedniak.

Był ustawicznie zdziwiony, że jeszcze żyje na świecie, bo nie posiadał niczego prócz warzyw z przyzagrodowej grządki i biedniackiej ulgi, żadną miarą nie mógł więc osiągnąć wyższego, dostatniego życia.

– Ty mi, towarzyszu główny, powiedz na pociechę: mam się zapisać do kołchozu w stan spoczynku czy jeszcze zaczekać?

– Zapisz się, jasne, bo cię spławię do oceanu!

– Biedniakowi nigdzie nie strach; dawno bym się zapisał, tylko boję się Zoję siać!

– Jaką Zoję? Jeżeli soję, to to urzędowa uprawa!

– Ano, ją samą, larwę jedną.

– No to nie siej – będę miał wzgląd na twoją psychologię.

– Miej, proszę ja ciebie.

Po zapisaniu biedniaka do kołchozu aktywista zmuszony był wydać mu pokwitowanie w sprawie wciągnięcia na członka z zapewnieniem, że w kołchozie nie będzie Zoi, na miejscu więc wymyślił właściwą formę tego pokwitowania, biedniak za nic bowiem nie chciał bez niego odejść.

Na dworze tymczasem sypał coraz gęstszy zimny śnieg; ziemia spokorniała pod śniegiem, ale oddźwięki średniackiego nastroju nie dawały zapaść całkowitej ciszy. Stary oracz Iwan Siemionowicz Kriestinin całował młode drzewa w swoim sadzie i z korzeniami wydzierał je z gruntu, a jego baba lamentowała nad nagimi gałęziami.

– Nie płacz, stara – mówił Kriestinin. – Zostaniesz się w kołchozie chłopom za podściółkę. A te drzewa to moja krew, niech teraz pocierpi, gorzko jej przecież uspołeczniać się do niewoli!

Baba, słysząc słowa męża, aż skręciła się na ziemi, a druga kobieta – ni to stara panna, ni to wdowa – z początku biegła po ulicy i lamentowała takim agitującym, mnisim głosem, że Czyklin miał ochotę do niej strzelać, a potem, kiedy zobaczyła, jak baba Kriestinina tarza się po ziemi, również padła na wznak i zaczęła kopać nogami w sukiennych pończochach.

Noc zapanowała w skali wsi, powietrze od śniegu stało się tak nieprzepuszczalne i ciasne, że piersiom brakło tchu, ale baby co rusz uderzały w krzyk, a przywykając do nieszczęścia, trwały w nieustannym skowycie. Psy i inne drobne nerwowe zwierzęta również podejmowały te nużące dźwięki, toteż w kołchozie panował rwetes i zamęt jak w przedsionku łaźni; średni i wyżsi chłopi pracowali natomiast w milczeniu po obejściach i budynkach w akompaniamencie babskiego płaczu u otwartych na oścież wrót. Nieuspołecznione konie, niedobitki, spały smutnie uwiązane do stanowisk tak mocno, żeby nigdy nie upadły, bo niektóre konie stały już martwe; w oczekiwaniu na kołchoz zyskowni chłopi przestali je karmić, żeby uspołecznić się tylko własnym ciałem, a zwierząt nie ciągnąć za sobą w rozpacz.

– Żyjesz, karmicielko?…

Klacz drzemała na uwięzi, na wieki zwiesiwszy bezsenną głowę – jedno jej oko było słabo przymknięte, a na drugie nie starczyło siły – pozostało więc wpatrzone w ciemność. Szopa wymarzła bez końskiego oddechu, napadało do niej śniegu, który kładł się na głowie kobyły i nie tajał. Gospodarz zgasił zapałkę, objął zwierzę za szyję i zastygł w swoim sieroctwie, wdychając z pamięci koński pot jak przy orce.

– Więc umarłaś? To nic – ja też niedługo umrę, zaznamy spokoju.

Pies, nie widząc człowieka, wszedł do szopy i powąchał tylną nogę konia. Potem warknął, wgryzł się całą paszczą w mięso i wydarł dla siebie połeć. Oboje oczu klaczy zabielało w ciemności, zwierzę spojrzało i postąpiło krok naprzód, w odczuciu bólu nie zapominając jeszcze żyć.

– A może pójdziesz do kołchozu? Więc idź, a ja zaczekam – powiedział gospodarz.

Wziął garść siana z kąta i podsunął koniowi do ust. Miejsca po oczach kobyły pociemniały, zamknęła już ostatnie spojrzenie, ale czuła jeszcze zapach trawy, nozdrza jej więc zadrżały, a wargi rozpadły się na dwoje, chociaż jeść już nie mogła. Życia jej ubywało; dwakroć jeszcze zdołały je przywrócić ból i jedzenie; potem jej nozdrza już nie cofnęły się od siana, a dwa nowe psy obojętnie ogryzały nogę z tyłu, ale życie zwierzęcia było jeszcze całe – biedniało tylko w dalekiej nędzy, dzieliło się na coraz drobniejsze cząstki i nie umiało dać za wygraną.

Śnieg padał na zimną ziemię, zamierzając pozostać na zimę; powłoka spokoju okryła przed snem całą widzialną ziemię, tylko wokół obór śnieg stopniał i ziemia była czarna, bo ciepła krew krów i owiec wystąpiła spod ścian na zewnątrz i odsłoniły się letnie miejsca. Po zlikwidowaniu ostatniego żywego inwentarza chłopi zaczęli pożerać wołowinę i wszystkim w domu kazali również jeść mięso; wołowinę w tym krótkim czasie przyjmowano jak komunię – nikomu nie chciało się jeść, trzeba było jednak ukryć ciało i krew rodzinnej rzezi we własnej powłoce i uchronić je tam przed uspołecznieniem. Niektórzy przedsiębiorczy chłopi dawno opuchli od mięsnej strawy i stąpali ciężko jak chodzące obory; inni rzygali bez przerwy, nie umieli się jednak rozstać z bydłem i unicestwiali je do kości, nie licząc na korzyści żołądka. Kto zaś zdążył zawczasu pożreć swoje zwierzęta albo oddał je do kołchozowego więzienia, ten leżał w pustej trumnie i żył w niej jak w ciasnym obejściu, czując spoczynek w zamknięciu.

Czyklin w taką noc przestał budować tratwę. Woszczew również tak bardzo osłabł na ciele bez ideologii, że nie mógł unieść siekiery i położył się w śniegu: i tak nie ma na świecie prawdy albo może nawet była w jakiejś roślinie czy bohaterskim stworzeniu, ale szedł dziad wędrowny

i zjadł ową roślinę albo zdeptał cisnące się w dole stworzenia, sam zaś później umarł jesienią w parowie, a wiatr rozwiał jego ciało w nicość.

Aktywista widział z Zetorgu, że tratwa jest niegotowa; musiał jednak nazajutrz rano wysłać do rejonu kopertę ze sprawozdaniem o bilansie, niezwłocznie dał więc gwizdkiem sygnał do ogólnego zgromadzenia ustawodawczego. Lud na ten dźwięk wyłonił się z obejść i w pełnym, niezorganizowanym jeszcze składzie stawił się na placu Zetorgu. Baby już nie płakały i obeschły z twarzy, chłopi też trzymali się zapamiętale, gotowi zorganizować się na wieki. Garnąc się ku sobie, ludzie stanęli bez słowa całą średniacką masą i wpatrzyli się w ganek, na którym zajął miejsce aktywista z latarnią w ręce – w tym własnym świetle nie dostrzegał różnych głupstw na ludzkich twarzach, jego samego natomiast wszyscy widzieli jasno.

– Gotowi? – zapytał aktywista.

– Zaczekaj – powiedział aktywiście Czyklin. – Niech się pożegnają przed przyszłym życiem.

Chłopi już na coś byli przygotowani, ale jeden wymówił w ciszy:

– Daj nam jeszcze chwilę!

I po tych ostatnich słowach chłop objął sąsiada, ucałował go po trzykroć i pożegnał.

– Przebacz, Jegorze Siemionyczu!

– Nie ma czego, Nikanorze Pietrowiczu, ty też mi wybacz.

Każdy zaczął się całować z całą kolejką ludzi, obejmując obce dotychczas ciało, a usta wszystkich smutnie i przyjaźnie całowały każdego.

– Żegnaj, ciociu Dario, nie miej za złe, że ci suszarnię spaliłem.

– Bóg wybaczy, Alosza – suszarnia teraz już i tak nie moja.

Wielu, zetknąwszy się wzajemnymi wargami, stało czas pewien z takim uczuciem, żeby na zawsze zapamiętać nową rodzinę, bo do tej pory żyli bez pamięci o sobie nawzajem i bez litości.

– Ano, pobratajmy się, Stiepanie.

– Żegnaj, Jegorze – żyliśmy srogo, a umieramy, jak sumienie każe.

Po ucałowaniu ludzie pokłonili się do ziemi – każdy wszystkim – i wyprostowali, wolni i z pustym sercem.

– Teraz, towarzyszu aktyw, jesteśmy gotowi – zapisz nas wszystkich do jednej rubryki, a kułaków sami ci wskażemy.

Ale aktywista już wcześniej oznakował wszystkich mieszkańców – którego do kołchozu, a którego na tratwę.

– Uświadomienie przez was przemówiło? – powiedział. – Dała o sobie znać masowa praca aktywu! Otóż jest jasna linia w przyszły świat!

Czyklin w tym momencie wszedł na wysoki ganek i zgasił latarnię aktywisty – noc i bez nafty była jasna od świeżego śniegu.

– Dobrze wam teraz, towarzysze? – zapytał Czyklin.

– Dobrze – odezwali się z całego Zetorgu. – Niczego już nie czujemy, sam proch w nas został.

Woszczew leżał z boku i ani rusz nie mógł zasnąć bez spoczynku prawdy wewnątrz swojego życia – w owej chwili wstał ze śniegu i wszedł między ludzi.

– Witajcie! – rozradowany zwrócił się do kołchozu. – Jesteście teraz tacy jak ja – ja też jestem niczym.

– Witaj! – uradował się cały kołchoz przybyciem jednego człowieka.

Czyklin też nie mógł znieść odosobnienia na ganku, kiedy ludzie stoją razem na dole; zstąpił na ziemię, rozpalił ognisko z budulca na płot i wszyscy zaczęli się grzać przy ogniu.

Było już późno, noc ciążyła niewyraźnie nad ludźmi i nikt już więcej nie wymawiał słowa, słychać było tylko, jak po staremu ujada pies w cudzej wsi, jak gdyby istniał w ustawicznej wieczności.

Czyklin zbudził się pierwszy, bo przypomniał sobie o czymś pilnym, kiedy jednak otworzył oczy, o wszystkim zapomniał. Stał przed nim Jelisiej i trzymał na rękach Nastię. Bojąc się obudzić Czyklina, trzymał już dziewczynkę ze dwie godziny, a ta spokojnie spała, grzejąc się u jego ciepłej, serdecznej piersi.

– Nie zamęczyłeś dziecka? – zapytał Czyklin.

– Gdzież bym śmiał? – powiedział Jelisiej.

Nastia otworzyła oczy na Czyklina i rozpłakała się po nim; sądziła, że wszystko na świecie dzieje się naprawdę i na zawsze – a skoro Czyklin odszedł, to ona nigdy go już nie odnajdzie. W baraku Czyklin często śnił się Nasti; nawet nie chciała spać, żeby nie dręczyć się rano, kiedy dzień nadejdzie bez niego.

Czyklin wziął dziewczynkę na ręce.

– Nic ci nie było?

– Nic – powiedziała Nastia. – A ty tu zrobiłeś kołchoz dla Stalina? Pokaż mi kołchoz!

Czyklin wstał z ziemi, oparł głowę Nasti na swojej szyi i poszedł rozkułaczać.

– Żaczew nic ci złego nie zrobił?

– Jak miał zrobić, kiedy ja zostanę za socjalizmu, a on niedługo umrze?

– Tak, chyba nic złego nie zrobi – powiedział Czyklin i zwrócił uwagę na tłum.

Obcy przybysze w grupach i małych masach rozbili obozowisko na całym dziedzińcu Zetorgu, podczas gdy kołchoz spał jeszcze w gromadzie wokół nocnego, zagasłego ogniska. Na kołchozowej ulicy również zajęli miejsce nietutejsi ludzie; stali, milcząc, w oczekiwaniu radości, dla której

sprowadzili ich tu Jelisiej i inni kołchozowi piechurzy. Niektórzy pielgrzymi obstąpili Jelisieja i dopytywali:

– Gdzież jest dobro kołchozu – czy szliśmy na darmo? Czy długo mamy się tułać bez ustanku?

– Skoro was sprowadzili, to aktyw wie – odparł Jelisiej.

– A twój aktyw pewno śpi?

– Aktyw spać nie może – powiedział Jelisiej.

Aktywista wyszedł na ganek ze swoimi pomagierami, obok był Pruszewski, a z tyłu za wszystkimi pełzał Żaczew. Pruszewskiego posłał do kołchozu towarzysz Paszkin, bo Jelisiej kręcił się wprawdzie wczoraj koło wykopu i jadł kaszę u Żaczewa, ale z braku własnego rozumu nie mógł powiedzieć ani słowa. Paszkin, skoro to do niego doszło, postanowił przerzucić Pruszewskiego na kołchoz jako kadry rewolucji kulturalnej, bo ludzie zorganizowani nie powinni żyć bez rozumu, Żaczew wyruszył zaś na własne życzenie jako kaleka – dlatego zjawili się we trójkę z Nastią na rękach, nie licząc jeszcze tych wędrownych chłopów, którym Jelisiej kazał iść za sobą, żeby radowali się w kołchozie.

– Idźcie i jak najszybciej skończcie tratwę – powiedział Czyklin Pruszewskiemu – a ja do was niedługo wrócę.

Jelisiej poszedł razem z Czyklinem, żeby wskazać mu najbardziej uciśnionego parobka, który niemal od niepamiętnych czasów harował za darmo w zamożnych gospodarstwach, a dziś pracuje w kuźni przy młocie i otrzymuje wyżywienie z deputatem jako kowal drugiej kategorii; kowal ten nie zalicza się jednak do członków kołchozu, lecz uznawany jest za najemną siłę roboczą, toteż linia związkowa, odbierając sygnały o tym urzędowym parobku, jednym jedynym na cały rejon, wyraża głębokie zaniepokojenie. Co do Paszkina, to ten z prawdziwą troską odnosi się do nieznanego, ostatniego proletariusza w rejonie i chce jak najprędzej uwolnić go od ucisku.

Pod kuźnią stał automobil i spalał benzynę w miejscu. Właśnie wysiadł z niego Paszkin przybyły wraz z małżonką, żeby z aktywną zachłannością odkryć tutaj parobka na resztówce, wyposażyć go w lepszy udział w życiu, a następnie zwolnić komitet rejonowy związku za niedbalstwo w obsłudze

mas członkowskich. Zanim jednak Czyklin i Jelisiej doszli do kuźni, towarzysz Paszkin już wyszedł z pomieszczenia i udał się swoim autem w drogę powrotną, zwiesiwszy tylko głowę we wnętrzu, jak gdyby nie wiedział, co ma teraz począć. Małżonka towarzysza Paszkina w ogóle nie wysiadła z pojazdu: strzegła tylko swojego ukochanego człowieka przed przypadkowymi kobietami, które uwielbiają władzę jej męża i biorą twardość jego kierownictwa za siłę miłości, jaką może im ofiarować.

Czyklin z Nastią na rękach wszedł do kuźni; Jelisiej został, żeby postać na dworze. Kowal dymał miechem na ogień, a niedźwiedź na sposób człowieka bił młotem w rozżarzony pas żelaza na kowadle.

– Ruszaj się, Miś, bośmy teraz przodująca brygada! – powiedział kowal.

Ale niedźwiedź i tak starał się gorliwie, że aż czuć było jego paloną sierścią, która zajmowała się ogniem od iskier metalu, choć niedźwiedź z myślą o pożytku tego nie dostrzegał.

– No, teraz fajrant! – zarządził kowal.

Niedźwiedź przestał kuć, cofnął się i wypił z pragnienia pół wiadra wody. Otarłszy następnie swoją proletariacko zmęczoną twarz, splunął w łapę i na powrót przystąpił do pracy z młotem. Kowal kazał mu teraz wykuć podkowę dla pewnego indywidualnego gospodarza z okolic kołchozu.

– Miś, z tym trzeba się szybko uwinąć: wieczorem przyjedzie gospodarz – flaszka się znajdzie!

I kowal przytknął się w szyję jak w rurkę do wódki.

Niedźwiedź, pojąwszy przyszłe rozkosze, z większym zapałem zabrał się do podkowy.

– A ty, człowieku, po coś przyszedł? – zapytał kowal Czyklina.

– Zwolnij czeladnika, żeby kułaków wskazał: ponoć ma wielki staż proletariacki.

Kowal przez chwilę się nad czymś zastanawiał, a potem rzekł:

– A uzgodniłeś sprawę z aktywem? Przecież kuźnia ma plan produkcyjno-finansowy, a ty go zawalasz!

– Uzgodniłem jak najbardziej – odparł Czyklin. – Jak ci się plan zawali, sam do ciebie przyjdę, żeby go podnieść… Słyszałeś o górze Ararat – no

więc sam bym ją usypał, gdybym kładł ziemię łopatą w jedno miejsce.

– To niechta idzie – orzekł kowal w sprawie niedźwiedzia. – Wal na Zetorg i uderz w dzwon, żeby Miś usłyszał porę obiadową, bo inaczej się nie ruszy – uwielbia dyscyplinę.

Podczas gdy Jelisiej obojętnie poszedł do Zetorgu, niedźwiedź zrobił cztery podkowy i prosił o jeszcze jakąś pracę. Kowal posłał go jednak po drwa, żeby wypalić z nich węgiel, niedźwiedź przydźwigał więc cały nadający się płot. Nastia, patrząc na sczerniałego, osmalonego niedźwiedzia, cieszyła się, że jest z nimi, a nie po stronie burżujów.

– On też przecież się męczy – czyli jest po stronie Stalina, prawda? – mówiła Nastia.

– A jak! – odpowiadał Czyklin.

– Zwierzęta też czują! – oznajmiła Nastia.

Zabrzmiał dzwon i niedźwiedź od razu porzucił robotę, nie zaszczycając jej więcej uwagą – dotąd rozdzierał płot na strzępy, a teraz od razu wyprostował się i westchnął z błogą pewnością, że niby fajrant. Wsadził łapy do wiadra z wodą, żeby odmokła ich czystość, a potem wyszedł na dwór po odbiór jedzenia. Kowal wskazał mu Czyklina, a niedźwiedź spokojnie poszedł za człowiekiem, z przyzwyczajenia trzymając się prosto, na samych tylnych łapach. Nastia dotknęła ramienia niedźwiedzia, a on nawet lekko musnął ją łapą i ziewnął na cały pysk, z którego zapachniał poprzedni posiłek.

– Czyklin, popatrz, on jest całkiem siwy!

– Żył wśród ludzi, to i posiwiał ze zgryzoty.

Niedźwiedź zaczekał, by dziewczynka znów na niego spojrzała, a kiedy się doczekał, przymknął dla niej oko; Nastia się roześmiała, a czeladnik kowalski uderzył się w brzuch, aż coś tam w nim zaburczało, Nastia roześmiała się więc jeszcze bardziej, niedźwiedź natomiast nie zwrócił na małoletnią uwagi.

Obok niektórych obejść szło się równie zimno jak w polu, koło innych czuło się ciepło. Krowy i konie leżały w zagrodach z rozdartymi, gnijącymi tułowiami, a długoletni, nagromadzony pod słońcem żar życia jeszcze wychodził z nich w powietrze, w ogólną przestrzeń zimy. Czyklin

i czeladnik kowalski minęli już sporo gospodarstw, a kułactwa jakoś nigdzie nie likwidowali.

Śnieg, z rzadka dotąd opadający z górnych sfer, zaczął sypać gęściej i ostrzej – jakiś wiatr przybłęda zaczął czynić zamieć, jak to się zdarza, kiedy zapanuje zima. Ale Czyklin i niedźwiedź szli przez zacinającą śnieżną gęstwę w myśl prostolinijnego ulicznego porządku, bo Czyklin nie mógł się liczyć z nastrojem przyrody; tylko Nastię skrył przed zimnem w zanadrzu, zostawiwszy na wierzchu samą jej głowę, żeby nie było jej markotnie w ciemnym cieple. Dziewczynka ani na chwilę nie spuszczała z oka niedźwiedzia – było jej miło, że zwierzę to też klasa robotnicza – a kowalczyk patrzył na nią jak na zapomnianą siostrę, z którą razem żerował u matczynego brzucha w letnim lesie swojego dzieciństwa. Chcąc sprawić Nasti radość, niedźwiedź rozejrzał się wkoło – co by tu złapać albo wyłamać dla niej w prezencie? Ale w pobliżu nie było żadnego choćby odrobinę szczęśliwego przedmiotu prócz glinosłomianych domostw i płotów. Wtedy kowalski czeladnik wpatrzył się w śnieżny wiatr i szybkim ruchem wychwycił z niego coś małego, a następnie podsunął Nasti pod nos zaciśniętą łapę. Nastia wydobyła z niej muchę, wiedząc, że much teraz też nie ma – umarły już pod koniec lata. Niedźwiedź zaczął uganiać się za muchami po całej ulicy – muchy leciały całymi chmarami, na przemian z pędzącym śniegiem.

– Skąd się biorą muchy zimą? – zapytała Nastia.

– Z kułaków, córuś! – powiedział Czyklin.

Nastia zgniotła w ręce tłustą kułacką muchę, którą podarował jej niedźwiedź, i powiedziała jeszcze:

– To zabij je jako klasę! Bo muchy będą zimą, a latem nie: ptaki nie będą miały co jeść.

Niedźwiedź nagle ryknął koło solidnej, schludnej chałupy i nie chciał iść dalej, niepomny na muchy i dziewczynkę. Twarz baby wyjrzała przez szybę okna, a po szkle popełzła ciecz łez, jakby baba miała je przez cały czas na podorędziu. Niedźwiedź rozwarł paszczę na widoczną babę i ryknął jeszcze wścieklej, aż baba odskoczyła w głąb domostwa.

– Kułactwo! – powiedział Czyklin, wszedł na podwórze i otworzył bramę od środka.

Niedźwiedź także przekroczył granicę włości, wchodząc na teren obejścia.

Czyklin i kowalczyk zlustrowali na początek ustronne miejsca gospodarstwa. W oborze przysypane plewami leżały cztery albo i więcej martwych owiec mięsnych. Kiedy niedźwiedź szturchnął jedną owcę nogą, zerwały się z niej muchy: żyły sobie sposobem żerowania w gorących, krwistych otworach owczych zwłok, a żywiąc się gorliwie, obżarte latały w śniegu, ani trochę nie czując zimna. Z obory na zewnątrz wydobywał się zaduch ciepła – w trupich otworach padliny musiało być gorąco jak latem w tlejącym torfowisku, muchy gnieździły się więc tam całkiem normalnie. Czyklinowi w wielkiej oborze zrobiło się ciężko, wydawało mu się, że napalono tu jak w łaziebnych piecach, a Nastia zmrużyła oczy od smrodu i zastanawiała się, dlaczego w kołchozie zimą jest ciepło i nie ma czterech pór roku, o których na wykopie opowiadał jej Pruszewski, kiedy w pustych jesienią polach urwał się śpiew ptaków.

Kowalczyk przeszedł z obory do chałupy i ryknąwszy w sieni nieprzyjaznym głosem, wyrzucił ponad gankiem na podwórze olbrzymią odwieczną skrzynię, z której sypnęły się szpulki nici.

Czyklin zastał w chałupie tylko babę i małego chłopca, chłopiec napinał się na nocniku, a matka, przycupnąwszy na ziemi, rozpostarła się na środku izby, jak gdyby cała materia opadła z niej na dół; nie krzyczała już, tylko otwarła usta i starała się oddychać.

– Stary, ej, stary! – zaczęła wołać, znieruchomiała w niemocy rozpaczy.

– Czego? – odpowiedział głos z pieca; potem zaskrzypiała tam rozeschnięta trumna i wylazł gospodarz.

– Cary przyszli – wymówiła stopniowo baba. – Idź powitać… Oj, głowo ty moja nieszczęsna!

– Won! – rozkazał całej rodzinie Czyklin.

Kowalski czeladnik capnął chłopca za ucho, ten zerwał się z nocnika, a niedźwiedź, nie wiedząc, co to takiego, sam usiadł na próbę na niskim naczyniu.

Chłopiec stał w samej koszulce i patrzył na siedzącego niedźwiedzia, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Wujku, wujek odda kupę! – poprosił; ale niedźwiedź ryknął na niego z cicha, prężąc się w niewygodnej pozycji.

– Won! – oświadczył kułackiej ludności Czyklin.

Niedźwiedź, nie ruszając się z nocnika, wydał z paszczy dźwięk – i zamożny odpowiedział:

– Nie róbcie hałasu, gospodarze. Sami odejdziemy.

Czeladnik przypomniał sobie, jak za dawnych lat karczował pnie na gruntach tego chłopa i żarł trawę z milczącego głodu, bo chłop zadawał mu dopiero wieczorem – to, co zostało po świniach, a świnie kładły się w korytach i wyżerały niedźwiedzią porcję przez sen. Na to wspomnienie niedźwiedź wstał z nocnika, objął poręczniej ciało chłopa i ścisnąwszy je z taką siłą, że z człowieka wyszedł nagromadzony tłuszcz i pot, wywrzeszczał mu coś w głowę różnymi głosami – ze złości i ze słyszenia mógł niemal mówić.

Zamożny odczekał, aż niedźwiedź się odczepi, wyszedł, jak stał, na ulicę i przeszedł już pod oknem na dworze – dopiero wtedy baba popędziła za nim, a chłopiec został w chałupie bez rodziców. Postał ze smętnym zdumieniem, a potem złapał nocnik i pobiegł za ojcem i matką.

– Ale chytrus! – powiedziała Nastia o chłopcu, który wyniósł własny nocnik.

Dalej kułacy trafiali się częściej. Już przy czwartym obejściu niedźwiedź znowu ryknął, dając znać o obecności swojego wroga klasowego. Czyklin przekazał Nastię czeladnikowi i wszedł do chałupy sam.

– Z czym przychodzisz, serdeńko? – zapytał łagodny, spokojny chłop.

– Zabieraj się stąd! – odparł Czyklin.

– A co, czymś ci nie przypasowałem?

– Kołchoz nam potrzebny, nie będziesz go tu psuł!

Chłop pomyślał bez pośpiechu, jak gdyby prowadził rozmowę duchową.

– Kołchoz wam nie pasuje…

– Won, gadzino!

– No cóż, jak zrobicie kołchoz z całej republiki, cała republika stanie się gospodarstwem indywidualnym.

Czyklina aż zatkało, podbiegł do drzwi i otworzył je, żeby widać było wolność – tak samo kiedyś uderzył o zamknięte drzwi więzienia, nie rozumiejąc niewoli, i krzyknął, czując zgrzytliwą siłę serca. Odwrócił się plecami do roztropnego chłopa, żeby ten nie brał udziału w jego przejściowym strapieniu, które dotyczy wyłącznie klasy robotniczej.

– Nie twoja sprawa, padalcu! Możemy cara zamianować, jak będziemy w tym mieli interes, a możemy strącić go jednym dmuchnięciem… A ty znikaj!

W tym momencie Czyklin złapał chłopa wpół i wyniósł na dwór, a tam rzucił go w śnieg; chłop z chciwości nie był żonaty, w szczęśliwej pewności istnienia wydatkując całe swoje ciało na gromadzenie majątku, nie wiedział więc teraz, co ma czuć.

– Zlikwidowaliście? – powiedział ze śniegu. – Uważajcie, dzisiaj mnie nie ma, a jutro was nie będzie. Wyjdzie tak, że w socjalizmie znajdzie się tylko wasz główny człowiek.

Cztery zagrody dalej czeladnik znowu nienawistnie ryknął. Z domu wybiegł ubogi mieszkaniec z gryczanym blinem w ręce. Niedźwiedź wiedział jednak, że ten gospodarz bił go korzeniem drzewa, kiedy on ze zmęczenia przestawał obracać za belkę kamienie młyńskie. By nie płacić podatku, ten chłopek zmusił niedźwiedzia, żeby pracował w wiatraku zamiast wiatru, a sam skomlał zawsze jak parobek i nie wyglądał z babą spod kołdry. Kiedy jego żona zachodziła w ciążę, młynarz własnoręcznie załatwiał jej poronienie, a kochał tylko jednego dużego syna, którego już dawno urządził w mieście w partii.

– Częstuj się, Miś! – chłop podsunął blin kowalczykowi.

Niedźwiedź owinął blinem łapę i przez tę smażoną podkładkę palnął kułaka w ucho, aż chłop kwiknął ustami i padł jak długi.

– Jazda z parobczańskiej własności! – powiedział Czyklin leżącemu. – Won z kołchozu i nie waż się dłużej żyć na świecie!

Zamożny z początku poleżał, a potem przyszedł do siebie.

– A ty mi pokaż papierek, że jesteś faktycznie osoba!

– Jaka ja dla ciebie osoba? – powiedział Czyklin. – Ja jestem nikim; u nas partia to osoba!

– Pokaż więc przynajmniej partię, chcę popatrzeć.

Czyklin uśmiechnął się skąpo.

– Osobiście jej nie poznasz, ja sam ledwo ją czuję. Jazda mi na tratwę, ty ścierwo kapitalizmie!

– Niech popłynie na morze: ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, prawda? – powiedziała Nastia. – Ze ścierwem będzie nam smutno!

Następnie Czyklin i czeladnik kowalski oczyścili jeszcze sześć chałup wyrosłych z parobczańskiej krwawicy i wrócili do Zetorgu, gdzie stały w oczekiwaniu na coś uwolnione od kułactwa masy.

Aktywista sprawdził przybyłą klasę kułacką według swojego rozwarstwionego wykazu, stwierdził całkowitą zgodność i ucieszył się z akcji Czyklina i kowalskiego czeladnika. Czyklin także udzielił pochwały aktywiście.

– Świadomy z ciebie chłopak – powiedział. – Czujesz klasy zwierzęcym niuchem.

Niedźwiedź nie mógł się wysłowić, postał więc odrębnie, a potem poszedł do kuchni w padającym śniegu, wśród którego brzęczały muchy; tylko Nastia patrzyła za nim i żałowała tego starego, osmalonego człowieka.

Pruszewski uporał się już z ukończeniem tratwy z belek, a teraz spoglądał na wszystkich z gotowością.

– Paskuda jesteś – mówił mu Żaczew. – Czego się gapisz jak odjechany? Żyj śmielej – miłuj bliźniego, a drzyj skórę z niego! Myślisz, że to ludzie istnieją? – ale, ale! To tylko wierzchnia powłoka, a do ludzi trzeba iść a iść, tego mi żal!

Na rozkaz aktywisty kułacy zgięli się i zaczęli wlec tratwę prosto ku dolinie rzeki. Żaczew popełznął za kułactwem, żeby zabezpieczyć jego spław z prądem do morza i bardziej się uspokoić co do tego, że będzie jeszcze socjalizm, że Nastia weźmie go w panieńskim wianie, a on, Żaczew, raczej umrze jak zmęczony zabobon.

Po zlikwidowaniu kułaków w siną dal Żaczew nie zaznał spokoju, nie wiedzieć czemu zrobiło mu się nawet ciężej. Długo obserwował, jak systematycznie odpływa tratwa po śnieżnej biegnącej rzece, jak wiatr nad wieczorem burzy ciemną, martwą wodę, toczącą się wśród zastygłych ziem ornych w swoją odległą otchłań, i czuł na sercu smętek i żal. Przecież warstwa smutnych kalek nie jest potrzebna w socjalizmie, wkrótce więc i jego zlikwidują w daleką ciszę.

Kułactwo spoglądało z tratwy tylko w jedną stronę – na Żaczewa; ludzie chcieli po raz ostatni dostrzec swój kraj rodzinny i ostatniego, szczęśliwego w nim człowieka.

Kułacki eszelon na rzece niknął już za nadbrzeżnymi zaroślami i Żaczew zaczął tracić wroga klasowego z widoku.

– Ej, pasożyty, żegnajcie! – krzyknął z biegiem rzeki Żaczew.

– Że-egnaj! – odpowiedzieli mu kułacy odpływający w morze.

Z Zetorgu zagrała wzywająca naprzód muzyka; Żaczew z pośpiechem zaczął się piąć na gliniastą skarpę na święto kołchozu, chociaż wiedział, że radują się tam wyłącznie byli uczestnicy imperializmu, nie licząc Nasti i tym podobnego dzieciństwa.

Aktywista wystawił na ganek Zetorgu głośnik radia, stamtąd więc brzmiał właśnie marsz wielkiej kampanii, a cały kołchoz wraz z okolicznymi pieszymi gośćmi radośnie przytupywał w miejscu. Kołchozowi chłopi mieli twarze jasne, jak wyszorowane, niczego teraz nie było im żal, w pustce serca wszystko było bezimienne i chłodne. Jelisiej, kiedy zmieniła się muzyka, wyszedł na środkową pozycję, uderzył obcasem i zatańczył po ziemi, ani trochę się przy tym nie zginając i nie mrugając białymi oczami; chodził prosto jak trzpień – sam jeden wśród stojących –

precyzyjnie pracując kośćmi i tułowiem. Stopniowo chłopi, sapiąc, zaczęli jeden drugiego okrążać, a baby dziarsko uniosły ręce i zaczęły ruszać nogami pod kiecką. Goście zrzucili z ramion biesagi, przygadali miejscowe dziewczyny i ruszyli dołem, racząc się całusami panien kołchoźnic. Radiomuzyka coraz mocniej podniecała życie; bierni chłopi wydawali okrzyki zadowolenia, co bardziej przodujący wszechstronnie rozwijali dalsze tempo święta i nawet uspołecznione konie, słysząc harmider ludzkiej uciechy, zeszły się w pojedynkę do Zetorgu i zaczęły rżeć.

Śnieżny wiatr ucichł; w odległym niebie opróżnionym z zamieci i chmur ukazał się niejasny księżyc – w niebie, które było tak puste, że dopuszczało wieczną wolność, i tak straszne, że wolność wymagała przyjaźni.

Pod tym niebem na czystym śniegu, który gdzieniegdzie obsiadły już mięsne muchy, koleżeńsko świętował cały tłum. Nawet ci, co od dawna już żyli na świecie, ruszyli z miejsca i przytupywali zapamiętale.

– Ech, ty, zeteserka nasza mać! – pokrzykiwał z uciechy pewien zapoznany chłop, demonstrując zręczność i poklepując się po brzuchu, ustach i policzkach. – W konkury, chłopaki, do naszej władzy, bo niezamężna!

– To dziewucha czy wdowa? – zagadnął w toku tańca okoliczny gość.

– Dziewucha! – objaśnił ruchliwy chłop. – Nie widzisz, jak kręci?!

– Niech sobie kręci! – przytaknął tenże gość przybłęda. – Niech jej idzie na zdrowie! A potem zrobimy z niej potulną babę: dobrze będzie!

Nastia zeszła z rąk Czyklina i też przytupywała koło roztańczonych chłopów, bo miała wielką ochotę. Żaczew pełzał wśród wszystkich, podcinając nogi tym, co mu weszli w paradę, a chłopa w gościach, co to chciał dziewczynę zeteserkę wydać za indywidualnego, szturchnął w bok, żeby sobie nie robił nadziei.

– Ani się waż myśleć jak popadło! Chcesz zarobić na spław rzeczny? Żywiołowo wylądujesz na tratwie!

Gość już się przestraszył, że się tu pojawił.

– Więcej, towarzyszu kaleka, już nic nie pomyślę – szeptać teraz będę.

Czyklin długo patrzył na bawiące się masy i miał w sercu ciszę dobra; z wysokości ganku widział księżycową czystość rozległej skali, smutek

zamarłego światła i pokorny sen całego świata, na którego budowę poszło tyle trudu i męki, że wszyscy zapomnieli, by nie czuć strachu przed dalszym życiem.

– Nastia, nie marznij za długo, chodź do mnie – przywołał dziewczynkę Czyklin.

– Wcale mi nie zimno, tu przecież chuchają – powiedziała Nastia, umykając przed przyjaźnie ryczącym Żaczewem.

– Zacieraj ręce, bo skostniejesz: powietrze jest wielkie, a ty mała!

– Już je zatarłam! Siedź i nie gadaj!

Radio nagle w środku melodii przestało grać. Tłum nie mógł się jednak zatrzymać, aż aktywista powiedział:

– Stać do następnego dźwięku!

Pruszewski zdołał w krótkim czasie naprawić radio, ale zamiast muzyki rozległ się stamtąd ludzki głos:

– Nadajemy komunikat: zbierajcie korę wierzbową!…

Na tym radio znowu się wyłączyło. Aktywista, słysząc komunikat, zamyślił się dla pamięci – żeby nie zapomnieć o kampanii kory wierzbowej i nie zasłynąć na cały rejon jako gapa, jak zeszłym razem, kiedy zapomniał zorganizować Dzień Krzaka, a teraz cały kołchoz siedzi bez wikliny. Pruszewski znowu zaczął reperować radio – czas mijał, a inżynier zziębniętymi rękami starannie naprawiał mechanizm; robota mu jednak nie szła, bo nie był przekonany, czy radio naprawdę zapewni otuchę biedocie i czy do niego samego przemówi skądś miły głos.

Aktywista obawiał się tymczasem, by nastrój kołchozu się nie obniżył; żeby tak się nie stało, zagrał muzykę na własnych wargach, a kołchoz i tak zatańczył do wtóru tych wargowych dźwięków. Jelisiej, który wcześniej zamarł w zapadłej ciszy, z powrotem zaczął przytupywać i pląsać, a cały zgromadzony na dziedzińcu tłum jak przedtem zahuczał ze swojego nieodczuwalnego jeszcze, ale już nieodzownego szczęścia.

Kiedy aktywista ochrypł już od długiej gry na wargach, a ludzie nadal się nie uspokajali i poruszali tułowiami, Czyklin okrzyknął kołchoz:

– Czujecie co?

– Czujemy – odpowiedział kołchoz.

– A co czujecie?

– Wszystko, tylko siebie – nie.

Czyklin spojrzał na te poglądy i zszedł z ganku, żeby też potańczyć, tak jak kiedyś za młodu tańczył z dziewczętami pod chmurką.

– Graj, aktyw, przyłóż się, na dobre i na złe!

Aktywista zagrał głośniej i kazał również Pruszewskiemu śpiewać wargami do wtóru.

Czyklin w ludzkim tłumie zapomniał o wszystkich resztkach własnego życia i zaczął tak szybko przebierać nogami, że śnieg pod nim znikł, a matka ziemia wyschła. Jelisiej zbliżył się do Czyklina i próbował dorównać mu kroku w gorliwości szczęścia, ale nie dawał rady. Czyklin spoglądał zaś coraz bardziej na Jelisieja i tracił moc tańca, aż całkiem stanął w miejscu. Jelisiej, nie dostrzegając, przytupywał dalej i nie mrugał zastygłymi oczami. Czyklin schwycił go wpół, nie wiedząc, jak zatrzymać człowieka, a Jelisiej przewrócił się na niego, bezwiedny i zdrętwiały. Czyklin opuścił Jelisieja do ziemi; Jelisiej łapał oddech w milczeniu, rzadko, patrząc tak pustym spojrzeniem, jakby przez jego ciało przeszedł wiatr i uniósł ciepły instynkt życia.

– Źle ci? – zapytał Czyklin.

– Niczego – zdołał powiedzieć Jelisiej.

Czyklin nakrył mu własną czapką oczy, żeby Jelisiej nigdzie nie patrzył i zapomniał sam o sobie. Aktywista wydał jeszcze kilka dźwięków, a później umilkł, bo spuchły mu wargi, a przede wszystkim świadomość rozbolała go od wytężonego dmuchania. Tłum nie wstrzymał jednak swojego powszechnego tańca – tak już się przyzwyczaił do stałego tempa radości, że przytupywał z pamięci. „Niech świętują!” – pomyślał Czyklin, szepcząc te słowa.

Wycofał się do Żaczewa, który przycupnął pod płotem i przytulił Nastię, ogrzewając ją brzuchem i piersią; kaleka nawet zadarł koszulę, żeby dziecko w pełni korzystało z jego cielesnego ciepła. Dziewczynka spała już głęboko, a Żaczew miał satysfakcję, że chroni i ogrzewa niezamyśloną ideę, o jakiej zapomina się we śnie, ale przyszłego, nieznanego człowieka, który oddycha tuż przy nim.

– A gdzie Woszczew? – zapytał Czyklin, pochylając się do kaleki w hałasie tańcującego w milczeniu kołchozu.

– Gdzieś pewnie śpi – powiedział Żaczew. – Taka szuja nieprędko zdechnie.

– Nie, on od dawna nie sypia – stwierdził Czyklin.

– Wie, że żyje po próżnicy, to nie sypia – wyjaśnił inwalida.

Musiało już być koło północy; księżyc stał wysoko nad opłotkami i nad pokorną, starczą wsią, a martwe łopiany skrzyły się, pokryte drobnym, zmrożonym śniegiem. Jedna zbłąkana mucha spróbowała przysiąść na zlodowaciałym łopianie, lecz od razu zerwała się i odleciała, brzęcząc na wysokościach księżycowej poświaty jak skowronek pod słońcem.

Kołchoz, nie przerywając tupocącego, ciężkiego pląsu, też stopniowo podjął śpiew słabym głosem. Nie sposób było zrozumieć słów tej pieśni, tak czy owak słychać w niej jednak było zawodzące szczęście i nutę wędrownego człowieka.

– Żaczew! – powiedział Czyklin. – Idź i wstrzymaj ruch – co oni, umarli z radości czy co: tańczą i tańczą.

Żaczew popełznął z Nastią do Zetorgu, a ułożywszy ją tam, wspiął się z powrotem.

– Ej, zorganizowani, dosyć tych tańców: nacieszyliście się, szuje!

Ale pochłonięty kołchoz nie słuchał przemowy Żaczewa i przytupywał solennie, okrywając się pieśnią.

– Guza szukacie? Zaraz oberwiecie!

Żaczew spełznął z ganku, wkręcił się między krzątające się nogi i zaczął wprost brać ludzi za dolne końce i przewracać dla odpoczynku na ziemię. Ludzie opadali jak puste spodnie – Żaczew aż żałował, że pewno nie czują jego rąk i z miejsca cichną.

Żaczew ułożył cały kołchoz spać i przypilnował jeszcze, żeby nikt więcej się nie ruszał, a jednemu niezdecydowanemu na uspokojenie wymierzył uderzenie w głowę pomiotłem nogi, co uśpiło niezdecydowanego. Konie na taki widok zaczęły się wycofywać z Zetorgu, a na ulicy ruszyły galopem do swojej wspólnej zagrody.

– Gdzież jest Woszczew? – niepokoił się Czyklin. – Czego on szuka daleko, ten drobnoproletariusz?

Nie doczekawszy się Woszczewa, Czyklin po północy ruszył na jego poszukiwanie. Przeszedł przez całą wieś pustą ulicą do samego końca – nigdzie nie było widać człowieka, tylko niedźwiedź chrapał w kuźni na całą księżycową okolicę i czasem pokasływał kowal.

Wokoło było cicho i pięknie. Czyklin przystanął w zamyślonym zdumieniu. Niedźwiedź jak dawniej chrapał pokornie, zbierając siły do jutrzejszej pracy i do nowego instynktu życia. Nie ujrzy już więcej kułactwa, które go dręczyło, i uraduje się swoim istnieniem. Teraz pewno czeladnik kowalski będzie bił w podkowy i żelazne sztaby z jeszcze gorliwszym, serdecznym zapałem, skoro jest na świecie taka nieznana moc, co pozostawiła we wsi tylko średnich ludzi, którzy mu się podobają, którzy w milczeniu wytwarzają pożyteczną materię i czują częściowe szczęście; cały natomiast ścisły sens życia i ogólnoświatowa radość powinny tkwić w piersi kopiącej ziemię klasy proletariackiej, żeby serce czeladnika z młotem i Czyklina żywiło tylko nadzieję i oddychało, żeby ich pracująca ręka była nieomylna i wytrwała.

Czyklin troskliwie zamknął czyjąś otwartą bramę, potem rozejrzał się po ulicy – czy wszystko w porządku – a widząc leżący na ziemi kubrak, podniósł go i zaniósł do sieni najbliższej chałupy: niech się zachowa dla dobra pracy.

Chyląc tułów pod ciężarem ufnej nadziei, Czyklin poszedł opłotkami, dalej wypatrując Woszczewa.

Przełaził plecione struktury ogrodzeń, przemykał pod glinianymi ścianami chałup, umacniał przekrzywione kołki i stale miał przed oczami bezkresną, pustą zimę, która zaczyna się zaraz za chudymi płotami. Nastia jak nic może zamarznąć w takim obcym świecie, bo ziemia nie służy zziębniętemu dzieciństwu – tylko niedźwiedź mógł znieść tutaj swoje życie, a i ten osiwiał pod uciskiem. „Ja się jeszcze nie narodziłem, a ty już leżałaś, biedna moja nieruchoma! – powiedział w pobliżu głos Woszczewa, człowieka. – A więc od dawna cierpisz: chodź się ogrzać!”

Czyklin obrócił głowę ukosem i dostrzegł, że Woszczew pochylił się za drzewem i wkłada coś do worka, który jest już pełen.

– Co jest, Woszczew?

– A nic – powiedział tamten i zawiązawszy gardło worka, zarzucił sobie ten ciężar na grzbiet.

Poszli obaj na noc do Zetorgu. Księżyc nachylił się już daleko niżej, wieś stała w czarnych cieniach, wszystko umilkło na głucho, tylko zgęstniała z zimna rzeka poruszała się jeszcze w zamieszkałych wiejskich brzegach.

Kołchoz niewzruszenie spał na dziedzińcu Zetorgu; tłum członków jak padł, ułożony przez Żaczewa, tak pozostawał bez wygód. Twarz Jelisieja jak przedtem nakryta była czapką Czyklina, a sam Czyklin zapomniał o tej części garderoby. W domu Zetorgu paliło się światło bezpieczeństwa – jedna jedyna lampa na całą wygaszoną wieś; przy lampie siedział aktywista nad pracą umysłową, rysował rubryki wykazu, w którym chciał zawrzeć wszystkie dane biedniacko-średniackiego dobrobytu, żeby uwiecznić formalny obraz i doświadczenie jako podstawę.

– Zapisz i moje dobro! – poprosił Woszczew, rozpakowując worek.

Pozbierał we wsi wszystkie nędzne, odtrącone przedmioty, wszystkie głupstewka zapoznania i wszelką niepamięć – z myślą o socjalistycznej pomście. Ta wyświechtana, cierpiętliwa starzyzna stykała się niegdyś z parobczańskim ciałem z krwi i kości, utrwaliła się w tych rzeczach na zawsze harówka przygarbionego życia, steranego bez świadomego sensu i zgasłego bez rozgłosu gdzieś pod słomianym zbożem ziemi. Woszczew, nie całkiem wiedząc, co robi, zachłannie nazgarniał do worka materialnych resztek po zagubionych ludziach, co podobnie jak on żyli bez prawdy, a umarli przed zwycięskim końcem. Obecnie stawiał owych zlikwidowanych ludzi pracy przed obliczem władzy i przyszłości, żeby za pomocą organizacji wiecznego sensu ludzi osiągnąć pomstę za wszystkich, którzy spokojnie leżą w ziemskiej głębi.

Aktywista zaczął spisywać przybyłe z Woszczewem rzeczy, dla których zorganizował specjalną boczną rubrykę pod tytułem *Spis proletariatu zlikwidowanego na śmierć przez kułaka jako klasę według bezdziedzicznych*

resztek majątkowych. Zamiast ludzi aktywista zapisywał wskaźniki istnienia: łapeć minionego wieku, cynowy kolczyk z ucha pasterza, parcianą nogawkę i inne wyposażenie pracującego, lecz nieposiadającego ciała.

Tymczasem Żaczew, który spał obok Nasti na podłodze, zdołał niechcący obudzić dziewczynkę.

– Odwróć usta: zębów, głupi, nie myjesz – powiedziała Nastia inwalidzie, odgradzającemu ją od wejściowego zimna. – Jak już burżuje obcięli ci nogi, to teraz chcesz, żeby i zęby powypadały?

Żaczew z przestrachem zamknął usta i zaczął wciągać powietrze nosem. Dziewczynka przeciągnęła się, poprawiła na głowie ciepłą chustkę, w której spała, ale zasnąć z powrotem nie mogła, bo się rozochociła.

– Przynieśli surowce wtórne? – zapytała o worek Woszczewa.

– Nie – powiedział Czyklin. – To dla ciebie pozbierali zabawki. Wstawaj i wybieraj.

Nastia wstała na swój wzrost, przytupnęła dla rozwoju i rozsiadłszy się na miejscu, objęła rozstawionymi nogami zarejestrowaną stertę przedmiotów. Czyklin zestawił jej lampę ze stołu na podłogę, żeby dziewczynka lepiej widziała to, co się jej podoba – aktywista zaś nawet po ciemku pisał bez błędów.

W jakiś czas potem aktywista położył na ziemi wykaz, żeby dziecko pokwitowało, że otrzymało w komplecie całe nabyte mienie bezpotomnie zmarłych parobków i będzie korzystać z niego ku pożytkowi. Nastia powoli narysowała na papierze sierp i młot i zwróciła wykaz.

Czyklin zdjął pikowany waciak i buty i chodził po podłodze w skarpetkach, usatysfakcjonowany i spokojny, że nikt nie odbierze teraz Nasti jej życiowego udziału w świecie, że bieg rzek prowadzi tylko w morskie głębie i ci, co odpłynęli na tratwie, nie wrócą, by dręczyć kowalskiego czeladnika Michaiła; a ci bezimienni, po których zostały tylko łapcie i cynowe kolczyki, nie powinni wiecznie martwić się w ziemi, ale powstać też nie mogą.

– Pruszewski! – zawołał Czyklin.

– Jestem – odpowiedział inżynier.

Siedział w kącie, oparty tam plecami i obojętnie drzemał. Siostra od dawna do niego nie pisała – jeżeli umarła, to, jak postanowił, pojedzie pichcić jej dzieciom, żeby zmęczyć się do utraty ducha i umrzeć kiedyś jako stary, nawykły do nieczułego życia człowiek – to tak samo, jak skonać teraz, ale jeszcze smutniej; zdoła, jeżeli pojedzie żyć za siostrę, dłużej i żałośniej pamiętać o tamtej, dziś już chyba nieistniejącej dziewczynie, która przeszła przez jego młodość. Pruszewski chciał, żeby jeszcze trochę pobyła na świecie, choćby tylko w jego potajemnym uczuciu, wzruszona młoda kobieta – zapomniana przez wszystkich, jeżeli umarła, pichcąc strawę dla dzieci, jeżeli żyje.

– Pruszewski! Czy sukcesy wyższej nauki potrafią wskrzesić na powrót ludzi, co już zgnili?

– Nie – odpowiedział Pruszewski.

– Gadasz – nie otwierając oczu, wtrącił z wyrzutem Żaczew. – Marksizm wszystko potrafi. Bo po co Lenin w Moskwie leży cały? Czeka na naukę – chce zmartwychwstać!

– I dobrze – powiedziała Nastia. – Wstanie i będzie staruszkiem: Stalin przecież przepędził wszystkich burżujów, Leninowi teraz dobrze!

– Ja bym i dla Lenina znalazł robotę – zakomunikował Żaczew. – Ja bym mu pokazał, kto jeszcze powinien dostać z nawiązką! Dlaczegoś, ten tego, każdą szuję przejrzę od samego początku!

– Dlatego, żeś głupi – wytłumaczyła Nastia, grzebiąc w parobczańskich resztkach. – Ty tylko widzisz, a trzeba pracować. Prawda, wujku Woszczew?

Woszczew zdążył się już nakryć pustym workiem i leżał, wsłuchując się w bicie swojego niedorzecznego serca, które ciągnęło całe jego ciało w jakąś niechcianą dal życia.

– Nie wiadomo – odpowiedział Woszczew Nasti. – Pracuj, pracuj, a jak się dopracujesz do samego końca, jak się dowiesz wszystkiego, to umęczysz się i zemrzesz. Nie rośnij, dziewczynko, bo się zamartwisz!

Nastia nie była usatysfakcjonowana.

– Umierać powinni sami kułacy, a ty jesteś głupi. Żaczew, pilnuj mnie znowu, chcę spać.

– Chodź, córuś – odparł Żaczew. – Chodź do mnie od tego kułackiego pomagiera: szuka guza – jutro oberwie!

Wszyscy umilkli, wytrwale kontynuując noc, tylko aktywista niemilknąco pisał, a osiągnięcia coraz szerzej rozpościerały się przed jego świadomym umysłem, aż nawet już myślał o sobie: „Przynosisz ujmę Związkowi, ty bierna świnio – mógłbyś cały rejon podbechtać do kolektywizacji, a ty w jednym kołchozie biedę klepiesz; pora już całymi transportami ludność wyprawić w socjalizm, a ty wciąż usiłujesz w wąskiej skali. Ech, bieda!”.

Z księżycowej czystej ciszy czyjaś niegłośna ręka zapukała do drzwi, a w dźwiękach owej ręki słyszało się przeżytek lęku.

– Wejdź: nie ma posiedzenia – powiedział aktywista.

– Ano tak – odparł ktoś stamtąd, nie wchodząc. – A ja myślałem, że myślicie.

– Wejdź, nie drażnij mnie – odezwał się Żaczew.

Wszedł Jelisiej; odespał się już na ziemi, bo oczy mu pociemniały od wewnętrznej krwi, i okrzepł z przyzwyczajenia do bycia zorganizowanym.

– Niedźwiedź tam stuka w kuźni i ryczy śpiewkę – cały kołchoz oczy otworzył: strach nas bierze bez ciebie.

– Trzeba pójść się zorientować – orzekł aktywista.

– Sam pójdę – stwierdził Czyklin. – Siedź lepiej i pisz: twoja sprawa w głowie.

– To dopóki jestem głupi! – uprzedził aktywistę Żaczew. – Ale niedługo wszystkich rozaktywnimy: daj tylko masom się zmęczyć, daj dzieciom podrosnąć!

Czyklin poszedł do kuźni. Wielka i chłodna była noc nad nim, bezinteresownie świeciły gwiazdy nad śnieżną czystością ziemi i szeroko rozlegały się uderzenia młota, jak gdyby niedźwiedź wstydził się spać pod tymi oczekującymi gwiazdami i odpowiadał im, jak umiał. „Niedźwiedź to prawidłowy proletariacki starzec” – oddał mu w myślach honory Czyklin. Następnie czeladnik kowalski zaczął ryczeć z satysfakcją, przeciągle, proklamując na całe gardło jakąś szczęśliwą pieśń.

Kuźnia była otwarta wprost na księżycową noc, na całą jasną powierzchnię ziemi; palenisko płonęło dmącym ogniem, podsycanym przez samego kowala, który leżąc na ziemi, pociągał za sznur miecha. A kowalczyk, w pełni usatysfakcjonowany, kuł gorącą sztabę na obręcz i śpiewał pieśń paszczą.

– Ani rusz nie daje pospać – poskarżył się kowal. – Wstał, rozryczał się, rozpaliłem mu ogień, a ten zaczął łomotać… Zawsze był spokojny, a dziś jakby w głowie mu się pomieszało!

– A skąd to? – zapytał Czyklin.

– Kto go tam wie. Jak wczoraj wrócił z rozkułaczania, to wciąż przytupywał i mruczał po dobremu. Widać, żeście mu dogodzili. A przyszedł jeszcze jeden taki podaktywny – wziął i obszył płot płótnem. Więc Michaił wciąż tam patrzy i coś kombinuje. Że niby kułaków już nie ma, a czerwone hasło w tym temacie wisi. Widzę, że coś mu wchodzi do łba i tam zostaje…

– Ano, pośpij, a ja podymam – powiedział Czyklin.

Ujął sznur i zaczął wdmuchiwać powietrze na palenisko, żeby niedźwiedź mógł wykuwać obręcze na koła do kołchozowej jazdy.

O przedświcie wczorajsi chłopscy goście zaczęli się rozchodzić po okolicy. Kołchoz natomiast nie miał dokąd uciec, wstał więc z Zetorgu i zaczął się kierować w stronę kuźni, skąd słychać było pracę młota. Pruszewski i Woszczew także zjawili się wraz ze wszystkimi i patrzyli, jak Czyklin pomaga niedźwiedziowi. Koło kuźni wisiał na płocie narysowany na sztandarze okrzyk: „Za partię, za wierność partii, za pracę przodowników torującą proletariatowi drzwi w przyszłość”.

Czując zmęczenie, czeladnik wychodził na dwór i jadł śnieg dla ochłodzenia, a potem z powrotem wbijał młot w miękisz żelaza, coraz bardziej zwiększając częstotliwość uderzeń; śpiewać już całkiem przestał – całą zaciekłą milczącą radość zużył na gorliwość pracy, a kołchozowi chłopi, stopniowo podzielając jego uczucia, kolektywnie chrząkali podczas dźwięku kucia, żeby obręcze były mocniejsze i pewniejsze. Jelisiej przyjrzał się i dał kującemu radę:

– Te, Miś, bij z umiarem, wtedy obręcz nie będzie krucha i nie pęknie. Bo młócisz po żelazie jak po ścierwie, a to przecież też dobro! To żadna robota!

Ale niedźwiedź rozwarł na Jelisieja pysk, Jelisiej więc odszedł, martwiąc się o żelazo. Inni chłopi też jednak nie mogli dłużej ścierpieć brakoróbstwa.

– Słabiej, diable, uderzaj! – zahuczało. – Nie psuj wspólnego: teraz własność jak sierota, nie ma jej komu pożałować… Nie tak ostro, kudłaty!

– Co tak łupisz w to żelazo?! Co ono – nieuspółdzielczone?

– Wyłaź, diable! Ochłoń! Bodajś zdechł, straszydło kosmate!

– Wykreślić go z kołchozu i tyle. Mamy przez takiego straty ponosić?

Ale Czyklin dymał miechem, a czeladnik starał się nadążyć za ogniem i kruszył żelazo jak wroga życia, jak gdyby, skoro nie ma kułactwa, niedźwiedź sam jeden został na świecie.

– Co za utrapienie! – wzdychali członkowie kołchozu.

– Co za grzech: wszystko popęka! Całe żelazo będzie spękane!

– Kara boska… A ruszyć go nie można – powiedzą, że biedniak, proletariat, industrializacja!…

– To jeszcze nic. Jak powiedzą, że to kadry – wtedy się nam za niego oberwie.

– Kadry to głupstwo. Jak instruktor przyjedzie albo sam towarzysz Paszkin – wtedy nam dadzą popalić!

– A może nic się nie stanie? Może bić?

– Coś ty, pomylony? On jest związkowy: wczoraj towarzysz Paszkin specjalnie przyjeżdżał – też mu się przykrzy bez parobków.

Jelisiej mówił najmniej, ale martwił się prawie najwięcej. Kiedy sam miał gospodarkę, noce zarywał – wciąż doglądał, żeby nic nie przepadło, żeby koń się nie opił, nie objadł, żeby krowa miała humor, a teraz, kiedy cały kołchoz, cały świat doczesny powierzono jego pieczy, bo na drugich bał się polegać, teraz już z góry brzuch go bolał ze strachu takiego posiadania.

– Uświerkniemy wszyscy! – powiedział średniak, co milczkiem przeżył całą rewolucję. – Wcześniej bał się człowiek o własną rodzinę, a teraz masz tu, każdego pilnuj – na takim wikcie sraczka nas zamęczy.

Woszczew poczuł smutek, że zwierz pracuje, jakby czuł nieodległy sens życia, a on sam stoi w spoczynku i nie przepycha się do drzwi przyszłości: może tam faktycznie coś jest. Czyklin tymczasem przestał już dymać miechem i wziął się z niedźwiedziem do wytwarzania zębów do bron. Nie zważając na tłum świadków ani cały widnokrąg, dwóch robociarzy bez ustanku pracowało z poczucia uczciwości, jak należy. Czeladnik wykuwał zęby, a Czyklin je hartował, ale nie wiedział dokładnie, ile trzeba trzymać zęby w wodzie, żeby ich nie przehartować.

– A jak ząb na kamień trafi? – stękając, powiedział Jelisiej. – Jak najedzie na jakąś skałę – przecież pójdzie ząbek na pół!

– Wyciąg, diable, żelazo z wody! – zawołał kołchoz. – Nie męcz materiału!

Czyklin nawet wyjął z wody przehartowany metal, ale Jelisiej osobiście wszedł już do kuźni, odebrał Czyklinowi kleszcze i zaczął oburącz hartować zęby. Inni zorganizowani chłopi również wbiegli do wnętrza zakładu i z ulgą na sercu podjęli pracę nad przedmiotami z żelaza – z ową pilną zachłannością, kiedy korzyść jest konieczniejsza od straty. „Trzeba pamiętać, żeby wybielić tę kuźnię – spokojnie myślał Jelisiej przy pracy. – Bo stoi cała czarna: czy tak wygląda budynek gospodarczy?”.

– Dajcie, ja będę za sznur cały czas szarpać – poprosił Woszczew Jelisieja. – Wam powietrze słabo na ogień idzie.

– To szarp – zgodził się Jelisiej. – Tylko nie za mocno – sznur teraz drogi, a na nowy miech kołchozowej kasy nie starczy.

– Będę pomalutku – powiedział Woszczew i zapamiętały w wytrwałości pracy zaczął ciągnąć i popuszczać sznur.

Nadchodził ranek zimowego dnia, światło jak zwykle rozlało się na cały rejon. W Zetorgu wciąż jeszcze paliła się jednak lampa, aż Jelisiej dostrzegł to zbyteczne oświetlenie. A gdy dostrzegł, udał się tam i zgasił lampę, żeby nafta została cała.

Obudziły się już dziewczęta i chłopcy, śpiący dotąd w chałupach; na ogół niepokój ojców był im wszystkim obojętny, udręka ich nie interesowała, byli jak obcy we wsi, trawieni, rzekłbyś, miłością do czegoś odległego. Nie zważali na domową nędzę, jeszcze bez wzajemności żyjąc uczuciem szczęścia, które tak czy owak miało nadejść. Prawie wszystkie dziewczęta i całe rosnące pokolenie od rana szło do świetlicy i tam bez jedzenia spędzało dzień, ucząc się pisać, czytać i rachować liczby, wdrażając się do przyjaźni i coś sobie wyobrażając w oczekiwaniu. Kiedy kołchoz zajął się kuźnią, tylko Pruszewski pozostał na boku i przez cały czas trwał w bezruchu pod płotem. Nie wiedział, po co go przysłano do tej wsi, jak ma żyć zapomniany wśród mas – postanowił więc oznaczyć ściśle dzień zakończenia swojego pobytu na ziemi; wyjął notes i zapisał w nim późną wieczorną godzinę ciemnego zimowego dnia: niech wszyscy pójdą spać, skamieniała ziemia umilknie w zgiełku różnego budownictwa, a on,

gdziekolwiek by się znalazł, położy się na wznak i przestanie oddychać. Przecież żadna budowa, żadna satysfakcja ani przyjazna dusza nie pokonają jego duchowego zubożenia, tak czy owak będzie odczuwał bezowocność przyjaźni opartej na wyższości, a nie na miłości cielesnej, i smutek najodleglejszych planet z tymi samymi rudami miedzi we wnętrzu i z nieodzownością tego samego PKPG[6]. Pruszewski miał wrażenie, że w mózgu zbiegły mu się wszystkie uczucia, wszystkie porywy i dawne tęsknoty, świadome siebie aż po samo źródło pochodzenia, po śmiertelne unicestwienie naiwności wszelkiej nadziei. Pochodzenie uczuć pozostawało jednak punktem życiowych wzruszeń; umierając, można na zawsze utracić, nie dochodząc doń, ten jedyny szczęśliwy, prawdziwy obszar egzystencji. Co robić, mój Boże, skoro nie ma już owych zapamiętałych wrażeń, które wzbudzają życie, żeby powstając, wyciągało przed siebie ręce ku własnej nadziei?

Pruszewski w kołchozie ukrył twarz w dłoniach. Jeżeli rozum to synteza instynktów, w której uśmierzają się i zamierają wszystkie strumienie niespokojnych odruchów, to skąd niepokój i ruch? Nie wiedział, wiedział tylko, że namiętnością rozumu jest pociąg do śmierci, to jedyny jego instynkt; wtedy być może domknie krąg – powróci do pochodzenia uczuć, do wieczoru letniego dnia swojego niepowtarzalnego spotkania.

– Towarzyszu! To ty przyszedłeś do nas na rewolucję kulturalną?

Pruszewski odjął dłonie od oczu. Obok do świetlicy szły dziewczęta i młodzież męska. Jedna z dziewcząt stała przed nim – w walonkach i w ubogiej chustce na ufnej głowie; mierzyła inżyniera oczami z miłosnym zdumieniem, niezrozumiała była bowiem dla niej potęga wiedzy kryjąca się w tym człowieku; zgodziłaby się kochać go wiecznie i z oddaniem, siwego i nieznajomego, zgodziłaby się rodzić mu dzieci, dzień w dzień dręczyć własne ciało, byleby on nauczył ją wiedzy o świecie i jej w tym świecie udziale. Niczym była dla niej własna młodość, niczym – szczęście: czuła w pobliżu gorący pęd ruchu, serce jej mocniej biło w podmuchu powszechnego, dążącego przed siebie życia, ale nie potrafiła ubrać w słowa swojej radości, teraz więc stała i prosiła, by nauczył ją tych słów, tej umiejętności odczuwania w głowie całego świata, żeby potem pomagała

mu świecić. Dziewczyna nie wiedziała jeszcze, czy uczony człowiek z nią pójdzie, spoglądała więc niepewnie, gotowa znowu uczyć się z aktywistą.

– Pójdę z wami – powiedział Pruszewski.

Dziewczyna miała ochotę ucieszyć się i wykrzyknąć, ale nie zrobiła tego, żeby Pruszewski się nie obraził.

– Chodźmy – rzekł Pruszewski.

Dziewczyna poszła przodem, wskazując drogę inżynierowi, chociaż nie sposób było zabłądzić; chciała jednak okazać wdzięczność, a nie miała nic, co mogłaby ofiarować idącemu za nią człowiekowi.

Członkowie kołchozu wypalili w kuźni cały węgiel, zużyli całe żelazo na pożyteczne wyroby, naprawili cały martwy inwentarz i opuścili zakład zmartwieni, że praca się skończyła i żeby tylko kołchoz nie wyszedł na tym stratny. Czeladnik z młotem zmęczył się jeszcze wcześniej – wylazł niedawno, żeby zjeść śniegu z pragnienia, a podczas gdy śnieg topniał mu w paszczy, niedźwiedź zasnął i zwalił się całym tułowiem w dół, na spoczynek.

Po wyjściu na dwór kołchoz zasiadł rzędem pod płotem i zaczął siedzieć, rozglądając się po całej wsi, a śnieg topniał pod nieruchomymi chłopami. Przerwawszy pracę, Woszczew nagle na powrót zamyślił się w miejscu.

– Obudź się! – powiedział mu Czyklin. – Połóż się koło niedźwiedzia i tam śpij.

– Prawda nie śpi, towarzyszu Czyklin…

Czyklin chwycił Woszczewa wpół i ułożył przy śpiącym czeladniku.

– Leż i milcz – powiedział nad nim. – Niedźwiedź sapie, a ty nie możesz? Proletariat znosi, a ty się boisz? Patrzcie go, co za szuja!

Woszczew przytulił się do niedźwiedzia, ogrzał i zasnął.

Na ulicę wpadł jeździec z rejonu na drżącym koniu.

– Gdzie aktyw? – zawołał do siedzącego kołchozu, nie tracąc szybkości.

– Grzej prosto! – wskazał drogę kołchoz. – Tylko nie skręcaj w prawo ani w lewo!

– A skąd! – zawołał jeździec już z oddalenia, tylko torba z wytycznymi obijała mu się o biodro.

W kilka chwil później tenże konny człowiek przemknął z powrotem, wymachując w powietrzu książką zdawczo-odbiorczą, żeby wiatr osuszył

atrament aktywistycznego podpisu. Wypasiony koń, rozrzucając śnieg i rwąc w biegu ziemię, pilnie znikł w oddali.

– Takiego konia marnuje, biurokrata! – myślał kołchoz. – Aż się patrzeć nie chce.

Czyklin wziął z kuźni żelazny pręt w charakterze zabawki dla dziecka. Lubił dziewczynce przynosić w milczeniu różne przedmioty, żeby bez słowa rozumiała jego do niej radość.

Żaczew obudził się już dawno. Nastia natomiast, uchyliwszy zmęczone usta, nadal spała bezwiednie i smutnie. Czyklin bacznie wpatrzył się w dziecko – czy aby od wczoraj nie uległo uszkodzeniu, czy jego ciało jest w całości; dziecko było jednak sprawne, tylko twarz płonęła mu od wewnętrznych młodzieńczych sił. Łza aktywisty kapnęła na wytyczne – Czyklin zaraz zwrócił na to uwagę. Tak jak wczoraj wieczór osoba kierownicza siedziała w bezruchu przy stole. Aktywista z satysfakcją odesłał przez rejonowego jeźdźca kompletny wykaz likwidacji wroga klasowego, a w dokumencie tym podkreślił wszystkie sukcesy w działalności; lecz oto spłynęły nowe wytyczne, podpisane nie wiedzieć czemu przez obwód ponad obiema głowami – rejonu i okręgu, a w leżących przed nim wytycznych podkreślało się niepożądane zjawiska przegięć, woluntaryzmu, nadgorliwości i ogólnie staczania się po prawicowej i lewicowej równi pochyłej z ostrza noża ścisłej linii; ponadto polecano wykazać uwypuklenie czujności aktywu względem średniego chłopstwa: czy zasadniczy fakt, że ruszyło ono do kołchozów, nie stanowi potajemnej premedytacji z poduszczenia mas kułackich pomagierów – że niby wejdziemy do kołchozów całym burzącym się odmętem i rozmyjemy brzegi kierownictwa – że niby władzy wtedy na nas nie starczy, bo się wypali?

„Z ostatnich materiałów, jakie dotarły do rąk komitetu obwodowego – można było przeczytać na końcu wytycznych – wynika na przykład, że aktyw Kołchozu im. Linii Generalnej stoczył się już w lewackie bagno prawicowego oportunizmu. Organizator miejscowego kolektywu zapytuje wyżej postawioną organizację, czy istnieje coś bardziej wzniosłego i świetlanego poza kołchozem i komuną, aby bezzwłocznie pchnąć tam

miejscowe masy biedniacko-średniackie, niepowstrzymanie dążące w historyczną dal, na wyżyny niebywałych ogólnoświatowych czasów. Towarzysz ten prosi, by przysłać mu wzorcowy statut takiej organizacji, a także formularze, obsadki ze stalówką i dwa litry atramentu. Nie rozumie on, jak dalece spekuluje w tym względzie na szczerym w zasadzie i zdrowym średniackim pociągu do kołchozów. Nie da się zaprzeczyć, że towarzysz taki jest szkodnikiem partii, obiektywnym wrogiem proletariatu i powinien zostać bezzwłocznie usunięty z kierownictwa na zawsze”.

W tym punkcie aktywista poczuł, że ścisnęło mu się osłabłe serce, i rozpłakał się nad obwodowym dokumentem.

– Co jest, draniu? – zapytał go Żaczew.

Ale aktywista mu nie odpowiedział. Czy to on zaznał ostatnio uciechy, czy jadł albo pił do syta, albo kochał choćby tylko jedną biedniacką pannę? Żył jak w malignie, serce ledwo mu biło z przeciążenia, tylko na zewnątrz siebie starał się organizować szczęście i choćby w dalszej perspektywie zasłużyć na stanowisko w rejonie.

– Odpowiadaj, pasożycie, bo zaraz oberwiesz! – znowu przemówił Żaczew. – Pewno zepsułeś, łobuzie, naszą republikę!

Żaczew ściągnął ze stołu wytyczne i zaczął osobiście studiować je na podłodze.

– Chcę do mamy! – powiedziała, budząc się, Nastia.

Czyklin pochylił się nad tęskniącym dzieckiem.

– Mama umarła, dziecinko – ja zostałem!

– To po co mnie nosisz tam, gdzie są cztery pory roku? Patrz, jaką mam straszną gorączkę pod skórą! Zdejmij mi bluzkę, bo się spali, i jak wyzdrowieję, to nie będzie w czym chodzić!

Czyklin dotknął Nasti – była gorąca, wilgotna, kości jej żałośnie wystawały ze środka; jak czuły i spokojny musiałby być świat wokoło, żeby przeżyła!

– Przykryj mnie, spać mi się chce. Będę niczego nie pamiętać, bo chorować jest przecież smutno, prawda?

Czyklin zdjął z siebie całą wierzchnią odzież, zabrał waciaki Żaczewowi i aktywiście, po czym całą tą ciepłą materią otulił Nastię. Zamknęła oczy

i zrobiło się jej lekko w cieple i we śnie, jakby wzleciała w chłodne powietrze. Z upływem czasu Nastia trochę podrosła i coraz bardziej przypominała matkę. Dziewczynka mogłaby była być córką Czyklina, jej matka nawet chciała, żeby tak się stało, ale i tak dziecko nie byłoby chyba piękniejsze i mądrzejsze; począł dziewczynkę zapewne robociarz taki jak on, a zatem dziecko jest z krwi i kości z tego samego klasowego kotła, a jeżeli już nawet ktoś inny cieszył się pieszczotami zmarłej kobiety, to pieszczoty te nie klasyfikują dziecka, to nie ludzkość.

– Wiedziałem, że to szuja, psia jego morda! – stwierdził Żaczew o aktywiście. – No i co tu począć z takim członkiem?!

– A co tam piszą? – zapytał Czyklin.

– Piszą, że nie da się zaprzeczyć!

– Spróbuj zaprzeczyć! – powiedział we łzach aktywista.

– Ech, mam ja z tą rewolucją – z powagą użalił się Żaczew. – Gdzie jest ta najgorsza szuja? Chodź tu, kochaniutka, oberwiesz od kalekiego żołnierza!

Czując myśl i samotność, nie chcąc bez wzajemności tracić środków na państwo i przyszłe pokolenie, aktywista zdjął z Nasti swój waciak: skoro on ma być usunięty, niech masy grzeją się same. Z waciakiem w ręce stanął na środku Zetorgu – bez dalszego pociągu do życia, cały w grubych płynących łzach i z tą wątpliwością w duchu, że chyba jeszcze może się pojawić kapitalizm.

– Czemu dziecko odkryłeś? – zapytał Czyklin. – Chcesz ją przeziębić?

– Pies trącał twojego dzieciaka! – odrzekł aktywista.

Żaczew spojrzał na Czyklina i poradził mu:

– Weź to żelastwo, co z kuźni przyniosłeś!

– Coś ty! – odpowiedział Czyklin. – Jak żyję, nie tknąłem człowieka martwą bronią: jak bym wtedy odczuł sprawiedliwość?

Następnie Czyklin spokojnie wymierzył aktywiście ręczny cios w pierś, żeby dzieci mogły jeszcze wierzyć w przyszłość, a nie marznąć. Wewnątrz aktywisty rozległ się słaby trzask kości i cały człowiek runął na ziemię; Czyklin przyjrzał mu się z satysfakcją, jakby właśnie oddał niezbędną

przysługę. Waciak wyrwał się z rąk aktywisty i leżał osobno, nikogo nie okrywając.

– Przykryj go! – powiedział Czyklin Żaczewowi. – Niech mu się ciepło zrobi.

Żaczew ubrał aktywistę w jego własny waciak, a przy okazji pomacał człowieka – na ile jest cały.

– Żyje? – zapytał Czyklin.

– Tak sobie: średnio – ciesząc się całym faktem, odparł Żaczew. – Nie ma co, towarzyszu Czyklin, twoja ręka działa jak partia, chcesz czy nie.

– A niechby nie rozbierał rozgrzanego dziecka! – z urazą powiedział Czyklin. – Mógł sobie zagotować herbaty, toby się ogrzał.

We wsi zerwała się zamieć, chociaż nie było słychać wiatru. Żaczew kontrolnie otworzył okno i zobaczył, że to kołchoz dla higieny zamiata śnieg; chłopom teraz był nie w smak śnieg zapaskudzony przez muchy, chcieli czystszej zimy.

Członkowie kołchozu zrobili swoje na Zetorgu, lecz potem przerwali pracę i skulili się pod okapem w oszołomieniu swoim dalszym życiem. Choć już od dawna nic nie mieli w ustach, nawet i teraz nie ciągnęło ich do jedzenia, bo żołądkom nadal ciążyła mięsna obfitość z poprzednich dni. Wykorzystując spokojny smutek kołchozu i niewidoczność aktywu, staruszek z fabryki kafli i inne niejasne elementy więzione przedtem w Zetorgu wynurzyły się z tylnych komórek i różnych ukrytych przeszkód życia i ruszyły w dal w swoich powszednich sprawach.

Czyklin i Żaczew przytulili się z obu boków do Nasti, żeby lepiej jej strzec. W swoim cieple bez ujścia dziewczynka stała się smagła i pokorna, tylko mózg wciąż żałośnie myślał.

– Znowu chcę do mamy! – wymówiła, nie otwierając oczu.

– Nie ma twojej matki – nie ciesząc się, powiedział Żaczew. – Wszyscy umierają na życie – zostają same kości.

– Chcę jej kości! – poprosiła Nastia. – Kto to płacze w kołchozie?

Czyklin zaczął ochoczo nasłuchiwać; ale wokoło było cicho – nikt nie płakał, a zresztą nie było powodu. Dzień był już w swojej połowie, wysoko nad okolicą świeciło blade słońce, jakieś odległe masy ciągnęły wzdłuż

horyzontu na niewiadome międzywiejskie zebranie – nic nie mogło wszcząć hałasu. Czyklin wyszedł na ganek. Cichy, nieświadomy jęk przebiegł po milczącym kołchozie, a potem się powtórzył. Dźwięk zaczynał się gdzieś na uboczu, kierował w bezludne miejsce i nie był obliczony na skargę.

– Kto to? – zawołał Czyklin z wysokości ganku na całą wieś, żeby go słyszał ten niezadowolony.

– To kowalczyk skomli – odpowiedział kołchoz pod okapem. – A nocą ryczał śpiewki.

Faktycznie, poza niedźwiedziem nie miał kto teraz płakać. Pewno wcisnął twarz w ziemię i ryczał żałośnie w caliznę gleby, nie zdając sobie sprawy ze swojej zgryzoty.

– Niedźwiedź tam za czymś tęskni – powiedział Czyklin Nasti, wracając do izby.

– Zawołaj go do mnie, ja też tęsknię – poprosiła Nastia. – Zanieś mnie do mamy, bardzo mi tu gorąco!

– Zaraz, Nastia. Żaczew, popełznij po niedźwiedzia. I tak nie będzie pracować – nie ma materiału!

Ale Żaczew, ledwo znikł, zaraz wrócił: niedźwiedź sam szedł do Zetorgu razem z Woszczewem; Woszczew trzymał go przy tym pod górną łapę jak chorego, a kowalczyk szedł obok niego smutnym krokiem.

Po wejściu do Zetorgu niedźwiedź obwąchał leżącego aktywistę i obojętnie usiadł w kącie.

– Wziąłem go na świadka, że nie ma prawdy – odezwał się Woszczew. – On przecież może tylko pracować, a jak odsapnie, zamyśli się, zaczyna mu być nieswojo. Niech teraz istnieje jako przedmiot – ku wiecznej pamięci socjalizmu – stawiam wszystkim.

– Częstuj przyszłą szuję – przytaknął Żaczew. – Chowaj dla niej żałosny towar!

Woszczew pochylił się i zaczął zbierać do swojego worka wyjętą przez Nastię starzyznę niezbędną dla przyszłej pomsty. Czyklin wziął Nastię na ręce, a ona otworzyła swoje uschłe jak opadłe liście, umilkłe oczy. Dziewczynka zapatrzyła się przez okno na garnących się blisko do siebie

kołchozowych chłopów, zaległych pod okapem w wytrwałym zapamiętaniu.

– Woszczew, a niedźwiedzia też zdasz na surowce wtórne? – zatroskała się Nastia.

– A skąd! Ja nawet prochów oszczędzam, a to przecież biedne stworzenie!

– A ich? – Nastia wyciągnęła swoją cienką jak nóżka owcy, słabosilną rękę w stronę kołchozu zaległego na dziedzińcu.

Woszczew gospodarskim okiem spojrzał na obejście, odwrócił się i jeszcze niżej zwiesił swoją stęsknioną prawdy głowę.

Aktywista jak przedtem nieruchomo milczał na podłodze, aż zamyślony Woszczew schylił się i szturchnął go wiedziony ciekawością wobec wszelkiego uszczerbku na życiu. Ale aktywista, udając albo naprawdę umarły, w żaden sposób mu nie odpowiedział. Wtedy Woszczew kucnął koło człowieka i długo wpatrywał się w jego ślepą, skrytą twarz, przeniesioną w głąb swojej smutnej świadomości.

Niedźwiedź przez chwilę milczał, a potem znów zaskomlał. Słysząc jego głos, cały kołchoz wszedł z dziedzińca do budynku Zetorgu.

– To jak, towarzysze aktywy, mamy dalej żyć? – zapytał kołchoz. – Pomartwcie się o nas, bo nam brak wytrwałości. Inwentarz mamy na chodzie, ziarno czyste, czas zimowy – nie ma czego czuć. Wy zatem zadbajcie!

– Nie ma się komu martwić – powiedział Czyklin. – Leży wasz główny martwiec.

Kołchoz spokojnie obejrzał powalonego aktywistę, nie żywiąc dla niego litości, ale też bez uciechy, bo aktywista przemawiał zawsze trafnie i słusznie, wedle ścisłych reguł, lecz była z niego taka paskuda, że jak całe społeczeństwo zamyśliło go razu pewnego ożenić, żeby ukrócić jego działalność, to nawet najniepozorniejsze z wyglądu baby i dziewuchy rozpłakały się z żalu.

– Nie żyje – oznajmił wszystkim Woszczew, podnosząc się z dołu. – Wszystko wiedział, a też umarł.

– A może jeszcze zipie? – powątpiewał Żaczew. – Pomacaj go, z łaski swojej, bo ode mnie jeszcze w ogóle nie oberwał: jak co, to zaraz mu dodam!

Woszczew na powrót wyciągnął się obok ciała aktywisty, co niegdyś działał z takim drapieżnym znaczeniem, że cała ogólnoświatowa prawda, cały sens życia miały miejsce tylko w nim i nigdzie indziej, a dla Woszczewa nie zostało nic prócz myślowej udręki, prócz nieświadomości w pędzącym strumieniu egzystencji i prócz pokory ślepego elementu.

– Ach, ty gadzino! – wyszeptał Woszczew nad tym milczącym kadłubem. – To dlatego nie znałem sensu! Tyś pewno nie tylko mnie, ale całą klasę wyssał, oschła duszo, a my się błąkamy jak cicha masa i nic nie wiemy!

I Woszczew uderzył aktywistę w czoło – dla utrwalenia jego śmierci i dla własnej świadomej szczęśliwości. Czując się w pełni umysłu, choć nie potrafił jeszcze wyrazić ani obrócić w czyn jego pierwotnej mocy, Woszczew wstał i rzekł kołchozowi:

– Teraz ja będę się o was martwić!

– Prosimy! – jednogłośnie wypowiedział się kołchoz.

Woszczew otworzył w przestwór drzwi Zetorgu i zaznał chęci życia na całą tę porozgradzaną dal, w której serce może bić nie tylko pod wpływem samego mroźnego powietrza, ale też prawdziwej radości przezwyciężenia nieprzejrzystej ziemskiej materii.

– Wynieście martwe ciało! – polecił Woszczew.

– Ale dokąd? – zapytał kołchoz. – Przecież jego bez muzyki ani rusz nie wypada pochować! Włącz przynajmniej radio!…

– A rozkułaczcie go rzeką do morza! – wpadł na pomysł Żaczew.

– Można i tak! – przystał na to kołchoz. – Woda jeszcze płynie!

W kilku chłopa dźwignęli ciało aktywisty na wysokość i ponieśli na brzeg rzeki. Czyklin przez cały czas trzymał Nastię przy sobie, zamierzając iść z nią na wykop, ale na przeszkodzie stawały mu zachodzące okoliczności.

– Sok ze mnie całej płynie – powiedziała Nastia. – Zanieś mnie prędzej do mamy, głupi staruchu! Tęskno mi!

– Zaraz, córuś, ruszamy. Migiem cię zaniosę. Jelisiej, leć, zawołaj Pruszewskiego, że wracamy, a Woszczew za nas zostaje, bo dziecko zachorowało.

Jelisiej poszedł, ale wrócił sam: Pruszewski nie chciał iść, powiedział, że całą tutejszą młodość musi z początku douczyć, bo mogłaby zginąć w przyszłości, a jemu jej żal.

– To niech zostanie – przystał na to Czyklin. – Byle sam ocalał.

Żaczew jako kaleka nie potrafił iść prędko, pełzał tylko; dlatego Czyklin wykombinował, że Nastię kazał nieść Jelisiejowi, a sam poniósł Żaczewa. I tak właśnie z pośpiechem ruszyli zimową drogą w stronę dołu.

– Doglądajcie niedźwiedzia Misia! – poleciła Nastia, obróciwszy głowę. – Niedługo przyjdę do niego w gości.

– Bądź spokojna, panienko! – przyrzekł kołchoz.

Pod wieczór wędrowcy ujrzeli w oddali elektryczne światła miasta. Żaczew, już od dawna zmęczony jazdą na rękach Czyklina, powiedział, że trzeba było w kołchozie pożyczyć konia.

– Na piechotę szybciej zajdziemy – odparł Jelisiej. – Nasze konie jeździć odwykły: ile to już stoją! Nogi im opuchły, bo tyle tylko mają ruchu, żeby obroku chapnąć!

Kiedy wędrowcy dotarli na miejsce, przekonali się, że cały wykopany dół zaniosło śniegiem, a w baraku jest pusto i ciemno. Czyklin złożył Żaczewa na ziemi i zaczął się krzątać przy rozpalaniu ogniska, żeby ogrzać Nastię, ale ta mu powiedziała:

– Chcę kości mamy, przynieś!

Czyklin zdał rozniecenie ognia na Żaczewa i Jelisieja, a sam poszedł po kości do kryjówki w fabryce kafli; chyba nikt stamtąd nie wyniósł martwej kobiety.

Kiedy zszedł do fabrycznej piwnicy, dokąd kiedyś zajrzał też Pruszewski, Czyklin długo musiał odrzucać kamienie z wnęki drzwiowej, którą sam zabarykadował w trosce o całość zmarłej. Nie miał zapałek, odnalazł więc kobietę po omacku; z początku dotknął jej włosów, równie świeżych jak za życia, potem obmacał szkielet aż do stóp – była jeszcze cała, tylko samo ciało znikło i wilgoć wyschła. Wynieść szkielet w całości

było trudno, zwłaszcza że łączące go chrząstki dawno zetlały; dlatego Czyklin musiał rozłamać szkielet na poszczególne kości i złożyć je we własnej koszuli jak w worku. W koszuli po umieszczeniu tam wszystkich kości zostało jeszcze dużo miejsca – tak mała była kobieta po śmierci.

Nastia bardzo się ucieszyła z matczynych kości; kolejno tuliła do siebie jedną po drugiej, całowała, ocierała ściereczką i układała w porządku na klepisku.

Czyklin usiadł naprzeciwko dziewczynki i przez cały czas podtrzymywał ogień, żeby nie zabrakło światła i ciepła, a Żaczewa posłał, by zażądał od kogoś mleka. Jelisiej długo siedział na progu baraku, obserwując pobliskie oświetlone miasto, gdzie wciąż coś hałasowało i miarowo falowało w powszechnym rozruchu, a potem zwalił się na bok i zasnął bez jedzenia.

Wiele osób mijało barak, ale nikt nie zajrzał w odwiedziny do chorej Nasti, bo każdy chylił głowę i nieprzerwanie myślał o powszechnej kolektywizacji.

Czasem zapadała nagła cisza, słychać tylko było, jak Nastia przesuwa martwe kości, potem jednak znowu śpiewały w oddali syreny pociągów, z przeciągłym gwizdem spuszczały parę kafary, wbijając pale w ziemię, i nawoływały głosy przodujących brygad, wpartych w jakiś ciężar – wkoło wciąż rosło ciśnienie społecznego pożytku.

– Czyklin, dlaczego ciągle czuję rozum i wcale go nie zapominam? – zdziwiła się Nastia.

– Nie wiem, córuś. Pewnie dlatego, że nic pięknego nie widziałaś.

– A dlaczego w mieście nocą pracują, zamiast spać?

– To o ciebie się troszczą.

– A ja leżę cała chora… Czyklin, połóż bliżej kości mamy, przytulę się do nich i będę spać. Tak mi się teraz tęskno zrobiło!

Czyklin złożył kości koło brzucha Nasti, okrył ją cieplej dwoma waciakami i powiedział na pożegnanie:

– Śpij. Może zapomnisz rozumu.

Osłabiona Nastia uniosła się nagle i pocałowała pochylonego Czyklina w wąsy – tak samo jak jej matka umiała bez uprzedzenia pierwsza całować

ludzi.

Czyklin zamarł, czując powtórne szczęście swojego życia, i oddychał w milczeniu nad ciałem dziecka, aż znów naszła go troska o ten mały, gorący tułów. Żeby osłonić Nastię przed wiatrem i ogólnie ogrzać, Czyklin podniósł z progu Jelisieja i położył go obok dziecka.

– Leż tu – powiedział Czyklin do przestraszonego we śnie Jelisieja. – Obejmij dziewczynkę ręką i oddychaj na nią częściej.

Jelisiej tak też uczynił, a Czyklin położył się o krok dalej i czujnie wsłuchiwał drzemiącą głową w niespokojny zgiełk na miejskich placach budowy.

Koło północy zjawił się Żaczew; przyniósł butelkę śmietanki i dwa ciastka. Niczego więcej nie zdobył, bo cała nowoaktywna burżuazja była nieobecna w domach, a zadawała szyku gdzieś na boku. Żaczew urobił się po pachy w poszukiwaniach, aż wreszcie postanowił nałożyć kontrybucję na towarzysza Paszkina jako swoją żelazną rezerwę; ale i Paszkina nie było w domu – jak się okazało, przebywał z małżonką w teatrze. Żaczew musiał więc się stawić na przedstawieniu, wśród ciemności i skupienia na męczarniach jakichś elementów na scenie, i na cały głos wywołać Paszkina do bufetu, co wstrzymało akcję sztuk pięknych. Paszkin momentalnie wyszedł, bez słowa nabył dla Żaczewa produkty w bufecie i z pośpiechem oddalił się na salę, żeby znowu wzruszać się tam całym przedstawieniem.

– Jutro znów trzeba pójść do Paszkina – powiedział Żaczew, uspokajając się w odległym kącie baraku. – Niech piec wstawi, bo tym drewnianym transportem do socjalizmu się nie dojedzie!…

Czyklin obudził się wcześnie rano; zmarzł, zaczął nasłuchiwać oddechu Nasti. Było ledwie widno i cicho, tylko Żaczew burczał przez sen na swoje niepokoje.

– Dychasz tam, średniackie licho? – zwrócił się Czyklin do Jelisieja.

– Dycham, towarzyszu Czyklin, jakżeby nie? Całą noc na dziecko ciepłem chuchałem!

– No i?

– A dziewczynka, towarzyszu Czyklin, nie oddycha: zimna się czegoś zrobiła!

Czyklin powoli podniósł się z ziemi i stanął w miejscu. Postał, podszedł tam, gdzie leżał Żaczew, sprawdził, czy kaleka nie unicestwił śmietanki i ciastek, potem znalazł miotłę i oczyścił barak z różnych śmieci, których się nazbierało w bezludnym czasie.

Kiedy odłożył miotłę na miejsce, zachciało mu się kopać ziemię; zbił kłódkę z opuszczonej szopy, gdzie przechowywano zapasowe narzędzia, wyjął łopatę i bez pośpiechu skierował się do wykopu. Zaczął ryć grunt, ale gleba już zmarzła, Czyklin musiał więc ciąć ziemię na kawały i wyrzucać całymi martwymi bryłami. Głębiej zaczęła się cieplejsza i miększa warstwa; Czyklin przenikał tam cięciami żelaznej łopaty, aż niebawem niemal na całą wysokość znikł w ciszy ziemskiego wnętrza, ale i tam nie mógł się uspokoić, zaczął więc rozbijać grunt z boku, poszerzając dół w ziemskiej ciasnocie. Łopata trafiła na lity kamienny złom i wygięła się od siły ciosu – wtedy Czyklin szmyrgnął ją wraz ze styliskiem na powierzchnię dnia i wsparł głowę na nagiej glinie.

Chciał w tych czynnościach zapomnieć własnego rozumu, lecz rozum niewzruszenie myślał, że Nastia umarła.

– Pójdę po inną łopatę! – powiedział Czyklin i wylazł z dołu.

W baraku, żeby nie polegać na rozumie, podszedł do Nasti i sprawdził jej głowę; potem przyłożył rękę do czoła Jelisieja, sprawdzając ciepło jego życia.

– Dlaczego ona jest zimna, a ty gorący? – zapytał Czyklin, ale nie słyszał odpowiedzi, bo jego rozum sam teraz siebie zapomniał.

Następnie Czyklin siedział przez cały czas na gołym klepisku, a obok przebudzony Żaczew trzymał w rękach butelkę śmietanki i dwa ciastka. A Jelisiej, który przez całą noc bez snu chuchał na dziewczynkę, opadł teraz z sił, zasnął obok niej i spał, aż usłyszał rżące głosy rodzimych uspołecznionych koni.

Do baraku wszedł Woszczew, a za nim niedźwiedź i cały kołchoz; konie czekały na zewnątrz.

– Co ty? – dostrzegł Woszczewa Żaczew. – Czemuś zostawił kołchoz, chcesz, żeby umarła cała nasza zeteserka? Chcesz oberwać od całego proletariatu? Podejdź tylko do mnie – wrzepię ci jak klasa klasie!

Woszczew wyszedł już jednak do koni i nie dosłuchał Żaczewa do końca. Przywiózł Nasti w darze worek specjalnie wybranych staroci w charakterze rzadkich, niebędących w sprzedaży zabawek, z których każda była jak wieczna pamięć o zapomnianym człowieku. Nastia wprawdzie patrzyła na Woszczewa, ale wcale się nie ucieszyła, a on dotknął jej, widząc otwarte, umilkłe usta i obojętne, zmęczone ciało. Woszczew stał w osłupieniu nad tym ucichłym dzieckiem – nie wiedział już, gdzież to teraz będzie komunizm na świecie, skoro nie ma go najpierw w uczuciu dziecka i w przeświadczonym doznaniu. Na cóż mu teraz potrzebny sens życia i prawda ogólnoświatowego pochodzenia, skoro nie ma małego, niezawodnego człowieka, w którym prawda stałaby się radością, ruchem?

Zgodziłby się z powrotem niczego nie wiedzieć i żyć bez nadziei w ciemnej pożądliwości bezowocnego umysłu, byleby dziewczynka była cała, gotowa do życia, choćby z biegiem czasu miała się w tym życiu zamęczyć. Woszczew wziął Nastię na ręce, pocałował ją w rozpadłe wargi i przytulił z zachłannością szczęścia, bo znalazł więcej, niż szukał.

– Po coś kołchoz sprowadził? Jeszcze raz pytam! – zwrócił się do niego Żaczew, nie wypuszczając z rąk śmietanki ani ciastek.

– Chłopi chcą się zapisać do proletariatu – odparł Woszczew. – Sprowadziłem ich jako odpady.

– Niech się zapiszą – odezwał się z ziemi Czyklin. – Teraz trzeba wykopać jeszcze szerszy i głębszy dół. Niech w naszym domu zmieści się każdy człowiek z baraku i z glinianej chałupy. Wezwijcie tu całą władzę i Pruszewskiego, a ja pójdę kopać.

Czyklin wziął łom i nową łopatę i powoli poszedł na najdalszy kraniec wykopu. Tam znowu zaczął rozwierać niewzruszoną ziemię, bo nie mógł płakać, i kopał, nie mając siły przestać, aż usłyszał, jak kości trzeszczą w jego pracującym kadłubie. Wtedy zatrzymał się i rozejrzał wkoło. Kołchoz szedł jego śladem i bez chwili przerwy kopał ziemię; biedni i średni chłopi pracowali z takim wysiłkiem życia, jakby chcieli ocalić się na wieki w czeluści dołu. Konie też nie stały w miejscu – kołchoźnicy wozili na nich wierzchem kamień pod fundamenty, a niedźwiedź dźwigał kamień na piechotę i rozdziawiał paszczę z wytężenia.

Tylko Żaczew nie brał w niczym udziału i spoglądał na całą pracę kopaczy spojrzeniem zgryzoty.

– Czego siedzisz jak jaki urzędnik? – zapytał go po powrocie do baraku Czyklin. – Naostrzyłbyś przynajmniej łopaty!

– Nie mogę, Nikit: ja teraz nie wierzę w komunizm! – odpowiedział w ten ranek nazajutrz Żaczew.

– Dlaczego, łajdusie?

– Przecież widzisz, że jestem kaleka imperializmu, a komunizm to sprawa dzieci, za to właśnie kochałem Nastię… Pójdę teraz i na pożegnanie zabiję towarzysza Paszkina.

I Żaczew odpełznął do miasta, żeby nigdy już nie wrócić na wykop.

W południe Czyklin zaczął kopać dla Nasti specjalny grób. Kopał przez piętnaście godzin cięgiem, żeby grób był głęboki i nie zdołały do niego przeniknąć ani robak, ani korzeń rośliny, ani ciepło, ani zimno, i żeby spokoju dziecka nigdy nie zmącił hałas życia z powierzchni ziemi. Trumienne posłanie Czyklin wyżłobił w litym głazie i przygotował też szczególną granitową płytę jako pokrywę, żeby dziewczynki nie przytłoczył olbrzymi ciężar grobowych prochów.

Czyklin odpoczął, wziął Nastię na ręce i troskliwie zaniósł, żeby złożyć w kamieniu i zakopać. Pora była nocna, cały kołchoz spał w baraku i tylko czeladnik kowalski obudził się, czując ruch, Czyklin pozwolił mu więc dotknąć Nasti na pożegnanie.

* * *

Czy zeteserka skona jak Nastia, czy wyrośnie na całego człowieka, na nowe historyczne społeczeństwo? To niespokojne uczucie stanowiło właśnie przedmiot utworu, kiedy pisał go autor. Autor mógł się pomylić, przedstawiając w obrazie śmierci dziewczynki zagładę socjalistycznego pokolenia, ale pomyłka ta wynikła jedynie z nadmiernego niepokoju o coś miłego sercu, o coś, czego strata równałaby się zniszczeniu nie tylko przeszłości, lecz także przyszłości.

Słowo od tłumacza

Rosja jako odrębna kultura to zjawisko młode, ukształtowane dopiero w petersburskiej epoce swoich dziejów, datującej się od początku XVIII wieku.

Wyrastające ponad tradycję lokalną arcydzieła, jakimi literatura rosyjska wzbogaciła literaturę powszechną, powstały w większości w ciągu jednego stulecia: od lat czterdziestych XIX do czterdziestych lat XX wieku. (Pierwszym wielkim pisarzem rosyjskim w literaturze europejskiej był bodaj Gogol – prozaik i dramaturg, a nie Puszkin – nieprzetłumaczalny poeta). W innych dziedzinach sztuki widać przesunięcie w fazie, w żadnej jednak sferze początek międzynarodowej wielkości sztuki rosyjskiej nie przypadł wcześniej; był raczej bliższy modernistycznego przełomu XIX i XX wieku.

Andriej Płatonow (1899–1951, właściwe nazwisko Klimientow) to jeden z największych pisarzy, jakich Rosja w ciągu owych stu lat wydała. Za życia spychany na margines literatury i rzeczywistości sowieckiej, dziś uznany za klasyka i wydawany w kraju, tłumaczony jest na wiele języków.

O swoistości tego pisarstwa decyduje nie tylko ekstrawagancja stylistyczna, lecz także jego charakter ideowy. Pisarz, wywodzący się z rodziny kolejarskiej z Woroneża, debiutował w 1918 roku w anarchokomunistycznym Proletkulcie – niespacyfikowanym jeszcze przez totalitarny reżim bolszewicki – i jego kosmicznej, transhumanistycznej i anarchistycznej zarazem utopii w gruncie rzeczy pozostał wierny do końca życia, nie łudząc się zresztą co do jej realności. Realna – i historycznie przegrana – była walka o podmiotowość człowieka z dołów społecznych, z których Płatonow wyszedł. Walka podjęta w Rosji sto lat wcześniej, w latach czterdziestych XIX wieku, o uznanie w niewolnym jeszcze wówczas rosyjskim chłopie istoty humanistycznej i historycznej. Walka o etos pracy, znoszącej – jak pisał w swojej publicystyce autor *Dołu* – katastroficzne przeciwieństwo cywilizacji

i kultury. Walka taka nie mogła się zakończyć zwycięsko, klęska w warunkach totalitarnych była jednak oczywista. Płatonow był tego świadom, a zaliczał się do tych krytycznych obserwatorów, którzy już w latach trzydziestych XX wieku konstatowali totalitarną wspólnotę stalinowskiego komunizmu i nazizmu.

Nie był satyrykiem (z równym powodzeniem można by satyrykiem mianować Gombrowicza). Nie dbał o dydaktyczną perswazję, nie dopisywał do niej satyrycznego morału. Był w swojej twórczości literackiej antyutopistą. Antyutopia jako gatunek literacki, mający piękną tradycję choćby w piśmiennictwie francuskim, niemieckim i anglosaskim – od Swifta do Huxleya, Orwella, Bradbury'ego – wydała w nowoczesnej literaturze rosyjskiej dzieła tak istotne, jak *My* Zamiatina czy *Ślimak na zboczu* braci Strugackich, bujnie zaś rozkwitła pod koniec XX wieku i na początku nowego tysiąclecia. Proza i dramaturgia Płatonowa stanowi w tym łańcuchu rozwojowym ogniwo konieczne i uznany, nieprześcigniony wzór.

Na antyutopię jako gatunek literacki, ale też typ myślenia przeciwstawny myśleniu utopijnemu, składa się pięć elementów: antysatyryczność, w której dydaktykę zastępuje zasada *reductio ad absurdum*; osadzone w poczuciu absurdu ironiczne i autoironiczne antydoktrynerstwo; wizja wyradzania się utopii w antyutopię – zgodnie z tradycją Platońskiej Atlantydy; obraz sprzeczności ideałów społecznych i politycznych (sprzeczności zasad równości i wolności); antyutopijny kontekst ideału człowieczeństwa.

Co istotne, ideał człowieczeństwa przeciwstawia się ideałom społecznym i politycznym, by tak rzec, utopii zwyrodniałej do idei „cywilizacji śmierci". Bliskie to tradycji apokaliptycznej, również w tym aspekcie, który podkreślał w Rosji Nikołaj Fiodorow (1829–1903), autor szczególnie ważny dla Płatonowa (i nie tylko dla niego). Apokaliptyczne proroctwa są mianowicie wypowiadane właśnie po to, by się nie spełniły. Coś z takiego podejścia ocalało w autorskim autokomentarzu – ostatnim akapicie *Dołu*, powiastki *par excellence* apokaliptycznej.

Taki też charakter miała skądinąd naprawdę przenikliwa krytyka i negacja współczesnej cywilizacji, za której motor rozwojowy Fiodorow

w okresie kryzysu ideowego lat siedemdziesiątych XIX wieku uznał przemysł seksu i śmierci: deprawujący ludzkość szczególny splot konsumpcjonizmu z militaryzmem. Seks w tej wizji służył produkcji, jak byśmy powiedzieli, mięsa armatniego – materiału do uśmiercania. Kryło się w tym bezsprzecznie przeczucie wojen i ustrojów totalnych, które zdominować miały dzieje następnego stulecia.

Dla Płatonowa były to już dzieje współczesne. One nadawały swoisty sens odziedziczonemu po Fiodorowie, ale też po potężnym nurcie europejskiego modernizmu i po rosyjskich kontrowersjach ideologicznych antyseksualizmowi, który znalazł wyraz w wielu programowych utworach pisarza – nie tylko w noweli *Anti-Sexus*. Jest to również swoistość *Dołu*, który już w tytule wiąże znaczenia dołu grobowego z dołem cielesnym. (Na potrzebę takiego właśnie przekładu tytułowego rosyjskiego pojęcia *kotłowan*, oznaczającego zazwyczaj wykop budowlany, przed laty zwróciła uwagę Danuta Ulicka, tłumaczka i badaczka dzieła Michaiła Bachtina. Skłaniają też do takiego wyboru translatorskiego niepożądane skojarzenia z dzisiejszym użyciem wyrazu „wykop” w internecie).

Tak rozumiany *dół* jeszcze inaczej wiąże się z *wykopem* w mitologicznym i religijnym kontekście antyutopii. W powiastce Płatonowa, uznawanej często za jego najdoskonalsze dzieło, idea budowy niebotycznego ogólnoproletariackiego domu, pod który wykop ryty w ziemi coraz to bardziej się rozrasta, przeistacza się w obraz wieży Babel, babilońskiego zigguratu obróconego w dół. W dół piekieł – skojarzenia z obrazami Hieronima Boscha są tu całkiem na miejscu. Skojarzenia infernalne łączą wówczas, w totalitarnej nocy, wielu wybitnych rosyjskich pisarzy, myślicieli i artystów.

Uosobieniem tych skojarzeń w *Dole* Płatonowa jest postać Nasti. Dziecko w tym antyseksualnym świecie nie miałoby racji bytu – w tym tekście jest to jednak, zauważmy, dziecko śmierci. Nastia to zdrobnienie rosyjskiego imienia Anastasija. W przeciwieństwie do większości imion z chrześcijańskiego kalendarza związanych z osobą konkretnego świętego patrona Anastasija jest personifikacją abstrakcyjnego greckiego pojęcia *Anastasis*, oznaczającego w prawosławiu wigilię Zmartwychwstania

Pańskiego: Wielką Sobotę, w którą Chrystus zstąpił do piekieł. Zdrobniała pod piórem Płatonowa Nastia ucieleśnia nie tylko nadzieję eschatologicznego zmartwychwstania, lecz także podjętą za Fiodorowem ideę cywilizacyjnego wskrzeszenia umarłych – to dlatego takiego znaczenia w *Dole* nabierają ich szczątki i pozostałości: kości zmarłej matki Nasti, gromadzone przez Woszczewa artefakty pozostawione przez ludzi dawno umarłych. Śmierć Nasti przekreśla apokaliptyczne nadzieje. Nie jest to motyw sentymentalny, to wizja piekła, w którym pogrąża się ludzkość.

Piekło to nad podziw konkretne i bardzo ściśle wymierne w czasie. Zapis *Grudzień 1929 – kwiecień 1930* nad jedną z trzech kolejnych autorskich redakcji utworu nie oznacza daty powstania *Dołu*, lecz okres historyczny, do którego dzieło to się odnosi. Okres ten – w granicach wyznaczanych przez przemówienia i artykuły Stalina oraz obrady i rezolucje plenarnych konwentykli partyjnych – to inferno ludobójczej „kolektywizacji" rolnictwa i „rozkułaczenia" wsi sowieckiej. Postaci z utworu Płatonowa mają swoje pierwowzory. Fantasmagorie – od na pozór sowizdrzalsko satyrycznego procederu macania kołchozowych kur, niechcących się nieść z braku koguta, aż po przejmującą scenę eksterminacji „kułaków" na tratwie odesłanej z biegiem rzeki do mórz Dalekiej Północy – mają realne precedensy w ówczesnych wydarzeniach. Skala tych wydarzeń wydaje się jednak przerastać rzeczywistość i to dopiero pozwala pojąć miejsce mitologicznych i folklorystycznych elementów (jak obraz ludzi, którzy za życia osuwając się w śmierć, pokrywają się sierścią bestii) w tkance utworu.

Płatonow, jako się rzekło, nie był w swoich infernalnych wizjach odosobniony wśród rosyjskich twórców. Pozostawmy na boku szeroko eksploatowany motyw diaboliady, który na antypodach stylistycznych *Dołu* zrodził arcydzieło takie jak *Mistrz i Małgorzata*. Wspomnijmy tu jednak o obsesyjnym motywie zstąpienia do piekieł i realnego życia przeistoczonego w duchową wegetację za grobem w twórczości poetów tak wielkich, jak Achmatowa, Mandelsztam czy Nikołaj Klujew, lecz także w tradycji może najistotniejszej dla dzisiejszej literatury rosyjskiej – leningradzkich oberiutów z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych

XX wieku (Waginow, Olejnikow, Zabołocki, Wwiedienski, Charms). Ci właśnie pisarze podobnie jak współczesny im Płatonow z groteską ekspresjonistycznego obrazu, osadzonego w kręgu skojarzeń realnych i mitologicznych, łączyli głębokie deformacje językowe. Chodziło nie tylko i nie tyle o ironiczne przedrzeźnianie nowomowy, ile o absurdalny bełkot: mowę piekielną cywilizacji śmierci. Obraz i język na równi depersonalizowały człowieka – na miarę doświadczenia powszedniej egzystencji w przeraźliwych okolicznościach historycznych. Depersonalizacja ta przekreślała możliwość dialogu w filozoficznym sensie tego pojęcia. Już po II wojnie światowej pisał o tym Witold Gombrowicz w korespondencji z Martinem Buberem, jednym z twórców tak zwanej filozofii dialogu. Konstatacja to wspólna też wymienionym Rosjanom.

Kołowacizna mnożonych tautologii, bełkot frazeologiczny, składniowy, gramatyczny, ba, gwałt na ortografii – budziły naturalnie i budzą bunt zdrowego rozsądku. Pamiątką takiej zdroworozsądkowej obrazy jest zarzucona w połowie pracy próba korekty innego maszynopisu Płatonowa podjęta na początku lat trzydziestych przez patronującego literaturze sowieckiej Maksyma Gorkiego. Korektor, jak słusznie komentował jeden z historyków literatury, miał ambicje przeniesienia tej prozy z przestrzeni apokaliptycznej w powszedni konkret. Zorientował się jednak widocznie, że po eliminacji wielu stylistycznych kuriozów znika literacka materia całego dzieła. Nauczka to również dla współczesnego tłumacza.

Potrzeba nowego przekładu *Dołu* w dwadzieścia siedem lat po publikacji pionierskiego tłumaczenia Andrzeja Drawicza (pod tytułem *Wykop*) wynikała z dwojakich względów. Po pierwsze był to wymóg tekstologiczny. *Dół*, jak wiele dzieł Płatonowa niewydanych za życia autora, znany był z edytorskich kompilacji, nieodpowiadających żadnej z trzech zachowanych redakcji tekstu dokonanych ręką samego pisarza. Tymczasem w roku 2000 zespół badaczy rosyjskich ogłosił drukiem naukowe wydanie dzieła wraz ze skrupulatną analizą wszystkich wariantów. Jedynie ta kanoniczna edycja może być dzisiaj podstawą polskiego przekładu. Tekst wydania emigracyjnego, z którego korzystał Drawicz, dość znacznie różni się od tego kanonu. Zawiera obszerne

fragmenty skreślone z powodów artystycznych przez Płatonowa, nie zawiera natomiast dość długich ustępów wyeliminowanych niegdyś przez wzgląd na cenzurę polityczną. (Utwór oczywiście i tak nie mógł się ukazać w ZSRR aż do czasów pieriestrojki Gorbaczowa). Dużo jest także zmian w poszczególnych zdaniach.

Drugi powód powtórnego przekładu to styl tłumaczenia. Kryteria przekładu literackiego przez kilkadziesiąt ostatnich lat nieco się zliberalizowały. Drawicz podkreślał w przedmowie do swojego tłumaczenia osobliwości stylu Płatonowa, w przekładzie zachowywał jednak stopień daleko posuniętej poprawności, zwłaszcza składniowej i gramatycznej. Frazeologię oryginału tłumaczył natomiast głównie intencją przedrzeźniania nowomowy – analogicznie do zabiegów współczesnych tłumaczowi poetów polskiej Nowej Fali i bliskich im prozaików. Interpretacja to ryzykowna, bo również prowadzi do transpozycji *Dołu* „z przestrzeni apokaliptycznej w powszedni konkret" – co prawda na przeciwnym niż Gorki biegunie ideowym.

Te względy przesądziły o podjęciu próby ponownego przekładu dzieła Płatonowa. Czy ten eksperyment się powiódł – niech osądzi czytelnik.

Adam Pomorski

Przypisy

[1] ORZZ – Okręgowa Rada Związków Zawodowych [przyp. tłum.].

[2] Lew – imię Trockiego, usuniętego już wówczas z partii komunistycznej i skazanego na banicję; Iljicz – patronimicum Lenina [przyp. tłum.].

[3] Parodystyczne przeinaczenie złożonej z wyrazów jednosylabowych linijki klasycznej, znanej z lektur szkolnych ody Gawriły Dierżawina *Na śmierć księcia Mieszczerskiego* (1779): „Tam, gdzie stół uczt, dziś kir i trumna” [przyp. tłum.].

[4] Parodystyczne przeinaczenie dystychu z czytankowego chłopomańskiego wiersza Iwana Nikitina *Na pogorzelisku* (1860): „Nie o szczęście, biedny, modlił się do nieba, lecz o kęs czarnego, powszedniego chleba” [przyp. tłum.].

[5] Znak miękki, znak twardy – litery alfabetu rosyjskiego. Porewolucyjna reforma ortografii drastycznie ograniczyła zastosowanie znaku twardego, pozostawiając kilka funkcji znaku miękkiego [przyp. tłum.].

[6] PKPG – Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego [przyp. tłum.].

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl
malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017
Wydanie I